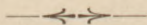


BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

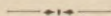


WARUNKI PRENUMERATY

we Lwowie i całym Państwie Austryackim

Rocznie . . (52 tomy) . . .	złr. 14
Półrocznie. (26 tomów) . .	„ 7
Kwartalnie (13 tomów) . .	„ 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów) . .	„ 1 „ 20

Cena każdego tomu 30 cent.



Główni współpracownicy

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92,—we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia Grałowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 102.

254.

Całą siłą!...

POWIEŚĆ,

Sylweryusza Kondratowicza

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.



Kondratowicz



Cena 41 cen

u opornic i
W prenumeracie 20²⁷/₁₀



ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki l. 4.

Sylweryusz Kondratowicz.

Całą siłą!...

POWIEŚĆ.

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Сентября 1899 года.



225551



Sylweryusz Kondratowicz.

Sylweryusz Kondratowicz należy do tych autorów współczesnych, o których mówi się niewiele, a którzy pracują więcej, aniżeli niejedna z głośnych „gwiazd“ literackich chwili, wyrzuconych na wierzch przez kombinacye wydawnicze.

Skromny, trzymający się na uboczu, nie wysuwający się naprzód, służy Kondratowicz literaturze uczciwie w granicach, wykreślonych mu przez jego talent.

Urodzony w r. 1858 w gubernii Kowieńskiej, Sylweryusz Kondratowicz pobierał nauki średnie w Warszawie, w piątym gimnazyum, a wyższe w Kijowie, gdzie przykładał się do nauk przyrodniczych.

Upodobania literackie obudziły się w Kondratowiczu bardzo wczesnie, bo już w r. 1879-ym zasiłał on pisma warszawskie korespondencyjami i drobniejszymi artykułami.

Osiadłszy na stałe w Warszawie, był przez czas pewien współpracownikiem „Nowin“, „Kuryera

Codziennego“ i „Porannego“, gdzie pomieszczał kroniki naukowe i felietony treści ekonomicznej i społecznej. W latach 1884-tym i 1885-tym redagował „Muchę.“

Równocześnie zaczął próbować sił swoich na polu beletrystyki. Jego nowele i humoreski ukazały się w „Kuryerze Porannym“ („W pospiesznym pociągu“, 1884); w „Kuryerze Warszawskim“ („Miał spryt do handlu“, 1886, „Wygrany zakład“, 1887, „Słodkie konkury“, 1887; „Tajemnice wystawy jubileuskiej“, 1888); w „Kuryerze Codziennym“ („Zwiędłe kwiaty“, 1887); w „Biesiadzie Literackiej“ („Pani Marcinowa“, 1888, „Królestwo szczęścia“, 1889); w „Wędrowcu“ („Koszławy obiad“, 1889 r.).

Oprócz nowel i humoresek napisał Kondratowicz kilka większych powieści: „Zmarnowane dzieciństwo“ („Wędrowiec“, 1890 r.), „Zapóźno“ (tamże 1892), „Pierwsze kroki“ („Gazeta Polska“, 1892 r.), „Bez woli“ („Gazeta Warszawska“ 1894), „Fałsze życia“ (tamże 1895), „Całą siłą“ („Niwa Polska“, 1897).

Z powieści tych wyszły w odbitce książkowej tylko trzy: „Pierwsze kroki“, „Bez woli“ i „Fałsze życia.“

I scena polska zawdzięcza Kondratowiczowi kilka dzieł. Jego jednoaktówkę „Dwukroć sto tysięcy“ wystawił teatr Alhambra, a trzyaktową farsę satyryczną p. t. „Jegomość w Eskimosach“ dawniejszy teatr „Nowy Świat“ (obecny Wodewil).

Od roku 1887-mego jest Kondratowicz stałym współpracownikiem „Gazety Warszawskiej“, w któ-

rej prowadzi krytykę literacką i przegląd prasy, a od r. 1898-mego wziął na swoje barki, dźwigające już dość spory ciężar pracy, kierownictwo „Niwy Polskiej.“

W pełni sił męzkich, wykształcony wszechstronnie, utalentowany i nadzwyczaj pracowity, ma Sylweryusz Kondratowicz jeszcze przed sobą długą drogę, którą zaściele niewątpliwie szeregiem dzieł nowych, coraz lepszych, coraz dojrzszych.

Teodor Jeske-Choiński.



I.

Na jednej z pomniejszych stacyj kolejowych w pobliżu Warszawy czekało na przybycie pociągu kilkanaście osób. Z pomiędzy oczekujących zwracał na siebie ogólną uwagę młody mężczyzna o sympatycznej, ściągłej twarzy, od wiatrów i słońca mocno spalonej, o rysach regularnych, pięknych prawie, nacechowanych wszakże piętnem jakby cichego smutku, czy też głębokiego zamyślenia, które wryło głęboką bruzdę na czole, między czarnymi jak smoła brwiami, ściągniętymi nieco, przez co wyraz całej fizyognomii wydawałby się surowym, groźnym niemal, gdyby nie oczy o spojrzeniu nad wyraz łagodnym, melancholijnym.

Ubranie, jakie miał na sobie, świadczyło dowodnie, że o swą powierzchowność nie dbał wcale; mimo to stara, z prostego sukna kurtka, okrągły, nieco zmięty filcowy kapelusz, oraz wysokie, palone buty—harmonizowały wielce z jego wyniosłą postacią, uwydatniając należycie harmonijne jej kształty.

Chodził po peronie w zamyśleniu, z głową opuszczoną, zdając się nie widzieć nikogo i nie domyślać się, że kilkanaście par oczu śledziło jego ruchy z zaciekawieniem niezmiernem.

— Ależ to on, niewątpliwie on! — ozwała się szeptem jedna z oczekujących dam, nachylając się do ucha swej towarzyszki.

— Zdaje ci się, moja droga — była również cicha odpowiedź.

— Wcale się nie zdaje, jestem prawie tego pewną, był mi przedstawiony na balu w resursie... prawda, że to już tak dawno, lat kilka... poznałabym go jednak zawsze, takich twarzy się nie zapomina — wyszeptała i spojrzeniem przyzwała ku sobie wytwornie ubranego młodzieńca, siedzącego przy drugim końcu stołu.

— Wszak prawda, panie Stanisławie, że to Rymsza? — zapytała.

— Kto?

— Ależ ten, co spaceruje po peronie! — dodała niecierpliwie.

— Rymsza?... jaki Rymsza?...

— Andrzej Rymsza!...

— Nie znam — odparł młodzieniec, z miną świadcząca, że po raz pierwszy słyszy to nazwisko.

Dama rozśmiała się i zauważyła drwiąco:

— To bardzo źle, że pan nie znasz... Andrzej Rymsza — znakomity pisarz, autor „Szalonego męża”, „Marzycieli” i kilku innych zachwycających utworów!...

— A, a, a!... wiem, wiem...

— Nareszcie!... a zatem dowiedz się pan, czy to on rzeczywiście... muszą tu być jego konie, pewno go znają na stacyi... Zresztą to już rzecz pańska, a ja wiedzieć muszę! — powiedziała tonem nakazującym.

Młodzieniec skłonił się na znak posłuszeństwa i wyszedł.

Po upływie kilku minut powrócił z tryumfującym wyrazem w oczach.

— No i cóż?...

— Tak, to on! — wyszeptał tajemniczo — dowiedziałem się od stangreta, który go przywiózł.

— A nie mówiłam!... — zwróciła się dama do towarzyszki, przeczącej jej przed chwilą.

Młody mężczyzna, który obudził takie zaciekawienie, nosił istotnie to nazwisko, głośnie już w kraju. Zapisano się ono złotemi głoskami na kartach literatury, zyskując bardzo szybko niesłychaną popularność kilku utworami, pełnemi imponującej siły, polotu fantazyi i poezyi. Był to talent pierwszorzędny, krytyka i czytelnicy uznali to jednoznacznie. Wydawcy dobijali się na wyścigi o każdą jego pracę zaledwie rozpoczętą, ofiarując mu wspaniałe honorarium a ogół z niecierpliwością wyczekiwał ukazania się nowego dzieła młodego autora.

Nagle, złote to pióro, poruszające umysły zarówno wytworniejszych znawców i miłośników literatury, jak i całego ogółu—zamilkło.

Trwało to już od lat kilku, ku ogólnemu żalowi całego społeczeństwa. Mnóstwo najróżnorodniejszych domysłów krążyło wśród publiczności o przyczynach milczenia tego pisarza o wzlotach orlich.

Zawistne głosy miernych talencików, usiłujących forsownie wszelkimi kuglarskimi sposobami zająć opróżnione chwilowo miejsce ulubieńca ogółu, szeptały coś o wyjąłowieniu talentu, o meteorowych błyskach, o niedostatecznem przygotowaniu literackiem. Ogół wszakże tych szeptów i złośliwych niedomówień słuchał obojętnie, przejęty żalem szczerym i tęsknotą do tych gorących, jak lawa słów i myśli pisarza-poety, który zamilkł tak nagle.

Utwory jego odczytywano po razy kilka, pojąc się czarem, poezyą i zapałem ognistym, wstrząsającym umysły i serca, nawet drzemiące lub wyziębione. Domyślano się jakiegoś dramatu życiowego, którego nieszczęśliwym bohaterem był autor, ofiarą zaś jego twórczość.

Przypomniano sobie wówczas i o jego stryju, którego bohaterskie, pełne chwały i poświęcenia życie i czyny w czasach promiennych nadziei zdążyły się pokryć mgłą zapomnienia, jak i wiele innych

rzeczy, których pamięć do niedawna była tak drogą dla wszystkich.

Kiedy niekiedy tylko dawało się słyszeć, że umysł starca na ostatek dni ciężko się zamroczył. Zdawało się to stwierdzać istnienie jakiegoś nieubłaganego „fatum“, przywiązanego do nazwiska i rodziny Rymszów.

Ciężka ręka losu gniotła ich okrutnie; poczynając od jednego z przodków, który dostawszy się do niewoli tatarskiej, został rozszarpany żywcem przez konie, a skończywszy na ojcu starego Rymszy — wszyscy zginęli w lat rozkwicie śmiercią tragiczną. Podobny los spotkał i ojca młodego autora. Jeden tylko stryj dożył lat późniejszych. Wiedzano wszakże o nim jedynie ze słyszenia — od lat bowiem dziecięciu, to jest od chwili, gdy z dalekich stron przyjechał do kraju i osiadł niedaleko Warszawy w małym folwarczku, który nabył na własność, nikt go nie widział w mieście. Raz tylko, gdy nadwerężone mocno zdrowie wymagało radykalnej kuracyi, stary Rymsza wyjechał w towarzystwie swego synowca za granicę, z kąd po upływie trzech miesięcy powrócił do swej wiejskiej pustelni i odtąd nie opuszczał jej już nigdy i prawie nikogo z obcych widzieć nie chciał, oddany całkowicie swym ulubionym zajęciom z dziedziny mechaniki.

Niegdyś służył wojskowo, z zawodu wszakże był inżynierem i w tej specjalności zyskał sobie uznanie wybitne. Świadczyły o tem i dziś jeszcze wielkiej wartości dzieła naukowe w języku francuskim, oraz monumentalne prace z zakresu robót inżynierskich, nietylko w kraju, lecz i za granicą.

Od lat kilku wszakże jego umysł, skolatany życiem i ciosami losu, zamroczył się. Naówczas Andrzej Rymsza zamieszkał na stałe przy stryju, i od tego to czasu jego twórczość zamarła.

.

Przenikliwy dźwięk sygnału kolejowego ostrzegł o zbliżaniu się pociągu. Na peron wybiegła służba i tragarze, a niewielka sala dworca odrazu się ożywiła. Każdy zaczął zbierać pośpiesznie swoje pakuiki, a w tej liczbie i dama, która nie spuszczała dotąd z Rymszy swego powłóczystego, rozmarzonego spojrzenia.

On zaś przerwał swój spacer i stanąwszy nieruchomo na peronie, zaczął widocznie wypatrywać kogoś. Nagle wzrok jego się rozjaśnił. Z wagonu II-ej klasy wyskoczył jakiś podróżny, który objawszy jednym rzutem oka tłoczącą się do pociągu publiczność, odrazu zatrzymał swój wzrok na Andrzeju i za chwilę był już przy nim.

Padli sobie w objęcia.

— Nareszcie widzę cię, Henryku! — zawołał Andrzej.

— W mojej własnej osobie! — odparł żywo przybyły.

Był to szczupły, średniego wzrostu, trzydziestokilkoletni blondyn, ruchliwy jak żywe srebro. Zdawało się, że każdy w nim organ drga życiem samodzielnym, pełnem energii i ruchu. Tryskało ono i z oczu jasno-niebieskich, pełnych wyrazu a przenikliwych—o spojrzeniu badawczem i głębokiem.

— Niechże ci się przyjrzę!—zawołał i przytrzymał silnie rękę Andrzeja, przyglądał mu się czas jakiś w milczeniu, a wreszcie powiedział:—Gdyby mnie kto najsolenniej zapewniał, że z ciebie, najwytworniejszego z pisarzy, ulubieńca muz, zrobi się kiedy taki... taki plantator, powiedziałbym mu po prostu, że źle!... oczy jednak widzą i podziwiają...

Andrzej uśmiechnął się.

— Cóż o tem masz do podziwiania, mój drogi, każdy stara się urządzić swe życie według dążności i upodobań, każdy usiłuje w niem odnaleźć treść i prawdę...

— A tyś je znalazł?...—zapytał żywo.

— Tak! — odparł Andrzej z mocą—lecz o tem pomówimy później, będziemy mieli dość czasu; a teraz, gdzie twoje rzeczy, masz je zapewne w wagonie?

— O, nie! mam je w kieszeni—odparł, wyjmując kwit bagażowy.

Po upływie kilku minut waliza podróżna umieszczoną została na bryce.

— Możemy jechać!—zaproponował Andrzej.

— Jedźmy! — odparł Henryk, wskakując na bryczkę.

Para dobrze utrzymanych koni ruszyła z miejsca ochoczo; bryczka potoczyła się z łoskotem po zabrukowanym dziedzińcu dworca.

— Jakże się cieszę, że cię widzę nareszcie po tylu latach, zawsze taki sam, pełen życia i humoru, jak wtedy, gdyśmy razem o głodzie i chłodzie zbijali bruki zaułków paryzkich, czy pamiętasz? — zapytał Andrzej, ściskając dłoń Henryka.

Był to serdeczny przyjaciel i kolega ze szkoły centralnej w Paryżu, Henryk Korycki.

— A ty, czy pamiętasz, jak Francuzi łamali sobie języki, wymawiając nasze nazwiska?... ale, co się dzieje z Rajmundem?

— Z Wielhorskim?... stale mieszka w Warszawie.

— Czy zawsze taki niebezpieczny? Boże, ile on nam rogów przyprowadził!... — zawołał komicznym patosem, a zmieniając nagle ton i zaglądając w oczy Andrzeja, zapytał: — a ciebie?... ciebie zadawalnia to życie kreta?

— Najzupełniej, jakkolwiek na to określenie nie zgadzam się—odparł Andrzej spokojnie.

— Nie zgadzasz się?... Alboż zupełnie odcięcie się od świata, od ludzi, od ich radości i niedoli, nie jest pewnego rodzaju krecim instynktem, krańcowym egoizmem... Czy ty wreszcie, mając talent tak niepospolity, masz prawo go marnować?

— O tem nie mówmy! — odparł Andrzej łagodnie. — Świat? Czuję go w samym sobie! Każdy z nas nosi go w swej piersi. Zresztą pod tym względem różniliśmy się zawsze w zdaniu. Co ty nazywasz światem? Czy garstkę tych filistrów, którzy, odgrodziwszy się nieprzebytym murem egoizmu od niedoli i ciemnoty ludzkiej, pędzą życie sybarytów? Czy tych, co w pogoni za złotem i uciechami zmysłowemi gotowi są deptać prochy ojców, poniewierając ich pamięć? Czy tych może tak zwanych kapłanów sztuki, co dla efektu, dla poklasku tłumów, dla błysku czczej sławy obalamują umysły? Ależ tam wszędzie fałsz, obłuda w myślach i czynach! nieustanna maskarada uczuć i żadnych, żadnych wierzeń i pragnień po za jedynem pragnieniem użycia. Nie zaprzeczaj! znam ten świat, przyglądałem mu się zblizka przez lat tyle, wtedy wydało mi się, że patrzę na ludzi, którzy wszystkie swe zasoby moralne, przeszłość i przyszłość oddali na przeżycie. Doprawdy, że Diogenes miałby dziś trudniejszą robotę. Nie dziwi mnie nawet nieszczęśliwa mania mego biednego stryja.

— Mów, mów-że, jak jego zdrowie?—przerwał mu Henryk.

— Fizycznie lepiej, umysł jego wszakże mroczy się coraz więcej: nie zajmują go już nawet mechaniczni żołnierze, zaprzęta go teraz myśl poprawienia natury w najdoskonalszym jej tworze; twierdzi on, że dzisiejszy człowiek już się przeżył, że maszynerya życiowa zużyła się w nim zupełnie i nie odpowiada warunkom współczesnym. Według niego, w wieku pary, żelaza i elektryczności i ogólnego rozprężenia człowiek winien być ze stali. Ta myśl męczy go, nie dając mu chwili spoczynku.

-- Ale jednak to był umysł genialny!—zawołał Henryk z błyskiem zapalu w oczach.

— Niestety! nieszczęścia zaćmiły go; są chwile, że nie poznaje nikogo, a mnie uważa za swego bra-

ta; mam być bardzo podobny do mego ojca. Nawet fotografii po nim nie zostało—powiedział z westchnieniem stłumionem, a po chwili dodał: —tylko Wrzeszcz ma nad nim wpływ pewien; obchodzi się z nim, jak z dzieckiem, a gdy stryj uniesie się gniewem, poczciwy Wrzeszcz oddaje się na ofiarę. Wówczas tylko trzęsą się jego białe, jak śnieg, ogromne wąsiska, a z oczu płyną łzy litośnego wzruszenia, które on obciera ukradkiem. Złote serce tego starego, wierny i przywiązany, jak pies do swego pana; poznasz go sam i polubisz niewątpliwie.

— Już go i teraz kocham i szanuję — odparł Henryk, tłumiąc wzruszenie.

— Lecz cóż u ciebie słyhać? jakie masz zamiary na przyszłość, czy długo myślisz zabawić u nas?

— Jeszcze sam nie wiem. Pragnąłbym pozostać w kraju.

— Czy być może? Miałżebyś rzucić stanowisko, jakim rzadko kto z naszych rodaków za granicą poszczycić się może; w tym wieku zostać dyrektorem wyższej szkoły technicznej w kraju tak cywilizowanym, jakim jest Belgia, to rzecz niepowszednia.

— Być może, muszę ci wyznać wszakże, iż przykrzyło mi się już to bakalarstwo, a nadto stęskniłem się do swoich; pragnąłbym zresztą wziąć się do samodzielnej, bardziej produkcyjnej pracy.

— O, to dobrze!—zawołał Andrzej z wyrazem szczerej radości w oczach i silniej uściśnął dłoń przyjaciela — byłem niemal tego pewnym... potrzeba tu nam ludzi, mało ich jest, niestety, lepsze bowiem siły uciekają, szukając karyery... nierozsądni! Prędeż, czy później w serca ich wpiją się skorpiony żalu, a życie zgryzą wyrzuty sumienia za poniewieranie najświętszych obowiązków!—dodał, jakby w natchnieniu głosem proroczym.

— Masz słuszność! — potwierdził Henryk, skłaniając głowę.

W tej chwili bryczka skręciła na boczną drogę, wysadzoną lipami.

— Oto i nasza siedziba!—zawołał Andrzej, wskazując na wyniosłe topole, osłaniające zabudowania folwarczne i kryjący się po za nimi w głębi obszernego ogrodu dwór mieszkalny.

Jechali czas jakiś w milczeniu. Henryk z ciekawością przyglądał się malowniczym grupom drzew, okalających to ustronie.

Ogarnęło go uczucie dziwnego onieśmienia i poszanowania wobec tej odciętej od świata pustelni, otoczonej atmosferą innych pojęć, pragnień i ideałów, nie mających nic wspólnego z filisterską zabiegliwością ludzi, obracających się w powszednim kieracie życiowym.

— To świat inny—szepnął do siebie, wyskakując z bryczki, gdy ta zatrzymała się przed furtką ogrodową.

— Naumyślnie kazatem tu stanąć, aby ci pokazać nasz ogród—powiedział Andrzej.

Weszli na wąską ścieżkę, wijącą się wężykowato i ginącą gdzieś daleko wśród zwartej grupy drzew, dwór okalających.

Henryk zaczął się rozglądać ciekawie po obszer-
nym ogrodzie, podzielonym na prawidłowe kwadraty, zieleniejące się bujną roślinnością najrozmaitszych gatunków zbóż, roślin pastewnych i lekarskich oraz kwiatów. Wyglądało to wszystko na wzorowo urząd-
zoną rolniczą stację doświadczalną. W dali widniały kwatery krzewów owocowych—od najpospolitszych gatunków, do doprowadzonych już do stopnia najwyższej kultury. Godną również uwagi była olbrzymia szparagarnia, a za nią inspekta oszklone. Słowem, na każdym kroku znać tu było wielką znajomość rzeczy, również niezmierne zamiłowanie w urządzeniu tej części ogrodu, poświęconej wyłącznie doświad-

czalno-uitylitarnej stronie dzieła, z pominięciem jakichkolwiek ulepszeń dekoracyjnych.

W miarę wszakże, jak się zaczęli zbliżać do dworu, fizyognomia ogrodu stopniowo się zmieniała. Dom mieszkalny bowiem okolony był malowniczymi grupami drzew, klombów i wysokich żywopłotów, zasłaniających go zupełnie przed okiem ludzkim i tłumiących gwar służby folwarcznej, mieszczącej się w osobnym, znacznie oddalonym ztąd budynku.

To też panowała tu cisza niczem niezamącona. Słychać było tylko brzęczenie pszczół, krążących nad obszernym, bardzo pięknym kwietnikiem, roztaczającym się w formie olbrzymiego wachlarza przed gankiem, a wszystko to skąpane było w potokach słońca południowego, którego promienie zdawały się spływać tu umyślnie, aby wypocząć po długiej wędrówce w tem zacisznym, niezamąconem najłżejszym wietrzykiem ustroniu.

Dwa piękne wyżyły, wygrzewające się przed chwilą na słońcu, zerwały się i wybiegły na spotkanie, radośnie skacząc do piersi.

Andrzej pogładził każdego z osobna, poczem kazał odejść na miejsce. Posłuszne, ułożyły się natychmiast na stopniach ganku.

— Spocznij tu—zapropnował Andrzej—ja tylko zajrzę do stryja i za chwilę wrócę—dodał i znikł za węglem domu.

Był on dość obszerny, przedzielony na dwie połowy, z których jedna zajęta była przez starego Rynszę i jego zaufanego sługę, Wrzeszcza. Nikt tam nie miał prawa wstępu, oprócz Andrzeja, i tylko w wyjątkowych, jaśniejszych chwilach umysłu starca, tenże dopuszczał do siebie przyjaciół Andrzeja.

Zdarzało się to niesłychanie rzadko. Andrzej zerwał prawie zupełnie dawne stosunki ze światem, a jeśli ktokolwiek przypomniiał sobie o nim, przyjmował gościa w pokojach frontowych, które sam zajmował. Zresztą dostać się do niego nie było rze-

czą łatwą: służbie poleconem było oznajmiać każdemu, że pana niema w domu.

Zakaz ten wydany został wskutek formalnej procesyi natrętów z miasta, pragnących zaspokoić swą próżną ciekawość, by zobaczyć znakomitego pisarza, który dla jakichś tajemniczych, niepojętych dla świata pobudek wyrzekł się swej twórczości.

Dzięki temu zakazowi, Andrzej zyskał wreszcie to, czego pragnął — niezakłócony niczem spokój w wiejskiem ustroniu.

— Dziwni, dziwni ludzie — powiedział do siebie Henryk, gładząc wyżła, który, przyczołgawszy się do nóg jego, domagał się pieszczoty.

Nagle ostry głos przerwał ciszę:

— Wrzeszcz!...

Psy nadstawiły uszu.

— Słucham pułkownika!

Korycki zwrócił głowę w tę stronę, z kąd dochodziły go głosy i ujrzał przed sobą dwóch starców. Pierwszy z nich, wzrostu imponującego, z pierśią wydatną, szedł wyprostowany jak struna. Krok jego był równy, miarowy, jakkolwiek widocznem było, że potrzebuje pewnego wysiłku, aby się w nim utrzymać. Ubrany był w długi, granatowy surdut pokroju wojskowego, zapięty pod samą szyję i uwydatniający mocno jego pierś szeroką. Głowa, niczem nie pokryta, połyskiwała w słońcu żółtą jak wosk czaszką, okoloną kosmykami siwych włosów, spadających w nieładzie; wąs krótko przystrzyżony, również siwy i brwi krzaczaste, ciemniejsze nieco, ściągnięte nad oczyma, nadawały tej głowie starczej wyraz niezwykle surowy i ascetyczny.

Za nim w odległości dwóch kroków, w postawie pełnej poszanowania, szedł starzec niewielkiego wzrostu, krępy jeszcze i silny, o marsowym wyglądzie, z wąsami białymi jak śnieg i tak wielkimi, że zwieszały mu się aż na piersi. Twarz jego, szpetnie

pokiereszowana dwiema bliźniami, miała wyraz bardziej jeszcze surowy, prawie okrutny.

Korycki wstał, aby powitać stryja Andrzeja — był to on bowiem, z nieodstępnym Wrzeszczem, dawnym swoim podwładnym, a od lat wielu sługą-przyjacielem.

Rymsza, dostrzegłszy Koryckiego, przysłonił dłonią oczy i przyglądał mu się uważnie, wreszcie zapytał, zwracając się do Wrzeszcza:

— Obcy?...

— Przyjacieli! pułkowniku.

— Przyjacieli powiadasz?... Myśmy nie mieli przyjaciół, a ci, co się tak zwali, zawiedli! — powiedział Rymsza w zamyśleniu, jakby sam do siebie.

— To ja... Korycki!... nie poznaje mnie pułkownik? — ozwał się Henryk, zeszedłszy z ganku.

— Głos mi znany... byłeś z Andrzejem?

— Tak...

— A gdzie Andrzej? — zapytał starzec głosem strwożonym, rozglądając się dokoła.

— Jestem, jestem, stryju! Szukałem cię właśnie! — zawołał Andrzej wesoło, ukazując się przed gankiem.

Starzec uśmiechnął się radośnie.

— Jesteś?... to dobrze, tak się niekiedy boję o ciebie:..

— O mnie?... cóż znowu, drogi stryju!... Cóż mi się stać może?

— Nie wiesz ani dnia, ani godziny — odparł starzec tajemniczo, kładąc palec na ustach. — To dobrze, że nazywasz mnie stryjem... ostrożność nie zawadził... niech sobie tak myślą! — dodał ciszej, śmiejąc się filuternie. — A ten? — zapytał po chwili.

— Nie poznajesz go, stryju? To Henryk Korycki, mój kolega inżynier.

— Tak?... a to i mój także!... Powiadasz, że Korycki?... któryż to? Zaraz, zaraz... ale tamten był

wyższy... chłop jak dąb... w moich oczach się zwalił!... Potem cały szwadron ciężkiej kawalerii jak wichur przeleciał... nie widziałem go więcej!... Wrzeszcz! — zawołał nagle, oglądając się po za siebie.

— Jestem, pułkowniku!

— Za godzinę zaalarmujemy naszych zuchów!

— To są automaty stryja — szepnął Andrzej, nachylając się do ucha Henryka

— Wedle rozkazu, pułkowniku!.. — odparł Wrzeszcz, prostując się i wykonawszy na miejscu zwrot wojskowy, zniknął z oczu.

— A jego zaprosimy na przegląd — dodał, wskazując na Koryckiego — przyjaciel, powiadasz?

— I kolega mój i twój stryju! — dodał Andrzej.

— To dobrze... pokażę ci swoją pracownię, lecz możeś ty już był u mnie? — zawołał i kładąc swą dłoń potężną na ramieniu Koryckiego, przyglądał mu się czas jakiś nader uważnie.

— Nie, pułkowniku! — odparł, naśladując mimowoli intonację Wrzeszcza.

— Toś nic nie widział... oho!... ja żadnego dnia darmo stracić nie mogę, bo czas już wielki!... A za godzinę przegląd, pamiętaj!... — dodał, szukając wzrokiem Wrzeszcza.

— Pora już na obiad, mój stryju!

— A był już sygnał? — zapytał zaniepokojony widocznie — czyżbym nie słyszał.

W tej chwili ozwał się głośny dźwięk dzwonka, a jednocześnie przed gankiem zjawił się stary sługa i wyprostowany jak struna, wygłosił uroczyście.

— Waza na stole!

— Zatem idźmy, idźmy! — zawołał starzec i szparkim krokiem wszedł na ganek.

Za nim podążyli Andrzej i Henryk.

Minawszy kilka pokojów, znaleźli się na drugiej stronie domu, na obszernym tarasie, na którym rozpięty był namiot olbrzymi, zabezpieczający od słońca.

Stół był już nakryty.

— Jak widzisz, u nas po obozowemu, trzeba być zawsze na pogotowiu — powiedział starzec, siadając do stołu.

Obiad był skromny i krótki, składało się nań parę potraw, nie wyszukanych, lecz smacznie przyrządzonych. Rymsza jadł wiele i z apetytem, popijając co chwila wodę.

Ku końcowi obiadu ożywienie starca osłabło, aż wreszcie znużenie opanowało go zupełnie, odchylił się bowiem na poręcz fotelu i zaczął drzemać.

Wrzeszcz, pilnie obserwujący swego pana, ujął go pod rękę, mówiąc:

— Czas na spoczynek, pułkowniku!

Starzec z trudnością podniósł się od stołu i dał się poprowadzić jak dziecko do swego pokoju. O zapowiedzianym „przeglądzie“ nie pamiętał już zupełnie.

Andrzej, przeprowadziwszy wzrokiem starca, powiedział:

— Zwykle po obiedzie, pod wpływem odżywczej pracy organizmu, ogarnia go osłabienie i bezwładność umysłu, zmęczonego nieustanną gorączką wyobraźni.

— Ile ma lat?

— W tym roku skończył 73.

— Piękny wiek i trzyma się jeszcze krzepko... jak długo sypia po obiedzie?

— Czasem parę godzin i wtedy miewa zwykle jaśniejsze chwile świadomości, zdarza się wszakże niekiedy, że po upływie kilku minut budzi się zgorączkowany, niezmiernie strwożony; wtedy zamyka się w swojej pracowni. mając przy sobie nieodstępne-go Wrzeszcza, który jak cień chodzi za nim.

— Rzecz dziwna, że dotąd twórcze jego zdolności w dziedzinie mechaniki nie zanikły w ogólnym zastoju samowiedzy.

— I mnie się to wydaje dziwnem zjawiskiem,

świadczącym, jak cudownie skomplikowaną organizacją jest człowiek — powiedział Andrzej, wstając od stołu — przejdziemy do mnie, pokażę ci nader ciekawą korespondencję, jaką w ostatnich dniach otrzymałem, przekonasz się z niej, ile człowiek może doświadczać radości i tryumfu z swej cichej, „kreciej“, według twego zdania, pracy... Nie oddałbym jej za wszystkie rozkosze świata.

II.

Pokoje, które zajmował Andrzej, urządzone były z wielką prostotą; do rzeczy zbyt kownych zaliczyłyby się dały jedynie kosztowne dębowe szafy, pięknie rzeźbione, a zapełnione od dołu do góry książkami.

Książki zresztą, broszury i pisma w kilku językach leżały na wszystkich stołach, okna zaś zastawione były mnóstwem słoików, miseczek i probierek, mieszczących w sobie próby zbóż i nasion wszelkiego rodzaju.

— To mój warsztat gospodarczy — powiedział Andrzej.

Na biurku, stojącym pośrodku pokoju, leżało mnóstwo broszurek. Korycki zaczął je przerzucać, czytając głośno tytuły: „Świat“, „Nasza ziemia i jej mieszkańcy“, „O hodowli koni“, „Cel życia człowieka“, „Rodzina i jej znaczenie“, „O obowiązkach względem społeczeństwa“, „Uprawa roślin aptekarskich“, „Jak być szczęśliwym?“ „Podróż Grzędy za morza“, „Pieniądz i jego znaczenie“. W tych niewielkich książeczkach streszczał się całokształt wiedzy, przeznaczony dla umysłów maluczki, a wszystkie napisane były przez jednego autora, kryjącego się skromnie pod imieniem „Jędrzeja“.

— Jakże ci idą te wydawnictwa? — zagadnął Korycki.

— Z początku było bardzo ciężko, od paru lat

wszakże kupują coraz chętniej, świadczą o tem powtórne wydania — odparł Andrzej z odcieniem dumy autorskiej.

— Musisz wszakże dokładać jeszcze.

— O, wcale nie! — odparł z uśmiechem.

— I nie tęsknisz nigdy za swą dawną twórczością, w której zdołałeś odrazu rozwinąć orle skrzydła... czyżbyś zatracił już wrażliwość na rozkosze prawdziwego piękna?

— Oto moja odpowiedź! — odparł, a wzięwszy ze stołu paczkę listów, położył ją przed przyjacielem.

— Co to?... co to jest? — zawołał Korycki, biorąc do ręki jeden z nich.

— To korespondencye ostatnie, o których ci wspominałem.

Henryk zaczął je przeglądać uważniej. Niezwykłe to były listy, adresy na kopertach wypisane były dużemi, niezgrabnemi literami, kreślonymi widocznie ręką w pisaniu niewprawną i spracowaną. Jeden z adresów Henryk odczytał głośno:

„Kochanemu panu Jędrzejowi do rąk własnych z wielkiem podziękowaniem“

Korycki uśmiechnął się, mówiąc:

— Istotnie, adres zaciekawia, przeczytajmy i list.

To rzekłszy, wyjął z koperty zmiętoszoną i zbrudzoną już kartę prostego, szarego papieru i odczytał głośno:

„Kłaniamy się Wam bardzo pięknie i dziękujemy za wszystko... kłania się i dziękuje Maciej i Maciejowa, kłania się i dziękuje Kacprowa, wdowa z dzieciskami, chłopaki zbereźniki a wasze pisanie okrutnie czytać lubią. Kłania się i dziękuje Jan Wądołek za zielsko japtyczne, wypędziło już do góry wiele.

„My też pokornie prosimy o krzynkę nasion na japtykę i to pisanie co o naszej ziemi, z malowaniem bo człek głupi jeszcze, to radby dowiedzieć się coś niecoś prawdy o różnych „Hamerykach“ i nie

słuchać głupstw, co nam tu różni bają, będziemy czytać w kupie, a co się będzie należeć, to wyślemy święcie, jak Bóg da, po żniwach. Wy, panie Jędrzeju, człek uczciwy a i gadać umiecie po ludzku, to my bardzo to rozumiemy i dziękujemy szczerze. Niech Wam da Jezus i Najświętsza Panienska zdrowie i szczęście. A pisać gdzie macie, to stoi na drugiej stronie dokumentnie.

„A wszystko pisał i sam litery stawiał Wojtek Kacprowy, co też pięknie dziękuje i kłania się“.

Podobnej treści listów było kilkanaście, a wszystkie one tchnęły rubaszną poufalością i prostotą wyrażań, świadczącą o wielkiem zaufaniu korespondentów.

Radzili się oni kochanego pana Jędrzeja w sprawach wszelkiego rodzaju, prosząc o wyjaśnienie wątpliwości, „boć człek z Was bywały i uczciwy a piszący, to i poradzi po Bożemu, po chrześcijańsku, aby człek nie włóczył się z obrazą Bożą po sądach“ — pisał Maciej Gdala, zwierzając się ze swoich kłopotów i nieporozumień z rodzeństwem przy podziale spuścizny po ojcach.

— I na wszystkie tego rodzaju korespondencyę odpowiadasz? — zapytał Henryk, przeczytawszy list ostatni.

— Mógłżebyś wątpić o tem?

— Ależ to ci zabiera mnóstwo czasu!...

Andrzej uśmiechnął się.

— A tak, jakbyś się dziwił rolnikowi, że traci czas na zbieranie plonów z uprawianej i zasianej przez się roli. A przecież te plony, to oczekiwany owoc całorocznych zabiegów, to najłodszy tryumf pracy!... Ja również jestem takim rolnikiem na niwie, leżącej zbyt długo odłogiem... To wszakże nic jeszcze! W roku zeszłym wskutek interesów rodzinnych musiałem odbyć dłuższą wycieczkę po kraju; przyszło mi jechać drogami bocznymi po kątach zapadłych, odciętych tak od świata, że zdawało się, pozbawione

zostały na zawsze dobroczynnego wpływu kultury, nawet w najprostszych jej formach. Byłem w tamtych stronach przed laty kilkunastu, gdy z szkół jechał do wujostwa na odpoczynek, wtedy już widok nędznych chat, z zapadłymi do samej ziemi dachami, nieudolnie nad wyraz uprawnych pól, oraz brudnych, odzianych w łachmany, wynędzniałych mieszkańców, sprawił na mnie wrażenie przygnębiające... Wówczas po raz pierwszy błysła mi myśl szczęśliwa, a za nią i postanowienie niezłomne osiąść na roli i współdziałać w rozszerzeniu dobrodziejstw oświaty tam, gdzie ona dotąd nie miała dostępu. O postanowieniu tem wszakże zapomniałem później, porwany wirem życia gorączkowego i łatwych a upajających zdradliwie młody umysł tryumfów autorskich. Na szczęście, niedługo to trwało... Oprzytomniałem, odzyskując jednocześnie poczucie obowiązku... Czuję w sobie pewne zdolności pisarskie, postanowiłem je przeto zużytkować na innym polu, płodniejszym... Lecz wybac, zacząłem ci opowiadać o swej podróży po kraju otóż w roku zeszłym te „zapadłe kąty“ wyglądały już inaczej, ludzie schludniej byli ubrani, twarze ich pogodniejsze, domostwa otoczone zielenią, w każdym ogródku było po kilka uli i w każdym również szczypty owocowe; wszystko to razem uśmiechało się do mnie, zdając się mówić: „patrz!... i do nas nareszcie dosięgły promienie jasne, odświeżyliśmy się i jakoś raźniej płynie nam to życie!...“

Radując się sercem całym z tej zmiany, nie przypuszczałem ani na chwilę, że i moja cicha, nieudolna praca przyczyniła się do niej choć w drobnej części... Za tę skromność wynagrodzony zostałem nader sownie, gdy bowiem, korzystając z półgodzinnego popasu, wstąpiłem do jednego z gospodarzy na szklanekę mleka, ten otworzył mi nader gościnnie drzwi swojej chaty, a potem sam mi zaproponował obejście gospodarstwa. Gdyśmy weszli do ogródka, zwróciłem uwagę na kilkanaście drzewek, lepszych

gatunków grusz i jabłoni, nader troskliwie i z wielką umiejętnością pielęgnowanych, na paru z nich złościł się już piękny, soczysty owoc.

— Widzę, że z was dobry gospodarz, gospodarzu—zagadnałem.

— A toć nie moja zasługa!—była odpowiedź.

— A czyjaż?

— A toć naszego pana Jędrzeja.

— Na te słowa — czy uwierzysz? — drgnęło mi serce, zaciekawiony niezmiernie, zapytałem nieśmiało: „a któż to jest ten wasz pan Jędrzej?” Chłop spojrział na mnie z pewnego rodzaju politowaniem: „Kto, alboż to pan nie wie? U nas wszyscy o nim wiedzą, a panby nie wiedział, toć i on z Warszawy... pisze w takiej chłopskiej dla nas gazecie, a i książki też... u nas w całej gminie znają go dobrze, a te drzewiny i ule, a i zioła apteczne, toć z jego porady, człek ma z tego coś niecoś, a i miód na weselisko swój własny!... Niech mu Bóg da wszystko dobre! My tu naszemu proboszczowi na Ś-go Jędrzeja dajemy na mszę za jego zdrowie.” Wysłuchawszy tych słów z gorącym rumieńcem na twarzy, przyznałem się, że znam nieco „pana Jędrzeja“ i że mu powiem o tem, jakich tu ma przyjaciół!... Na te słowa gospodarz mój ucieszył się bardzo i zawołał:

— O!... to niech mu też pan powie, żeby napisał dla nas dużą historję prawdziwą, tak na dwa, trzy palce, nie przymierzając, tak grubą jak „Złoty Oltarzyk,” żebyśmy całą zimę czytać mogli... bo te małe, choć i ładne ani słowa, lecz żal, gdy się człek zaciekawi okrutnie, a tu już koniec... Mybyśmy ze dwa złote i więcej zapłacili; na trzy chaty to niewieleby wypadło, mój chłopak czyta już jak sam pisarz w gminie, a i stawia litery jako tako...

— Nie potrzebuję ci mówić, w jakim nastroju odbywałem dalszą drogę... kazałem jechać prędzej, aby nie tracić wiele czasu, wrócić jak najprędzej do

domu i wziąć się do „dużej, prawdziwej historii na dwa albo trzy palce...”

— Powiadasz, że to było w zeszłym roku?— przerwał mu Korycki.

— Tak... w jesieni.

— Więc ta „prawdziwa historia“?...

— Już na ukończeniu! — zawołał Henryk radośnie — teraz chyba nie będziesz się dziwił, że nie tęsknię do swej dawnej twórczości?...

— Boś jej nie zarzucił, lecz tylko zmienił formę, a skoro cię to zadawalnia...

— O i bardzo!... a co więcej, daje przeświadczenie, że coś się robi dla bliźnich.. Twierdzą, że mam wielki talent pisarski, jeśli to prawda, tem lepiej! Dotąd bowiem oraczami na tej niwie byli pisarze przygodni, bez wybitniejszych zdolności, bez tej iskry Bożej, która rozgrzewa umysły... Dotychczasową moją twórczość uważam za błyskotliwą igraszkę do podniecania stępionej wyobraźni czczych umysłów, do łaskotania nerwów rozpróżnionych kobiet, za żonglerskie narzędzie wreszcie do zdobywania taniej popularności i poklasku tłumów... Wydaje mi się ona dziś bachanalią wyobraźni, rozpasanym tańcem myśli, słów i pustych dźwięków na tle rzekomej prawdy i zdrowego rozsądku!... Dość pawich piórek, słów gromkich i pustych dźwięków!... Minęły już owe czasy biblijne, gdy od nich mury padały... dziś trzeba je rozbijać powoli, cegła po cegle, kamień po kamieniu, kilofem uporczywym pracy i... miłości—dodał ciszej.

Zapał, z jakim mówił Andrzej, udzielił się i Koryckiemu, gdyż uściskawszy silnie dłoń przyjaciela, powiedział:

— Masz słuszność!... Daję ci moją rękę na znak, że w twojej pracy chcę ci być pomocnym, licząc na mnie!... Drogi nasze wychodzą wprawdzie z różnych punktów, lecz zjedną się u jednego celu. Do tej cichej spółki włożymy: ty — swój talent, zapał

i serce, ja zaś chłodną rozważę, trochę doświadczenia życiowego i pieniądze... Mając razem takie atuty w ręku, możemy wiele zdziałać...

— Mówisz, jakbyś miał już jakiś plan na myśli... więc zostaniesz naprawdę z nami?...

— Taki jest mój zamiar, powzięłem go, jadąc tu; wiedziałem, że jest tu wdzięczne pole do pracy... świadczą o tem całe legiony obcych przybyszów i ich olbrzymie fortuny... nasza zaś własna wytwórczość i przemysł są dotąd w kolebce... Pieniądze pleśnieją, uwięzione w mało procentowych papierach... gdy jednocześnie przemysł ożywiają kapitały płynące z za granicy... jest to anomalia ekonomiczna, w skutek której kraj nasz ubożeje. Chcę przeto poruszyć to bagno niedołęztwa i niezaradności... czy mi się to uda, nie wiem, muszę wprzód rozpatrzyć się bliżej w stosunkach miejscowych, a potem dopiero wziąć się do dzieła. Zaopatrzone mnie w mnóstwo listów rekomendacyjnych, mogących mi ułatwić poznanie ludzi i rzeczy.. Mam dwa miesiące czasu, a to mi wystarczy powinno, zabawię u ciebie dni parę, a potem do Warszawy...

— Pojadę z tobą, może ci się przydam na co— wtrącił Andrzej.

— Chciałbym również zobaczyć się z Wielhorskim... poczciwy był chłopiec.

Na wspomnienie Wielhorskiego przez czoło Andrzeja przemknął cień jakiś.

Nie uszło to uwagi Koryckiego, gdyż zapytał:

— Nic mi o nim nie mówisz... Czyżbyć nie nie podtrzymywał z nim stosunków koleżeńskich?

— Owszem... lecz on zajęty jest całkowicie życiem światowym.

— Aaa!... było to do przewidzenia!... Dla mężczyzny najniebezpieczniejszym darem natury jest piękna powierzchowność, a przyznać trzeba, że był powabnym jak Antynous... wszystkie subretki paryżkie szalały za nim, a teraz zastąpiły je pewnie damy

światowe... lecz co on właściwie robi w czasie wolnym od pokus grzesznych?...

— Jest głównym kierownikiem przedsięwzięcia budowlanych hr. N. i jego sekretarzem.

— Tak?!... zawiesił się zatem u pańskiej klamki, pociągnęło go tam pokrewieństwo krwi... można to było przewidzieć... Cóż to jednak u was za hr. N., który bawi się w przedsięwzięcia tego rodzaju?

— Człowiek dość czynny i umysłu niepośledniego, mógłby ci być pomocnym... nazywają go u nas drwiąco „hrabią-handlarzem.“ Wielhorski udzieli ci o nim bliższych szczegółów — powiedział Andrzej i wstał nagle z wyrazem zaniepokojenia w oczach.

— Co ci jest?

— Stryj się obudził — odparł Andrzej i zbliżył się ku drzwiom.

W tej chwili bezwzględna cisza, panująca dotąd w dworku, zakłóconą została jakimś dziwnym hałasem i szczeniem.

— Co znaczy ten hałas?

— Chodź ze mną! — odparł Andrzej z miną tajemniczą.

Henryk, zaciekawiony niezmiernie, podążył za przyjacielem na drugą stronę domu. Zatrzymali się obydwoj przed drzwiami, które Andrzej cicho uchylił.

Henryk jednym rzutem oka objął całe wnętrze obszernej komnaty, pogrążonej w półcieniu i przedstawiającej widok niezwykle.

Nie było tu żadnego umeblowania, ani jednego stołu lub krzesła; ściany zawieszono bronią wszelkiego rodzaju z rozmaitych epok, a pod ścianami olbrzymie postacie, jakby wskrzeszonych z grobu rycerzy średniowiecznych w pełnej zbroi, w drucianych kolczugach z koncerzami lub samopalami na ramionach.

Twarze ich były zczerniałe, oblicza marsowe,

o oczy, szeroko rozwarte, patrzyły przed siebie surowo jakby się oburzając na natręctwo ciekawych, którzy przyszedli tu zakłócać ich spokój grobowy.

— To resztki zbrojowni po moim dziadku— powiedział Andrzej półgłosem.

Henryk wszakże zdawał się tych słów nie słyszeć, cała bowiem jego uwaga zwróconą była nie na zbrojne manekiny średniowiecznych rycerzy, lecz na cztery dziwne postacie w błyszczących zbrojach, gładko polerowanych, w takichże hełmach, z opuszczonemi przyłbicami, w których czerniły się tylko otwory na oczy.

Nie widział dotąd nigdy tego rodzaju zbroi w żadnym z muzeów archeologicznych, zresztą były one zupełnie nowe, a i pojedyncze szczegóły ich wykonania świadczyły dowodnie, że był to wyrób nowoczesny.

Ci rycerze z żelaza stali pośrodku komnaty nieruchomo, niby posągi, a przed nimi w pewnym oddaleniu stary Rymsha z nieodstępnym Wrzeszczem.

Nagle posągi drgnęły równocześnie, jakby naraz przebiegł przez nie jakiś prąd tajemniczy, budzący w nich życie, a jednocześnie ozwał się słaby zgrzyt, niby pomruk tłumionego niezadowolenia, poczem dziwne te postacie ruszyły z miejsca, krokiem miarowym i ciężkim, groźnie następując na starego Rymszą i jego sługę.

Henryk patrzył na to zdumiony, przejęty dreszczem bezwiednego przestachu... Zdawało mu się, że te — ożywione nagle ze swej martwoty — posągi, zgniotą sobą starca, który stał niewzruszony w miejscu, zuchwale stawiając czoło grożącemu niebezpieczeństwu.

— Jeszcze jeden krok, a zgniotą go niezawodnie!—przemknęło przez myśl Henrykowi zostającemu w tej chwili pod wrażeniem, podobnem do tego,

jakiego doświadcza się w teatrze podczas jakiegoś dramatyczniejszego momentu akcji na scenie.

Obawy wszakże jego były płonne: posągi, otarłszy się prawie o wyniosłą postać starca, wykonały najprawidłowiej zwrot na lewo i szły ze szczękiem w koło komnaty, aż wreszcie stanęły na tem samem miejscu, z którego rozpoczęły swój pochód i znów zapadły w martwość uprzednią.

Dopiero teraz Henryk ochłonął i przemówił jakby sam do siebie:

— Zdziwiający mechanizm!

Na te słowa w oczach starca zapłonął ogień, a na ustach pojawił się wyraz tryumfu.

— A widzisz, widzisz!... darmo czasu nie tracę, bo go już tak niewiele przedemną.. Andrzej mi niedowierzał.. Ja wam zaś mówię, że cały wasz dzisiejszy porządek, wszystko, wszystko do gruntu zmienię... dajcie mi tylko kilka lat czasu... tylko kilka lat!... Czy pojmujesz wielkość idei, jaka się mieści w mej pracy, w mych usiłowaniach, którym resztę życia poświęcam?... Wojna?! ten staszny wyraz, przed którym drżą mocarze i który gnębi narody, stanie się pustym dźwiękiem, a sama wojna dziecinną igraszką, komedią, turniejem mechaników; bo przecież żywi ludzie nie pójdą walczyć z posągami ze spiżu, którym najstraszniejsze pociski nie zaszkodzą!... Dość będzie setki takich zuchów — dodał, wskazując na środek komnaty — aby zgnieść całą armię!

Oczy starca, gdy to mówił, miały iskry zapalu, a cała jego postać zdawała się rosnąć, potężnieć...

Henryk patrzył na niego z podziwem i uwielbieniem, mimowoli ulegając tchnieniu tej wiary i pewności siebie, jakie ożywiły Rymuszę. Zapomniał, że ma przed sobą maniaka, stojącego już nad grobem, którego umysł błędził od lat wielu w krainie fantazyi. W tej chwili widział jedynie przed sobą ge

nialnego człowieka, którego zdolności twórcze podziwiał, a to tem więcej, że sam wierzył w olbrzymią przyszłość mechaniki.

Była ona zresztą jego specjalnością, a nadto pokutował i w nim oddawna duch wynalazczy; temperament wszakże jego—żywy, gorący, łatwo zapalny, iście słowiański — nie pozwolił mu dotąd skupić się i rozwinąć swych zdolności. Z wielkiem też zainteresowaniem i ciekawością zaczął oglądać i studyować mechanizm przedstawionych sobie „ludzi ze stali“, w czem pomocny mu był starzec, pozwalający chętnie na wszelkie próby.

— Widzę, że znasz się i wierzysz!... Oglądaj, oglądaj; profanom i rzemieślnikom albo sztukmistrzom wara!... Był tu jeden... zuchwalec!... Chciał kupić! Cha, cha, cha!... Pojmujesz?... za pieniądze! Wyrzuciłem go... nie, nie!... Nie zbrudziłem dotknięciem swej ręki. To Wrzeszcz?... Prawda?

— Prawda, pułkowniku... To ja, ja sam ułatwiłem mu odwrót!...

— I dobrześ zrobił! Zuchwalec! Handlarz! Ja miałbym brać pieniądze... Ja?! Za to, nad czem strawiłem tyle nocy bezsennych, tyle wycierpiałem!... O, gdybym przed laty... miał tych moich „zuchów“—byłoby inaczej, inaczej!...

Posmutniał nagle. Na jego wyniosłem, pożółkłem czole pojawiła się zmarszczka głęboka, a oko łzą zaszło.

Andrzej pociągnął Henryka za rękaw i wzrokiem przyzywał do opuszczenia komnaty. Nagły smutek stryja i głęboka bruzda, jaka się zarysowała na jego czole, przejęły go obawą... Wszelkie silniejsze wzruszenie zgubnie odbijało się na zdrowiu starca; tracił wówczas i tę połowiczną samowiedzę i przytomność umysłu, wpadając w stan silnego rozdrażnienia, które umiał łagodzić tylko Wrzeszcz jeden. Henryk, ulegając życzeniu przyjaciela, cofnął się do drzwi. Ruchu tego nie zauważył nawet sta-



rzec, oddany swym myślom. Andrzej tymczasem ujął Henryka pod rękę. Idąc, milczeli, gdyż byli pod silnem wrażeniem sceny poprzedniej.

Pierwszy Henryk przerwał milczenie, mówiąc jakby do siebie:

— Jaka szkoda, jak wielka szkoda dla nauki!... Ten człowiek zdolnym byłby uczynić cuda w mechanice.

Andrzej na tę uwagę nic nie odpowiedział; zdawał się być owiany chmurą wspomnień; nie musiały one być jednak wesołe, gdyż na jego czole i w oczach malował się smutek.

— O czem myślisz?

— O czem?... O przeszłości... o ojcu i stryju.

— Daj pokój!... nie trzeba dotykać ran zabliznionych... Przeszłość nie należy już do nas—przed nami zaś życie i przyszłość... Idźmy z wiarą na jej spotkanie i... nadzieją—dodał po chwili.

— Masz słuszność. Wiele zrobić można jeszcze, należy tylko chcieć i mieć wytrwałość, tej zaś brak nam było zawsze, a i teraz również... Gdy się rozejrzysz po ludziach, poznasz stosunki miejscowe — sam się przekonasz; obyś się tylko nie zraził i nie zniechęcił.

— O, nie!... zostanę w kraju nieodwołalnie. Jutro cię pożegnam raniutko.

— Tak prędko?

— To tylko dlatego, ażeby na długo nie rozstawać się z wami.

— Więc jedź! Jeśli zdrowie stryja nie stanie na przeszkodzie, będę ci towarzyszył... A teraz wypocznij, jesteś zdrożony... doprawdy, zły ze mnie gospodarz i niegościnnie — dodał Andrzej, wprowadzając przyjaciela do swego pokoju sypialnego — zostań tu i połóż się, nie będzie ci nikt przeszkadzał...

— Nie, nie... dziękuję ci, nie czuję się znużo-

nym. Pójdziemy spać razem, zapewne dość wczesnie udajecie się na spoczynek?

Andrzej spojrzął na zegar i odparł:

— Jak zwykle po wiejsku — o 10-tej, za to jednak wstajemy ze świtem.

— Wybornie! zastosuję się przeto do waszego regulaminu; mamy jeszcze dwie godziny czasu na pogawędkę, teraz ósma.

Nie do 10-ej wszakże, lecz do późna w nocy zeszedł im czas na czuwaniu i poufnych zwierzeniach. Tyle mieli sobie do powiedzenia, tyle miłych wspomnień łączyło ich razem, tyle wreszcie projektów wspólnej pracy stawiali przed sobą, że dopiero około godziny 1-ej po północy udali się na spoczynek.

III.

Z wiarą w swą energię i pewnością siebie przyjechał Henryk do Warszawy. Nie był w niej już od lat 15-tu. Uderzyła go przedewszystkiem jej „święteczność.“ Główniejsze ulice i piętrzące się przy nich wyświeżone na zewnątrz gmachy, szerokie, gładkie chodniki, oraz leniwo snująca się po nich strojnie ubrana publiczność, sprawiały to wrażenie. Zdawało się, że ci ludzie, świętecznie ubrani, apatycznie dążący przed siebie, nie mają żadnych zgola interesów, żadnych spraw na głowie, żadnego wreszcie celu, do którego dążą i że każdego z nich możnaby z łatwością zawrócić w przeciwną stronę, bez obawy, ażeby spostrzegł tę zmianę kierunku. Na twarzach ich znudzonych zdawały się być wyryte słowa: „wszystko mi jedno!“

— To, albo ludzie przeżyci, albo też jeszcze żyć się nie nauczyli! — szepnął do siebie i wszedł do pobliskiej cukierni, gdzie umówił się spotkać z Andrzejem.

Kazał podać czarnej kawy i zaczął przeglądać

pisma miejscowe. Przerzucił kilka z nich, jedno po drugim i zaczął się niecierpliwić. Wszystkie one wydały mu się sklecone na jedną modłę i poświęcone przeważnie teatrowi, plotkom miejskim i anegdotycznym wiadomościom ze świata. Polityka w nich była suchą kompilacją z dzienników zagranicznych, bez cienia samodzielności poglądów, teatr zaś, sprawy miejskie i rubryka wiadomości światowych, powtarzały się szablonowo. O sprawach zaś społecznych, o potrzebach kraju, o miejscowym przemyśle i handlu, nie było żadnego artykułu. Nawet polemiki, prowadzone rzekomo w kwestyach zasadniczych, były właściwie wycieczkami osobistymi i zwykłą prywatą.

— Nic dziwnego, że panuje ospałość, skoro najbardziej ożywczy czynnik społeczny, jakim gdzieś bywa prasa, tu jest środkiem kasowym!—powiedział do siebie i zniechęcony odłożył pisma na stronę, poczem rozejrzał się wkoło siebie.

Gości było pełno, wszystkie prawie stoliki w obydwóch pokojach zajęte, w trzecim zaś kłęby dymu tytoniowego świadczyły, że jest również przepełniony. Grano tam w szachy. Mimo tak znacznej liczby osób, napelniających cukiernię, nie słychać było w niej gwaru, do którego nawykł Henryk w tego rodzaju zakładach za granicą. Nie było tu ani grup dysputujących, ani ożywionych sporów, a jeśli kto i przemówił do swego sąsiada, to od niechcienia, jakby tylko dlatego, ażeby się otrząsnąć z ogarniającej senności. Przeważnie jednak każdy zajęty był sobą i swemi myślami, lub też błędził wzrokiem po zczerniałych od dymu złoceniach sufitu.

W pokoju, gdzie grano w szachy, panowała również cisza, przerywana kiedy niekiedy silniejszym posunięciem figury, lub bezmyślnem powtarzaniem po kilka razy jakiegoś urwanego, bezsensownego zdania, lub technicznego wyrazu gry szachowej. Sto-

liki otoczone były zwartem kołem spektatorów o twarzach niewymownie znudzonych i przedwcześnie zwiędłych.

— Tak!... tu jest pole do działania! Ludzie tu znudzeni i chodzą „w pojedynkę.“ W tych warunkach nie jedno musi leżeć odłogiem!... — powiedział do siebie Henryk, wzmacniając jednocześnie postanowienie pozostania w kraju.

Nadszedł Andrzej.

— Nareszcie!... Załatwiłeś interes?—zapytał go na wstępie.

— Tak, nie zupełnie — odparł Andrzej z pewnym pomieszaniem, które nie uszło uwagi przyjaciela.

— Siadaj i odpocznij. Chłopcze, czarnej kawy.

— Nie, nie!... wybacz mi, proszę, lecz na samym wstępie będę musiał cię porzucić.

Henryk zaniepokoił się.

— Co się stało? Może stryj?... Otrzymałeś jakie wiadomości?...

— Nie, Henryku, co innego... mam inną sprawę na głowie, opowiem ci kiedyindziej, a teraz muszę się spieszyć... Daruj mi, przyjacielu!

— Cóż znów!... Miałbyś się mną krępować lub ja tobą? Wyjeżdżasz zatem?

— Tak, niedaleko... jutro zobaczymy się.

— Więc idźmy!..

Silnym, nerwowym uściskiem dłoni Andrzej pożegnał przyjaciela i wskoczył do pierwszej dorożki. W oczach jego małowało się teraz wielkie zaniepokojenie, którego nawet ukryć nie usiłował. W ostatniej wszakże chwili rzucił Henrykowi przypomnienie:

— Pójdź tymczasem do Wielhorskiego, on cię o wielu rzeczach poinformuje.

— Dobrze, dobrze!... powracaj prędko.

Dorożka pomknęła. Patrzył za nią Henryk

czas jakiś, poczem zawrócił w stronę ogrodu Saskiego.

Niespodziany odjazd Andrzeja, jego pomieszanie i niepokój, gdy wspomniał o tej „innej sprawie“, którą miał na głowie — dały mu wiele do myślenia.

— Czyżby i on?... — szepnął do siebie i dziwnie się uśmiechnął, poczem zadeklamował półgłosem: „...robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.“

Ogród Saski, mieniący się wszystkimi odcieniami wiosennej zieleni, wabił ku sobie świeżością trawników szmaragdowych i cieniem rozrosłych, poważnych kasztanów. Spacerujących było nie wielu, jedna tylko uprzywilejowana aleja z lewej strony od wejścia głównego, w pobliżu cukierni, ożywioną była ruchomą panoramą motyli barw — wiosennych narzutek, parasolek i kapeluszy damskich, oraz lśniących cylindrów męzkich. Wszyscy tu — zarówno kobiety, jak i mężczyźni, byli strojni i wyświeżeni.

— Ruchoma wystawa magazynów, strojów i... niezdrowych pragnień! — pomyślał Henryk i szedł wolno, przyglądając się uważnie spacerowiczom. Nagle wzrok jego spoczął na młodym mężczyźnie i zatrzymał się dłużej nieco, a po chwili na ustach pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Nie mylę się... to on niewątpliwie — nasz piękny Rajmund!

Istotnie, mężczyzna, który się zbliżał, a do którego stosowały się słowa Koryckiego, był, jeśli nie pięknym, to bardzo przystojnym: brunet, z delikatnie wygiętym, ciemnym wąsem, wzrostu dobrego, zgrabny i kształtny — szedł, wspierając się niedbale na lasce ze złotą gałką i takimże monogramem. Szedł z pozorną obojętnością człowieka popularnego, który wie dobrze, że zwraca na siebie uwagę powszechną.

— Ten człowiek musi mieć dyabelne szczęście! — pomyślał Henryk, patrząc na wytwornisia, któ-

ry był już od niego na odległości paru kroków, nie widząc go dotąd i minąłby go zapewne, nie zauważywszy wcale, gdyby Henryk nie zatrzymał go okrzykiem:

— Wielhorski!

Ten drgnął i stanął jak wryty. Jednym rzutem oka, szybkim jak błyskawica i jakby trwożliwym, objął całą postać Koryckiego, poczem zawołał, wyciągając do niego rękę:

— Henryk!

— Poznałeś mnie?

— Mógłżeś wątpić? Dawno jesteś w Warszawie?

— Od paru dni dopiero.

— A to traf szczęśliwy!... Lecz chodźmy ztąd z tego tłumu — dodał pośpiesznie i ujawszy Henryka pod rękę, pociągnął go prawie za sobą.

W jednej z ustronnych i pustych alei zatrzymał się przed ławką, mówiąc:

— Usiądźmy tu!.. Powiedz-że mi, jaki traf szczęśliwy tu cię sprowadził? Na długo?—pytał Wielhorski, a jednocześnie wzrok jego ślizgał się nieznanie, ukradkiem, po całej postaci towarzysza.

— Czy szczęśliwy, nie wiem... na jak długo, wiedzą bogowie, pragnę tu pozostać—odparł Henryk i nagle zmieniając ton, zapytał głosem drwiącym nieco, patrząc mu prosto w oczy: — Powiedz mi, Wielhorski, czy nie jesteś czasem właścicielem magazynu krawieckiego?

Ten zrazu zachmurzył się, po chwili wszakże przymuszając się do uśmiechu i siłąc się na ton żartobliwy, odparł:

— Nie pozbyłeś się, jak widzę, swoich żartów studenckich, tym razem nie domyślam się, o co ci chodzi.

— Nie domyślasz się?... a jednak przyglądasz się tak pilnie szwom mego surduta, jakbyś studyował gatunek przeświecających już nieco nitek!

Wielhorski poczerwieniał zlekka, natychmias! wszakże roześmiał się głośno i powiedział:

— Wybacz mi, lecz wyznam ci szczerze, że zwrócił moją uwagę wyborny krój ubrania, nasi krawcy tak uszyć nie potrafią.

„Wykręca się sianem“—pomyślał Henryk, a głośno dodał:

— Jak widzę, studyujesz sztukę krawiecką nie na żarty, czy pamiętasz jednak, jakeśmy mieli we trzech aż dwa żakiety, dzięki czemu każdy z nas kolejno musiał pilnować w domu naszych ruchomości, których, nawiasem mówiąc, wcale nie było. Trwało to tak kilka miesięcy! Dobre to były czasy, a i z ciebie był nieoceniony chłopak, chociaż zbyt często przyprowadzałeś nam rogi. Żal mi tych dni nieustannej a wesołej troski o kolację i śniadanie.

— A mnie wcale, wołę zawsze „dziś,“ niż „wczoraj,“ chociażby ono było najlepsze. Więc dopiero od dni kilku przyjechałeś! Dlaczego nie wprost do mnie?—dodał z odcieniem wyrzutu w głosie i nie czekając odpowiedzi na swą uprzejmość, dodał szybko:—O Rymszy zapewne nic nie wiesz?

— Owszem, przed chwilą z nim się rozstałem, przyjechaliśmy tu razem.

— Doprawdy? Więc byłeś u niego? Widziałeś jego stryja-maniaka, który traci na swe szaleństwo reszki majątku? Andrzej odziedziczy po nim chyba manekiny tylko.

— I chlubną, nieskazitelną pamięć zacnego żywota!—zauważył Henryk tonem surowym niemal.

Wielhorski przygryzł usta i nic nie odpowiedział. Zdawna obawiał się on szorstkiej szczerości Henryka, od wypowiedzenia której nic go powstrzymać nie mogło. On zaś, obracając się w atmosferze „okrągłych frazesów“ i przesadnej uprzejmości, zbytnią szczerłość uważał poprostu za grubiaństwo, dlatego też zmienił w tej chwili przedmiot rozmowy i zapytał:

— A ty, Henryku, co czynić zamierzasz?

— Zamiary mam wielkie — odparł z zagadkowym uśmiechem.

— Zostajesz u nas?... Czyżbyś utracił korzystną posadę w Belgii?...

— Bynajmniej, dotąd jestem kierownikiem szkoły technicznej.

— Jakto?... i mimo to chcesz osiąść w kraju? Są tu bardzo trudne warunki wywalczenia bytu!

— Tak nie sądzę... zresztą jak dla kogo!... Ty na przykład nie narzekasz chyba?

— Ja?... to prawda, lecz sprzyjały mi wyjątkowo szczęśliwe okoliczności—odparł tonem chwiejnym nieco.

— Sproбую i ja przychylić je na swoją stronę; słyszałem od Andrzeja, że hr. N., twój protektor, jest człowiekiem przedsiębiorczym... Co to za osobistość?

— Wykolejony arystokrata, który radby jak najprędzej otrząsnąć się z rozlicznych interesów, podjętych w imię przebrzmiałych hasel pracy organicznej. Wziął się nie do swoich rzeczy i wbrew tradycji i nawykniom.

— Jednakże jest podobno właścicielem rozlicznych przedsiębiorstw i zakładów przemysłowych — wtrącił Henryk.

— To prawda, lecz do czasu tylko; stopniowo jednak streszcza się i ogranicza, zmniejszono nawet i personel oficyalistów—dodał z naciskiem.

Henryk roześmiał się.

— Powiedziałeś to takim tonem, jakbyś chciał mnie ostrzedz przed z góry przewidywanym zawodem, gdybym chciał ubiegać się o jaką posadę u pana hrabiego.

Wielhorski zmieszał się.

— Cóż znowu? Wiedząc, jak wybitne zajmujesz stanowisko, nie mogłem nawet mieć tego na myśli.

— Tem lépiej, nie o posadę bowiem mi chodzi, przyjechałem tu w celu samodzielnej pracy dla swoich, no i dla siebie, pragnąłbym założyć fabrykę jedną i drugą...

— A, to rzecz inna!—zawołał Wielhorski, a jednocześnie w całej jego postaci, w spojrzeniu, w intonacji głosu zaszła jakaś zmiana, ledwie dostrzegalna wszakże.—Winszuję, winszuję!—dodał z radosnym wylaniem—potrzeba tu ludzi czynu i energii, a takim byłeś zawsze.

Na ustach Henryka pojawił się uśmiech przełotny.

— Dziękuję ci, dziękuję!... komplementa twe wszakże są przedwczesne, nic jeszcze nie uczyniłem, aby na nie zasłużyć.

— Przeciwnie—podchwycił szybko—wybiłeś się sam, bez czyjejkolwiek pomocy, a to już wiele, bardzo wiele!... Lecz cóżmy gawędzimy w ogrodzie?... Chodź-że do mnie, mieszkam tu niedaleko — dodał, powstając.

— Owszem, idźmy.

Wyszli z ogrodu na ulicę Wierzbową. Wielhorski mieszkał w jednym z okazałych pałaców swego protektora, gdzie mieściły się jednocześnie i biura rozległej administracji rozlicznych przedsiębiorstw magnata. Kawalerskie to mieszkanie było właściwie eleganckim apartamentem, złożonym z 4-ech pokoiów na pierwszym piętrze, do których wchodziło się po schodach marmurowych, zasłanych kosztownym chodnikiem dywanowym.

Lokaj drzwi mu otworzył.

Urządzenie mieszkania było również wytworne, jak i wejście, prowadzące do niego. Meble obite adamaszkiem ponsowym; na stołach i biurku mnóstwo kosztownych fraszek, albumów i najświeższych książek francuskich; kilka rzadkich rycin i wcale niezłych obrazów olejnych, zdawały się świadczyć o do-

statku i pewnej nawet zamożności, oraz dobrym smaku właściciela mieszkania.

— Jak na kawalera, mieszkasz wcale ładnie, nawet lepiej i wygodniej, aniżeli mieszkaliśmy w Paryżu nu 7-em piętrze — zauważył Henryk.

Wielhorski roześmiał się.

— Jeśli nie lepiej, to nieco przestroniej—odparł, dostrajając się do tonu swego gościa—pozwolisz sobie służyć szklanką wina?

— Piję tylko bardzo lekkie.

— Mam właśnie łagodny „sauterne,” wcale niezły.

— Owszem, po kawie czarnej w waszej cukierni powinienem przepłukać gardło.

— W tej chwili ci służę.

To rzekłszy, wyszedł, a po chwili lokaj przyniósł na tacy butelkę wina i kieliszki, Wielhorski zaś powrócił z pudełkiem cygar w rękę.

Usadziwszy gościa w wygodnym fotelu przy oknie, sam zajął miejsce przy biurku i zapaliwszy cygaro, zagadnął:

— Opowiedz-że mi cośkolwiek o tych dziesięciu latach, spędzonych w obcych krajach. Rymsza wspominał mi, że jeździłeś do Ameryki nawet dla dalszych studyów praktycznych?

— Nie, tylko dla przyjemności, nie przeszkodziło mi to wszakże przyjrzeć się zblizka wielkiemu ich przemysłowi i olbrzymim fabrykom, o jakich w Europie pojęcia nie mają: Ten naród wyprzedził nas o wiek cały. I doprawdy, nie wiadomo, czemu się więcej dziwić, czy nadzwyczajnym ich zdobyczom na drodze cywilizacyjnego postępu, czy też zastojowi, jaki u nas panuje. Zresztą, nie potrzebuję nad tem zbytnio się rozszerzać, są to rzeczy powszechnie znane. Opuszczam przeto z łatwością Amerykę i wracam do Europy, a właściwie do kraju, w którym pragnąlbym ujrzeć choć cząstkę tych „plusów,” na jakie patrzyłem za oceanem.

— Ha, próbuj!... chociaż to nie przyjdzie ci tak łatwo.

— Dlaczego?

— Bo „plusy,” jakie mieliśmy dotąd, zużyły się, a nowe się jeszcze nie wyklóły — odparł Wielhorski z kwaśnym uśmiechem.

— Jakże żyjecie?

— Na kredyt.

— Obcinacie tedy kupony przyszłości!... Ależ to prosta kradzież, gorzej — rabunek przyszłych pokoleń!

— Cóż chcesz... To dziedziczne!.. Dziedziectwem tem wszakże jesteśmy pokrzywdzeni podwójnie, gdyż apetyt pozostał ten sam, a kredyt znacznie mniejszy. W kraju bieda ogólna, zastój ekonomiczny, brak pracy.

— A jednak pola do niej podatne leżą odłogiem — zauważył Henryk.

— To trudno!... któż je zechce uprawiać, nie będąc pewnym zbioru plonów; sam wiesz zresztą, że mnóstwo przyczyn złożyło się na takie zubożenie, na tego rodzaju apatyę w życiu społecznym, którego dewizą — z konieczności, stała się „tymczasowość,” bez oglądania się na przyszłość, nie zapowiadając nic tak dalece dobrego.

— Ależ to dobrowolne samobójstwo!... — zawołał Henryk z oburzeniem.

— Hm, wyrażenie zbyt silne, według mnie jest to tylko stan przejściowy, faza oczekiwania.

— Aż gruszki wyrosną na wierzbie! — dodał Henryk drwiąco — a tymczasem cudzoziemcy śmieją się z nas i wyzyskują naszą głupotę, zalewają swoim żywiołem nasze kresy, napelniają fabryki, opanowują handel, słowem, wypierają nas zewsząd, wyciskając jak cytrynę, gromadzą kapitały, potężnieją naszym kosztem.

— Tak, to prawda — potwierdził Wielhorski tonem obojętnym.

Spojrzał na niego gniewnie prawie.

— I wobec tej uznanej prawdy nic się nie czyni, żeby obudzić się z letargu, przeciwdziałać złemu, odeprzeć zalew obcych żywiołów? — mówił Henryk cały wzburzony, a zerwawszy się z miejsca, zaczął chodzić po pokoju.

W jego głosie dźwięczała gorycz, a rysy twarzy ruchliwej drgały nerwowo, świadcząc o wzburzeniu wewnętrznym.

— Entuzyasta! — powiedział do siebie Wielhorski, potakujący mu dotąd z pewnego rodzaju apatyą człowieka, zmuszonego przez grzeczność do słuchania o rzeczach, które bardzo mało, albo wcale go nie obchodzą. Jednocześnie wszakże czuł, że w tem, co mówi Korycki, jest coś niepokojącego i drażniącego, co może zakłócić spokój i równowagę myśli, płynących wązkim korytem błyskotliwych pragnień i samolubnych rozkoszy.

To też patrzył na niego prawie z niechęcią, postanawiając oprzeć się temu prądowi niepokojów, usiłującemu przemocą wedrzeć się w jego sferę życiową. Jednym rzutem oka objął swój apartament kawalerski, miękkie w nim dywany, obrazy, meble kosztowne i różne drobiazgi, mile wabiące oko; było mu tu tak dobrze, wygodnie, z taką łatwością snuła się tu barwna przedza przyjemności życiowych, że nie miał wcale ochoty dobrowolnie jej przerywać, lub pozwolić komu targnąć się na nią, w imię jakichś niedoścignionych celów i ideałów.

— Zresztą, czego on chce? — myślał. — Życie ma swoje niewzruszone prawa, nic się nie dzieje bez przyczyny i jak jest, tak być musi. Tylko szaleńcy lub głupcy mogą porywać się na zwrócenie prądu rzeki w stronę przeciwną; ani pierwszym zaś, ani drugim być nie chcą! — zdecydował ostatecznie.

Od tej chwili w rozmowie dwóch dawnych kolegów i przyjaciół zapanował widoczny przymus, pod wpływem którego Henryk ochłódł i „zgrzeczniał.“

jak to powiedział sobie w myśli Wielhorski. Rozstali się wszakże z sobą na pozór serdecznie i po przyjacielsku.

— Nie wątpię, że zobaczymy się prędko. Gdzie mieszkasz? — zapytał Wielhorski na odchodnym.

— W hotelu Saskim.

— To bardzo ztąd blisko, wpadnę którego dnia, żeby ci pokazać dzisiejszą Warszawę... mamy teraz letni karnawał: wyścigi, nowości w teatrze. To też przyjezdnych ze wsi mnóstwo i ożywienie wielkie, można się zabawić.

— Nie dla zabawy tu przyjechałem, mój drogi — odparł Henryk.

— To nic nie szkodzi! Można połączyć przyjemne z pożytecznym; przyjrzyj się ludziom, poznasz ich, a to przy twych projektach zbytecznym nie będzie. Jeśli mógłbym w czemkolwiek ci się przydać, rozporządzaj mną. Dobrzeby również było — dodał po chwili wahania — gdybyś mógł wyciągnąć ze wsi i Andrzeja, przypomnielibyśmy sobie dawne „dobre,” jak je nazywasz, czasy... Ten człowiek marnuje się dobrowolnie, odsunął się od ludzi, od świata, zaprzepścił talent i pleśnieje.

Przez usta Henryka przesunął się ironiczny uśmiech, chciał zrazu odpowiedzieć jakąś złośliwą uwagą, lecz powstrzymał się i zapytał tylko:

— Widujecie się często?

— Bardzo rzadko!... Nasze koleżeńskie stosunki rozluźniły się, czego szczerze żałuję — odparł Wielhorski, mówiąc jakby sam do siebie i unikając wzroku Henryka, po chwili zaś dodał, ożywiając się nagle: — mam nawet prośbę do ciebie, nietylko w imieniu mojem — pośpieszył uzupełnić — dobrzeby było, gdybyś mógł wyrwać go z tego odrętwienia duchowego i ściągnąć do Warszawy, proszono mnie właśnie o to...

Urwał nagle, jakby spostrzegłszy się, że powiedział za wiele.

— Kto cię prosił?—zagadnął Henryk z zaciekawieniem.

Wielhorski zaraz nie odpowiedział, przez chwilę zdawał się wahać, aż wreszcie odparł obojętnie:

— Kilka życzliwych mu osób i wielbicieli jego talentu.

— Aa!...

— Przyrzekasz więc?

— Owszem, powiem mu o tem.

— Nie, nie!... Nie mów mu przedewszystkiem, że to odemnie pochodzi — zawołał Wielhorski — nie trzeba, żeby się domyślał nawet, lepiej byłoby, gdyby się to stało nieznacznie, jedynie za twoim wpływem. Wspomniałem ci już, że stosunki nasze koleżeńskie rozluźniły się. Andrzej stał się dziwnie podejrzliwym i nietowarzyskim; niedarmo go tu nazywają „człowiekiem dzikim.“

— Zdziwiasz mnie, ja bowiem wcale tego nie dostrzegłem; wydaje mi się człowiekiem normalnym.

— Pozornie, pozornie tylko, mój drogi! Już to samo, że będąc prawie u szczytu powodzenia literackiego, rzucił wszystko i zakopał się na wsi, dowodzi co najmniej wielkiej ekscentryczności, zresztą nie będę nad tem się rozszerzał, z czasem przyznasz mi słusność, teraz zaś chodzi o to, żeby go zatrzymać w Warszawie na dłużej, pora potem odpowiednia, może go parotygodniowy pobyt wśród nas orzeźwi, powróci do życia. Więc dobrze? postarasz się o to?—pytał nalegająco.

— Owszem, zresztą i sam rad będę, że po tyłu latach niewidzenia spędzę z nim jakiś czas nierozłącznie; przypuszczam, że trudności w tem żadnych nie znajdę.

— Tem lepiej, tem lepiej!... A więc pamiętaj!—

powiedział Wielhorski, ściskając silniej rękę swego kolegi.

Gdy Korycki znalazł się już na ulicy, powiedział do siebie, formułując swe zdanie o Wielhorskim:

— „Człowiek w masce!”

Dorożka, do której wsiadł Andrzej, pożegnawszy się tak niespodzianie z Henrykiem, toczyła się bardzo szybko po ulicach miasta: woźnica popędzał gorliwie konie, zachęcony obietnicą sutej zapłaty, mimo to jednak zdawało się Rymszy, że jedzie bardzo wolno, dlatego też kilka razy odezwał się nagląco:

— Prędzej, prędzej, mój bracie!

— Jedziemy i tak ostro, wielmożny panie—tłomaczył się woźnica, lecz jednocześnie podciął konie i głosem zachęcał je do pośpiechu.

Andrzej tymczasem odczytywał, po raz dziiesiąty raz, zmiętą kartkę, na której drobnym pismem nakreślonych było kilka wierszy. Kartkę wręczył mu szwajcar hotelu, w którym razem z Henrykiem zamieszkał; treść jej była następująca:

„Drogi braciszku! Wczoraj, zaraz po twoim wyjeździe, ciotuchna zasłała i omdlała!... Bardzo się niepokoję!

Eli.“

— Biedactwo moje!... — szeptał do siebie, wpatrując się w drobne literki z jakimś roztkliwieniem w oczach. Skupiony w sobie, surowy niemal wyraz jego twarzy znikł, z czoła ustąpiła głęboka zmarszczka, wrzynająca się między brwi czarne, a w oczach ciemnych, głęboko osadzonych, rozlał się, zda się, cały ocean czułości... Objęty nią, utracił na chwilę samowiedzę i nie spostrzegł, że dorożka minęła już rogatki i toczyła się po szosie podmiejskiej, aż wreszcie skręciła w boczną drogę, wysadzaną drzewami. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy dostrzegł niewielki

dworek, przeświecający białością swych ścian poprzez zieleń go otaczającą.

Nie czekał, aż dorożka się zatrzyma i wyskoczył z niej. Powitał go lekki okrzyk przestachu, a przed oczami mignęła postać dziewczęcia, dziecka prawie.

— Ach, jakiś ty dobry, braciszku!

Udał, że nie słyszy i nie dostrzega dziewczęcia, które wybiegło na jego spotkanie. Powoli rozplątał się z dorożkarzem, a jednocześnie twarz jego przybrała wyraz zwykłej powagi i zamyślenia. Dziewczę tymczasem, zniecierpliwione widocznie, podbiegło i zawisło na jego ramieniu, mówiąc prędko, głosem zdyszczanym:

— Już nic, już nic!... wszystko dobrze, ciotuchnie lepiej!... jaki dobry, jaki dobry!

Trzepotała się przy nim jak oswojony ptaszek, a srebrny, pieszczący jej głos rozplątywał się w powietrzu, niby pieśń radości życia. Dopiero teraz zwrócił głowę i spojrzał na nią wzrokiem poważnym, a ująwszy jej drobne ręce w swe dłonie i przytrzymując je silnie, powiedział tylko:

— Eli, Eli! ..

Zdawała się nie słyszeć, czy też nie rozumieć napomnienia, dźwięczącego w głosie Andrzeja i podobna rozkapryszonemu dziecku, ufającemu w magiczną siłę swych figlów i pieszczot, wspięła się na palcach, usiłując zajrzeć mu w oczy. Zrazu wyraz surowej powagi, rozlanej na jego twarzy, strwożył ją; skurczyła się nagle jak młode rozigrane lwiątko, czemś niespodzianie przerażone, zmalęła w jego oczach, stając się dzieckiem prawie. Trwało to jednak sekundę zaledwie, gdyż w tej samej chwili udało się pochwycić błysk jego dobrotliwego spojrzenia. Wystarczyło to, aby ją nanowo ożywić. Wybuchnęła nagle kaskadą śmiechu i całym swym ciężarem zawisłszy na jego rękę, zawołała:

— Aha, nieprawda!... udaje, nie gniewa się!...

— Eli!... co ty wvrabiasz?

— Nie! nie, nie wierzę!... Ach, jakam rada, jak szczęśliwa!...

Zawstydziła się nagle, pobladła od przyspieszonego biegu policzki oblały się purpurą, opuściła wzrok pomieszana i mimowoli spojrzała na swe ręce powalane ziemią, mocno zaczerwienione i mokre jeszcze. Wyrwała mu je nagle i schowała za siebie, poczem spojrzawszy na Andrzeja, wybuchnęła znów śmiechem, mówiąc:

— Proszę, jakie śliczne ręce!... Czy to tak ładnie przyjeżdżać w gościnę?...

Dopiero teraz Andrzej zauważył, że jego ręce i mankiety powalane były mokrą ziemią i w tej samej prawie chwili sztuczna powaga jego prysła odrazu. Roześmiał się mimowoli i powiedział:

— Dziecko, nieżnośne dziecko z ciebie!...

Jednocześnie wszakże dostrzegłszy, że cała sukienka dziewczyny zbrukana była błotem, mokrem jeszcze, zaniepokoił się.

— Eli, co ci się stało? Znowu coś zbroiłaś?... Upadłaś pewno?

W jego głosie dźwięczał tym razem taki ogrom czułości i troski o nią, że twarz dziewczyny zajaśniała dziwnie: zdawało się, że cały snop promieni słonecznych padł na nią. Nie odpowiedziała też nic, lecz przymknęła oczy i zastygła w jakimś upojeniu rozkosznem. Biły od niej blaski... Andrzej olśniony patrzył na nią, pieszcząc wzrokiem jej złote ze słonecznym odcieniem włosy, rozrzucone w nieładzie na głowie, wpatrywał się w twarzyczkę, dziecianną prawie jeszcze, o rysach subtelnie rzeźbionych, w różowe zlekka rozchylone usta, w maleńkie—przeświecające całą siecią drobniutkich, czerwonych żyłek uszy, w jej gorszaledwie zarysowany i zlekka falujący...

Wydała mu się w tej chwili jakimś cudnym zjawiskiem, utkanem z mgły i iskier słonecznych. Szybko jednak oprzytomniał, zmieszany widocznie

chwila tej niemej kontemplacyi, poczem powtórzył swe pytanie poprzednie, głosem poważnym:

— Mów-że, Eli!... upadłaś?

Zadrżała zlekka, jakby przebudzona nagle ze snu na jawie, wolno podniosła powieki i odparła cicho, głosem dziecka wyznającego swą winę:

— To nic!... łowiliśmy raki... ach Boże!... jakie one śmieszne!

— Znowu coś nowego!... „Łowiliśmy raki...“ I z kimże to, jeśli wolno zapytać?

— Z Jankiem „kowalczykiem.“

— Piękne towarzystwo dla dorosłej prawie panny! — zauważył z niezadowoleniem.

Spochmurniała w jednej chwili i odparła głosem drżącym:

— Mój Boże!... więc z kimże miałam pójść?... całymi tygodniami sama, sama!

Podszedł do niej i ująwszy ją za rękę, zapytał łagodnie:

— Nudzisz się tu, Eli?

Nie odpowiedziała nic, tylko uparcie patrzyła w ziemię.

— Nic mi nie chcesz odpowiedzieć? — zapytał raz jeszcze, nachylając się ku niej.

Podniosła nagle głowę i utkwiała weń błękity swych oczu; błyszcząły w nich łzy.

— Nie, nie!... ja się nie nudzę, jakaż ja niedobra!... — zaprzeczyła gorąco: a po chwili dodała z wielkiem rozżaleniem: — mnie tylko czasem tęskno, bardzo tęskno!...

— Za czem?...

— Za czem?—nie wiem sama, lecz coś się ze mną dzieje złego... jestem bardzo, bardzo niedobra!...

Wypowiedziała to szeptem, ledwie dosłyszalnym.

— Wytłomacz się jaśniej, Eli, zapewne to jakieś przywidzenia dziecinne — powiedział Andrzej z dobrocią niezmierną.

— O nie, ja wiem dobrze... kiedy ciotuchna

zasłabła i omdlała, z początku przeraziłam się okropnie, gdy jednak Jacentowa przyszła ciotuchnę ratować, pobiegłam w tej chwili napisać kartkę i zaraz się uspokoiłam... nie było mi nawet żal ciotuchny! Płakałam potem w nocy bardzo, żem taka zła, bez serca...

Mówiła to głosem urywanym, rozżalonym, rwąc na strzępki kokardkę niebieską, przypiętą do stanika.

Andrzej wysłuchiwał skarg dziewczyny w skupieniu poważnem, a jednocześnie czuł, że ogarnia go jakieś dziwne rozrzewnienie, napływające łagodną falą do jego piersi... Ta spowiedź serca, czystego jak kryształ, była wielce dlań znaczącą i wzruszyła go do głębi... W pierwszej chwili chciał porwać na ręce to dziecko-kobietę i powiedzieć głośno, że jest dla niego promieniem z nieba, iskrą natchnienia, skarbem i radością życia. Myśl ta przemknęła jak błyskawica... przeląkł się jej i opamiętał... Wzrok jego wszakże promieniał w tej chwili niezwykle i gdyby dziewczyna spojrzała na niego, odgadłaby stan jego duszy... Oczy jej jednak utkwione były w ziemię, a ona sama stała, zakłopotana niezmiernie, przygnębiona swem samcobwinieniem, które wyrwało się jej niespodziewanie, a którego znaczenia nie oceniała dokładnie. Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia. Nareszcie Andrzej oprzytomniał zupełnie i uczyniwszy nad sobą niezmierny wysiłek woli, odezwał się głosem poważnym:

— Wielkie jeszcze z ciebie dziecko, moja Elżuniu... Skoro cioci było już lepiej, nic dziwnego, żeś się uspokoiła, lecz chodźmy do niej — dodał, biorąc ją za rękę.

Ciotka Eli — pani Żywińska, była osobą schorowaną i przykutą już od lat wielu do swego fotelu. Dla siebie od życia nic już nie oczekiwała, utraciwszy wiarę w skuteczność środków lekarskich, którym męczono ją przez lat kilka; to też jedyną nicią,

przywiązującą ją do życia i jego radością, była Eli— córka jej siostry ciotecznej, która umarła, osierocając dwuletnią zaledwie dziewczynkę, podobną naówczas do cherubinka. Pani Żywińska, kochając bardzo to dziecko, wymogła na ojcu, że je powierzył jej opiece. Po dwóch lat umarł i ojciec, czteroletnia przeto Elżunia Tonicka pozostała na zawsze u swej ciotki, która przywiązała się do sieroty całą głębią uczucia kobiety osamotnionej i nie mającej żadnego celu w życiu. Stała się ona dla niej radością i światłem, rozjaśniającem mroki dni ostatnich. Dziecko wychowało się też pod jej okiem, rozwijając się powoli w kwiat cudny. Opiekunka śniła dla swego skarbu o tęczowej przyszłości, dlatego dokładała wszelkich starań, aby w tem pięknem dziecku rozwija się również i piękna dusza, oraz żeby nie stała się podobną lalce na nieszczęście własne i tego, komu ją losy powierzą. Nie przeciążając przeto umysłu dziecka zbyt wczesnie naukami, usiłowała przedewszystkiem pielęgnować i rozwijać skarby jej serca, wierząc niezłomnie, że tylko przez nie kobieta może zdobyć prawa do szczęścia. Tym sposobem dziewczynka pod opiekuńczem skrzydłem swej światłej opiekunki rosła, jak ptak swobodnie, a duchowa jej istota nie została skażoną żadnem tchnieniem niedobrem. W tym czasie jednak na panią Żywińską spadło niespodziane nieszczęście; zaczęła powoli tracić władzę w nogach, aż wreszcie przykutą została do fotelu na zawsze... Od tego czasu role opiekunki i wychowanki zmieniły się. Eli w swem tkliwem sercu odczuła głęboko nieszczęście, które dotknęło jej „ciotuchnę,“ i rozumiała obowiązki, jakie z niego wynikały. Był ich materyalny był zabezpieczony, oprócz wygodnego domku mieszkalnego ze sporym ogródkiem, p. Żywińska miała i kapitał niewielki, ułożony w Warszawie. Procent od tej sumy wystarczał na skromne ich utrzymanie.

Jednego wszakże roku procentów nie otrzymała,

natomiast zawiadomiono ją w drodze urzędowej, że dom, na którym umieszczoną była suma, wystawiony został na licytację. Przeraziła się tem niezmiernie, nie wiedząc, co czynić, ani też do kogo udać się o poradę. Słyszała nieraz od ciotki, że Andrzej Rym-sza, którego nazwisko głośnieć już wówczas było w kraju, jest skuzynowany z rodziną jej męża nieboszczyka i że go znała, gdy był jeszcze studentem. Dziewczątka było przekonane, że taki człowiek, co książki pisze, którego wielbią wszyscy, musi być niezmiernie dobrym i niezmiernie potężnym i że wszystko, co zechce, uczynić może. Z myślą tą zwierzyła się ciotce, która ku wielkiej jej radości, pogładziła ją czule po głowie, mówiąc:

— Bóg cię natchnął widać — dziecko!... Tak, on, chociaż może mnie i nie pamięta, nie odmówi pomocy bezradnej kobiecie...

I istotnie — nadzieje te nie zawiodły... Andrzej, wezwany krótkim liścikiem, przyjechał natychmiast i wziął do serca sprawę pani Żywińskiej, wzruszony do głębi jej losem, niemniej również zainteresowany niezwykłą inteligencją i urodą dziewczynki. Stał się on dla nich odtąd prawdziwym duchem opiekuńczym. uczynił dla niej znacznie więcej, aniżeli mogłaby ocze-

Przekroczył on mianowicie dane sobie pełnomocnictwo w sprawie pieniężnej i ukrył przed nią smutną prawdę: suma bowiem p. Żywińskiej, ulokowana na hypotece, spadła, uratowaną została zaledwie jej część. O tem wszakże nie dowiedziała się nigdy. Andrzej przywoził jej regularnie procenty, zapewniając, że kapitał pozostał i nadal na poprzednim domu, który zmienił tylko swego właściciela. I odtąd życie osamotnionej dotąd kobiety i jej wychowanki popłynęło raźniej. Andrzej stał się częstym gościem w dworku podmiejskim, uciekając tam zawsze, ile razy zbyt popularność ulubionego pisarza dawały mu się za bardzo we znaki. Dla mieszkanki zaś zacisznego ustronia, odciętego od świa-

ta, każdy jego przyjazd stawał się niby strumieniem odżywczym, promieniem światła i radości, szczególnie dla Eli. Dziecku temu Andrzej wydawał się jakimś zarzwanym królewiczem, który porzucał swe państwo i wielbiących go poddanych, aby spędzić kilka godzin w towarzystwie „kopciuszka,” jak nazywała często w myśli sama siebie.

Umysł jej rozwijał się niezmiernie szybko, a wyobraźnia, karmiona poezją mistrzów, obcowaniem z naturą i długimi chwilami samotnych rozmyślań, bujała po zaczarowanych krainach fantazyi. Nie przedstawiała wszakże być dzieckiem, niekiedy bardzo swawolnem, pełnem naiwności, nie zdającym sobie ani na chwilę sprawy, że jest już panienką dorastającą, a do tego barzo ładną. O swej urodzie i charakterach, jakie płynęły od niej, nie miała, zdaje się, najmniejszego pojęcia. Andrzej, zainteresowany niezwykłą organizacją duchową tego dziecka i rozmiłowany w jego powabnej, wdzięcznej powierzchowności jako artysta, zajął się gorliwie zaniemaniem cokolwiek przez chorobę p. Żywińskiej dalszem kształceniem Eli. Książek i podręczników nie zbrakło, nazwoził ich mnóstwo, utworzywszy w małym dworku zasobną bibliotekę naukową. W ten sposób utrwały się stopniowo serdeczne nici, łączące głośnego pisarza z podmiejskim dworkiem i jego mieszkankami... Wielki przeto zapanował tam smutek, gdy pewnego razu Andrzej oświadczył, że miasto opuszcza, aby stale zamieszkać na wsi ze stryjem. Eli, trzynastoletnie już wówczas dziewczątko, zalało się łzami i długiego czasu potrzeba było, żeby ten żal ukoić. Dopiero solenne zapewnienie Andrzeja, że tylko kilka godzin drogi będzie ich dzieliło i że również prawie często, jak i dotychczas, będzie gościem we dworku, uspokoiły nieco rozżaloną dziewczynę. Ucałował ją wówczas gorąco i powiedział, że uważa ją za swą małą siostrzyczkę, zabraniając siebie nazywać inaczej, niż bratem. Przynależęń swych dotrzymał,

nie przyszło mu to zresztą zbyt trudno, coś go ciągnęło do dworku; to też przynajmniej raz na dwa tygodnie, a niekiedy i częściej przyjeżdżał...

Uszczęśliwiona jego przybyciem Eli, zdawała egzamin z wyznaczonych jej lekcji, zdumiewając go pilnością i pojętnością niezwykłą. Dzieląc się z nią swą wiedzą, nie zdawał sobie sprawy z tego, że to dziewczę staje się powoli najlepszą i najmiłszą częścią jego własnej istoty duchowej.

Nieświadome to jeszcze siebie uczucie wzmacniało się z dniami każdym, rosło i potężniało, aż wreszcie Andrzej, z pewnego rodzaju przerażeniem, poznał, że to dziecko, które w jego niemal oczach przerodziło się w kobietę, pokochał całą siłą...

.

Omdlenie pani Żywińskiej było chwilowem i nie pozostawiło po sobie żadnych złych następstw. Dowiedziawszy się przeto od Eli, że zaalarmowała ona niepotrzebnie Andrzeja, narażając go na utrudzenie, zgromiła ją surowo; Andrzeja zaś, gdy wszedł do jej pokoju, trzymając za rękę winowajczynię tej wizyty, przeprosiła serdecznie, ujmując dłoń jego w swe ręce, wychudzone niezwykle, prawie przezroczyście i przeświecające całą siecią żyłek niebieskich. Andrzej schylił głowę i ucałował jej rękę, poczem powiedział:

— Eli zrobiła dobrze... nigdy zbytnia ostrożność nie zawadzi. Jakże się pani dziś czuje?

— Dobrze, zupełnie dobrze, jeśli się tak można wyrazić w mojem położeniu. Doprawdy, wstyd mi przed panem, że tak nadużywamy jego dobroci; dopiero co przyjechałeś, masz przyjaciela, z którym tyle lat nie widzieliście się, a Eli ośmieliła się...

— Dobrze zrobiła „siostrzyczka“, wdzięcznym jej za to — odparł i zwróciwszy się do Eli, która stała z minką zaszępiłą, nie ochłonawszy jeszcze ze swego rozżalenia, i w zamyśleniu przewracała kartki książki, leżącej na oknie, zapytał wesóło: — A może

skorzystamy z dnia dzisiejszego i „otworzymy uniwersytet?”

Terminem tym żartobliwym określał zwykle lekcye, odbywane z Elżunią. Pytanie podobne, witane zawsze przez nią z wybuchem radości, dziś pozostało bez odpowiedzi.

Dziewczę stało pod oknem chmurne i milczące.

— Ach!... pewnie nie mieliśmy czasu na przejście kursu... przeszkodził nam polów raków? — żartował Andrzej,

Na to przypomnienie oblała się rumieńcem i spojrzała nań z niemym wyrzutem, że zdradził ją przed ciotką.

Istotnie ciotka zaniepokoiła się i cichym głosem przyzywała do siebie Elżunię.

— Niedobre dziecko!... znów chodziłaś do strumienia... Wiesz, jak się boję tego rodzaju wycieczek, czyżbyś chciała robić mi naprzekór dlatego tylko, że nie mogę pójść z tobą?...

Eli z nagłym wybuchem czułości i żalu przypadła do jej kolan i wyszeptwała:

— Daruj mi, moja droga, moja złota!... ja wiem, że jestem niedobra, bardzo niedobra!...

Mówiąc to, połykała łzy.

Pani Żywińska uśmiechnęła się i całując nachyloną ku niej potarganą głowę dziewczęcia, powiedziała żartobliwie:

— Tak, tak... bardzo niedobra — pan Andrzej przejechał taki kawał drogi i nie pomyślałaś nawet o tem, żeby podać kawę...

Na te słowa zerwała się i wybiegła z pokoju z okrzykiem:

— Jakiż ze mnie roztrzepaniec!...

Po przejażdżce i kawie pani Żywińska zaczęła przeglądać świeżo przywiezione pisma, a Elżunia, zapomniawszy o wszystkich swych niedawnych zmartwieniach, była w najlepszym humorze i niezmiernie żywiona. Gdy Andrzej wspomniał jej raz jeszcze

O „uniwersytecie“, odparła, że uniwersytet na dziś dostał rekreacyę, gdyż ona jeszcze nic nie umie i nie ma zamiaru „obciąć się“ na egzaminie.

— Jeśli łaska jednak pana profesora — dodała, przymilając się — to chciałabym przeczytać „kawałeczek“ z „Konrada Wallenroda“, tylko proszę mnie poprawiać!...

Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do pokoju i przyniosła otwartą już książkę, a usiadłszy na stopniu ganku, u nóg prawie Andrzeja, zaczęła czytać zrazu głosem cichym, potem zaś z coraz większem przejęciem. Cudne strofy, wypowiedane jej wdzięcznym głosem, płynęły jak cicha muzyka, w którą zaśłuchany Andrzej, słów prawie nie słyszał, lecz upajał się jej melodyą rytmiczną. Eli parę razy spojrzała na niego z pod oka i uśmiechnęła się filuternie, poczem opuszczając kilka strof, wydekłamaowała głośniej:

„Trzy piękne córy było nas u matki,
A mnie najpierwszą żądano w zamęcie,
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki,
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?“

Ostatni wiersz powtórzyła kilka razy, nadając odmienną za każdym razem intonacyę.

Andrzej zaśłuchany, czy też głęboko zamyślony, nie zauważył tego. Położyła naówczas książkę na stopniu schodów i rozśmiała się głośno. Oprzytomniał w jednej chwili i zapytał:

— Dlaczego Eli nie czyta?

— „Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?“ — zadeklamowała raz jeszcze — powtórzyłam już to sześć razy, a pan profesor widocznie myślał o czem innem...

— Czytaj dalej...

— Nie, nie... już tego dosyć!... wolę co innego... zaraz przyniosę, takie zabawne! — dodała i wbiegła do pokoju, przynosząc po chwili wycinek z jakiegoś pisma ilustrowanego.

— Co to jest?...

— „Niepiśmienna“ — odparła. — „Niepiśmienna“ — to ja, a pan profesor będzie księdzem proboszczem!

— Mówisz zagadkami, moja Eli...

— Wcale nie, proszę tylko czytać ze mną — to rzekłszy, usiadła przy nim i położywszy na stole wyciętą kartkę, tak, żeby i Andrzej mógł dobrze ją widzieć, zaczęła pierwsza, strojąc minkę zakłopotaną:

— „Księżę proboszczu, list napisać proszę!..“

— Lecz cóż to jest?... — zapytał Andrzej, biorąc kartkę do ręki — a!... to przekład z hiszpańskiego, Campoamora; owszem, czytaj, Eli.

— Ale nie sama, koniecznie razem; tu potrzeba mówić grubym głosem, a ja nie mogę!... Więc dobrze, panie profesorze, złoty, kochany!... — prosiła gorąco.

— No, już dobrze, dobrze — uśmiechnął się Andrzej — czytaj więc...

— „Księżę proboszczu, list napisać proszę!..“

— „Liścik?... Ej wiem do kogo!“ — przeczytał Andrzej „grubym“ głosem.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się radośnie, poczem odparła, spuszczać oczy:

— „Boście widzieli!..“

— „No, no, nic nie rozgłoszę, no, no, nie patrzę srogo!“ — czytał Andrzej.

— „Darujcie!..“ — wypowiedziała Eli błagalnie.

— „Na cóż te minki rozpaczne?... Kochać się wszak nie bronię. Daj papier, pióro; tak... Więc zaczynam: *Mój kochany Romanie!*“

— Ach! jakże to brzydkie imię! — wtrąciła Eli, poczem deklamowała:

„Kochany? Ależ... zresztą już przepadło!..“

— „Nie chcesz, nie nalegamy!“ — przedrwiwał Andrzej w swej roli księdza proboszcza, bawiąc się szczerze ze tym dyalogiem wierszowanym.

— „Chcę, chcę!“ — czytała Eli.

— „*Jakże mi smutno!... —* mówił Andrzej, głos zmieniając i przeciągając sylaby. — „Czy się zgadło?“
 „*Jakże mi smutno samej, tęsknota dusi mnie, nie wytrwam w mece...*“

— „Zkąd wam myśli me znane?“ — wyszeptła dziewczyna, płoniąc się zlekka.

— „Starzec przez takie berduszeko dziewczęce przegląda jak przez szklane!“ — wygłosił Andrzej, naśladując zabawnie głos starca.

Podniosła nagle głowę i spojrzawszy na swego towarzysza, uśmiechnęła się.

— Z czego się śmiejesz Eli? — zapytał Andrzej, siłąc się na powagę.

— Nic, nic... tak sobie, proszę pisać dalej...

Był jej posłuszny i rozpoczął znów skandować sylaby:

„*Bez ciebie życie płynie mi nieraznie,*

„*Z tobą jak w rajach ładnie...*“

— Ach, jakież to śliczne! — zawołała z entuzjazmem, poczem zmieniając głos, czyłała:

— „Księżu proboszczu, a piszcież wyraźnie

„*Niech pojmie to dokładnie!*“

Twarz jej w tej chwili jaśniała dziwnie, a w oczach migotały isierki. Andrzej unikał jej wzroku, broniąc się usilnie przed czarem, który wiał od niej i szukał w myśli protektu do przerwania tej deklamacyi.

Jakby odgadując jego życzenie, pani Żywińska, która siedziała w swym fotelu przed gankiem w pobliżu klombu bzów kwitnących, poprosiła go w tej chwili do siebie. Pospieszył na jej wezwanie i zszedł do ogródka. Eli nie poruszyła się nawet i schyliła nad zadrukowaną kartką, zamarła, zda się, na swem miejscu. Dopiero po upływie paru minut podniosła się wolno z ociężałością niezwykłą. Niedawna jej wesołość i ożywienie prysły, spoważniała nagle, a gdy powrócił Andrzej, nie prosiła go o skończenie przzerwanej deklamacyi, a nawet nie przemówiła ani słówka, unikając jego wzroku. Dopiero gdy

Andrzej miał już odjeżdżać, podeszła do niego i oniesmielona zapytała cicho, pieszczotliwym głosem dziecka, poczuwającego się do winy:

— Czy pan profesor bardzo się na mnie gniewa?

— Za cóż to, moja Eli?

— Że tak wiele czasu zabraliśmy mu daremnie...

— O, bardzo, bardzo... i dlatego za karę przyjadę na przyszłą lekcję o parę dni wcześniej.

Uszczęśliwiona klasnęła w dłonie.

— Doprawdy? ach jak to dobrze, złoty, drogi braciszku!

Ten okrzyk radości i srebrny głos dziewczyny dźwięczały w uszach Andrzeja przez całą powrotną drogę do miasta.

V.

Henryk Korycki, wdrożony oddawna do gorączkowej działalności, czasu nie tracił: całymi dniami przebywał na mieście, zwiedzał fabryki, nawiązywał stosunki, robił potrzebne mu znajomości... Szczęśliwym trafem odnalazł w Warszawie dwóch przemysłowców, z którymi poznał się za granicą, i ci czynili mu rozmaite ułatwienia, pozwalające zorientować się w mało znanych dotąd stosunkach miejscowych. Niekorzystne wszakże wyniósł ztąd wrażenia, któremi dzielił się niekiedy z Andrzejem, klnąc ospałość i niedołęztwo ogólne, przejawiające się na każdym kroku. Zresztą widywali się z sobą niezbyt często: Andrzej w mieście nie próżnował również; w redakcyi pisma dla ludu, gdzie był jednym z najczynniejszych współpracowników, roboty było mnóstwo, samo załatwienie licznej korespondencyi z prenumeratorami, którą Andrzej zdołał pierwszy powołać do życia i o której rozszerzenie starał się najbardziej, oceniając ją jako

pierwszorzędny czynnik w utrzymaniu duchowej łączności z czytelnikami, pochłaniało wiele czasu.

Rozmowy z Koryckim były także dorywcze, krótkie i urywane, ten bowiem spieszył się ciągle, wpadał do hotelu na chwilkę tylko, lub też umawiał się, gdzie spotkać się mają na obiedzie. Nigdzie wszakże dłużej usiedzieć nie mógł, paliła go gorączka czynu. Ruchliwym też był jak żywe srebro. W ciągu jednego dnia potrafił zalać mnóstwo interesów w rozmaitych stronach miasta, mówić z kapitalistami, których trzeba było informować o wszystkim, przekonywać, najczęściej bez skutku; ludzie ci bowiem, żyjący z gotówki, nie mieli najmniejszego pojęcia o pracy produkcyjnej, a tem więcej poczucia obowiązku do takiej pracy. Porównywając tych spokojnych przeżuwaczy renty z rzutnymi kapitalistami za granicą, musiał się hamować, aby nie nazwać ich w oczy trutniami i pasorzytami. Wstrzeźliwość tę wszakże wynagradzał sobie hojnie w rozmowach z Andrzejem, który słuchał go z ciekawością, mitygując niekiedy sądy zbyt ostre i usiłując przekonać, że nie jest znów tak źle, jak sądzi.

Perswazyje te wszakże nie czyniły nań najmniejszego wrażenia, twierdził bowiem, że i Andrzej cierpi na powszechną chorobę samoludzenia się.

— Bo i czemuż wreszcie możecie się pochwalić? Przemysł, handel, organizacja pracy, oświata? Wszystko to są tylko puste dźwięki!... Zwiedziłem w tych dniach kilka fabryk. Czy wiesz, kto w tych *naszych* fabrykach rej wodzi? Ludzie obcy, przeważnie Niemcy, żywił nam wrogi, nie troszczący się bynajmniej o podniesienie miejscowego przemysłu, lecz o jak najwyższą dywidendę, której część znaczna, według kontraktów z właścicielami fabryk, wpada do ich kieszeni. Nietylko dyrektorowie, lecz i cały sztab techników i majstrów rekrutuje się z pośród obcych: Niemcy, Francuzi, Belgijczycy; nawet „na praktykę“ niechętnie przyjmują *naszych*, skut-

kiem czego miejscowy żywiol robotniczy jest w poniewierce i wyzyskiwany nadmiernie; w tych przeto warunkach nie może dostarczyć on kadrów do rozwinięcia swojskiego przemysłu. Praktykuje się tu zwykły system nadużyć napływowej kultury, przedstawiciele której, mając na widoku jak najszybsze z bogacenie się, obniżają ją umyślnie, produkując tandetę... Nietylko wszakże zła wola chciwych zysku przybyszów jest tego przyczyną: pchają ich do tego opłakane miejscowe stosunki przemysłowo-handlowe, pozostające niepodzielnie prawie w rękach żydów, najgorliwszych apostołów wszelkiej tandety, łączącej w sobie niezmierną taniość produkcji z łatwością zbytu. przy zyskach tak olbrzymich, aby mogły starczyć dla całej armii „pośredników.” Jaki przeto w tych warunkach może być przemysł? — pytał Korycki, chodząc wielkimi krokami po pokoju.

— Daremnie usiłujesz mnie przekonać — mówił dalej — ze jest znaczny postęp: widzę tylko zgniliznę kultury obcej, monstualną lichwę... Pod wpływem tej germańsko-żydowskiej kultury biedny ten kraj ubożeje jeszcze bardziej!

— Widzę, żeś się zniechęcił? — zauważył Andrzej.

— Zniechęcił? Nie znasz mnie, skoro tak przypuszczasz! O nie, taki stan rzeczy może być tylko jednym więcej bodźcem do wytrwania i przeprowadzenia moich projektów. Mam już swój plan!... Chodzi mi tylko o kapitał.

— O to chyba najtrudniej!

Henryk roześmiał się i odparł:

— Bynajmniej!... Pieniądze mogę mieć w każdej chwili, z najpewniejszego źródła, lecz tego właśnie źródła chcę uniknąć.

— Jakież to źródło?

— Kapitałiści zagraniczni... gdym się wybierał do kraju, kilku z nich domyślając się może moich zamiarów, zaofiarowali mi sami potrzebny kapitał,

w razie gdybym znalazł odpowiedni grunt do korzystnego przedsiębiorstwa. Ofertę ich przyjąłem, do niczego się wszakże nie zobowiązując. Nie chciałbym wszakże nigdy z niej korzystać. Moim zamiarem jest poruszyć z dotychczasowej ośpałości kapitalistów miejscowych i dać zaczątek swojskiemu przemysłowi, w którymby żaden Prusak, żaden Belgijczyk nie umaczał swych rąk chciwych.

Henryk mówił to z zapalem, z mocnem przekonaniem, które udzieliło się i Andrzejowi, wierzącemu w tej chwili, że taki człowiek wiele dokazać potrafi.

Niekiedy wszakże energia Koryckiego zdawała się słabnąć. Powracał on wówczas do hotelu zły i struty, klnąc i narzekając na zawody, jakie go spotykały.

Miał już wypracowany zupełnie projekt spółki, w której dwaj kapitaliści solennie przyrzekli swój udział; plac pod fabrykę był już upatrzony, spisane już były nawet przedwstępne punkta umowy, a i pieniądze były zapewnione. Korycki, nawykły widzieć w tego rodzaju stosunkach handlowych solidarność i stanowczość, praktykowane za granicą, gdzie do spięcia podobnej ugody przystępują zwykle po dojrzałym namyśle, po najszczegółowszem rozpatrzeniu się w korzyściach przedsiębiorstwa, był pewnym, że interes ubił ostatecznie. To też cieszył się niezmiernie i pochwalił się ze swego sukcesu przed Andrzejem.

Tymczasem nazajutrz wpadł do niego, gdy ten leżał w łóżku, i z wściekłością rzucił na stół jakiś papier.

— Co się stało?—zapytał Andrzej przestraszony wzburzeniem przyjaciela.

— Cofnęli się!...

— Kto?

— Jeszcze się pytasz... ci przeżuwacze rent, ci

kwadratowi trutnie!... Patrz, oto papier, zrywający umowę.

— Ależ uspokój się, może się to da jeszcze naprawić—perswadował Andrzej.

Korycki rozśmiał się ze złością.

— Żartujesz chyba!... Z takimi ludźmi już ja bym nie chciał mieć więcej do czynienia. Szkoda mi tylko czasu zmarnowanego i gardłowania... trwało to cały tydzień, czy pojmujesz?... Cały tydzień!...

— Gorączka z ciebie!

Żachnął się niecierpliwie.

— I ty nawet?... Dziwni ludzie! Dajmy jednak temu pokój, nie chcę już dziś myśleć o tem, pragnę zapomnieć, rozerwać nieco umysł... Wiesz co, chodźmy gdzie, jedźmy, weź mnie, gdzie chcesz i ani słowa nie wspominaj o tych trutniach... Twój stryj ma słuszność, twierdząc, że dzisiejszy człowiek już się przeżył, to próchno tylko, które rozłaząc się, udaje, że świeci jeszcze.

Andrzej w jednej chwili wyskoczył z łóżka i szybko zaczął się ubierać, mówiąc:

— Wyborniel!... jedźmy, wiesz dokąd?

— Nie mam pojęcia, zresztą wszystko mi jedno.

— Powiozę cię za miasto, poznasz Eli i jej siotkę.

— Doskonale!...

Po upływie kilku minut Andrzej był gotów. Już mieli wyjść na ulicę, gdy na kurytarzu zatrzymał ich jakiś jegomość, widocznie wielce zaaferowany, który zwracając się do Henryka, powiedział:

— Ach, jak to dobrze, że pana dyrektora jeszcze zastałem...

— Aa... pan Łopaciński, cóż mi pan powiesz?— zapytał pan Henryk, nie zatrzymując się wcale.

Nazwany Łopacińskim biegł tuż przy nim. Był to jegomość niewielkiego wzrostu, prawie okrągły, o błyszczących policzkach, wielce ruchliwy, z małeń-

kiemi oczami, w których malowały się spryt i przebiegłość.

— Dopierom się dowiedział... musiało zajść jakieś nieporozumienie, to pewno Gorlicki nabruździł, bo Herman był gotów, podniósł już nawet z banku pieniądze.

Korycki zatrzymał się na kurytarzu i odparł sucho:

— Mój panie, te szczegóły mnie nic już nie obchodzą, wiem tylko, że pańskie zabiegi na nic się nie zdały.

— Ale to się da naprawić, biegnę tam natychmiast.

Henryk rozśmiał się.

— Rób pan, co mu się podoba, lecz na moje porozumienie z tymi panami nie licz wcale.

— Zatem, padam do nóg...

— To zbytuczne, łaskawy panie, możemy się pożegnać o parę łokci wyżej, „do widzenia...” to wystarczy — odparł Henryk, i ująwszy Andrzeja pod rękę, wyszedł na ulicę, zostawiając Łopacińskiego na kurytarzu hotelowym.

— Kto to jest?—zagadnął Andrzej.

— Jest to chodzące biuro informacyjne, pośrednik do wszystkiego, wie on doskonale, kto ma pieniądze i ile, kto chce sprzedać lub kupić wieś, dom, fabrykę... pożyczyć pieniędzy, odstąpić sumę hipoteczną, a nawet nie ręczę, czy nie pośredniczy również w kojarzeniu małżeństw, pytał mnie nawet, czy jestem kawaler, wdowiec lub żonaty. Podobno, że te różnostronne zajęcia przynoszą mu dochód wcale niezły...

— Gdzież go poznałeś?

— Wskazał mi go Wielhorski, który, jak zapewnia Łopaciński, korzystał nieraz z jego usług; ale, ale, nie widziałeś się z nim dotąd?

— Owszem—odparł Andrzej krótko, tonem su-
chym,

Zbliżali się do hotelu Europejskiego. Dopiero teraz Rymsza przypomniał sobie, że nie jadł jeszcze śniadania.

— Wstąpmy na szklankę herbaty — zaproponował — nie dałeś mi jej wypić w hetelu.

— Owszem, nie miałem sam dotąd sposobności zjeść czegośkolwiek, a od godziny 7-ej jestem na nogach i wściekłem głodny! — odparł Henryk, otwierając drzwi do cukierni Loursa.

Obszerny salon, do którego weszli, był prawie pusty, rozbrzmiewał wszakże gwarem ożywionej i bardzo głośnej rozmowy jakiejś wesołej męzkiej kompanii, zajmującej w głębi cukierni parę stolików, na których stały filiżanki z kawą czarną, parę syfonów wody sodowej i butelki z koniakiem. Widocznem było, że młodzi panowie, spijający tak wczesnie kawę czarną i wodę sodową, orzeźwiają się w ten sposób po nocy, spędzonej na zabawie hucznej. Wszyscy bowiem byli we frakach, białych krawatach i z butonierkami kwiatów, zwiędłych już i pożółkłych. Beładny gwar ich rozmów, błyszczące oczy, ruchy gwałtowne i głośne wykrzykniki świadczyły wyraźnie o silnem podnieceniu ich nerwów. Widocznem było, że tonęli jeszcze w tumanie niewygasłych a ostrych wrażeń zabawy, na której noc spędzili. Korycki i Andrzej przeszli w przeciwną stronę sali i usiadłszy pod oknem, kazali podać herbaty. Rozbawiona zaś młodzież zachowywała się w dalszym ciągu nader hucznie, ze swobodą ludzi, nie nawykłych czemkolwiek się krępować.

Wśród tej hałaśliwej kompanii Wielhorski zdawał się być najstarszym, jego towarzysze bowiem nie przekroczyli lat młodzieńczych. Twarze ich, świeże jeszcze, zlekka opuszone kielkującym dopiero zarostem, nosiły na sobie wyraźne już piętno przedwczesnego wyczerpania tajemnic życia; nie zdołało to wszakże zatrzeć jeszcze cech rasy, znaczących się w wyszlachetnionych liniach rysów i w tej pewności

siebie, jaka właściwą jest ludziom wzrosłym w dobrobycie i zbytkach, oraz nawykłym do rozkazywania. Byli to wszystko panicze o nazwiskach głośnych w kraju. Andrzej znał ich prawie wszystkich z widzenia, a z niektórymi spotykał się przed paru laty w towarzystwach, do których ułatwiły mu wstęp nie tyle może jego talent i rozgłos literacki ile nazwisko starszszlacheckie, jakie nosił.

— Oto spadkobiercy głośnych imion w historii—powiedział półgłosem.

— Znasz ich?

— Trochę — odparł Andrzej i wymienił parę nazwisk i tytułów.

— Nasze „hrabiątka“ — rozśmiał się Henryk— a wśród nich Wielhorski, jako „Mentor“ — dodał po chwili i z rozbudzoną ciekawością zaczął przyglądać się tym odpryskom dawnej chwały narodu.

Nagle panujący tam gwar przycichł na chwilę.

— Jest już, jest!—ktoś się odezwał, podnosząc do góry *Plotkarza*, świstek brukowy.

— Czytaj więc!

— Niech przeczyta Wielhorski swoim barytonem pięknym—dodał inny tonem uszczypliwym.

— Dajcie mi pokój...

— Przeczytaj!—naleć no.

— Nie będę, czytajcie sami.

— Przesylabizuj więc ty, Lolul!..

— Dla wprawy — dodał ktoś inny — abyś nie zapomniał mowy ojczystej.

— A więc dobrze, słuchajcie — zgodził się nazwany „Lolem“ i zaczął czytać, wymawiając wyrazy z akcentem cudzoziemskim:

„Niestrudzona w swych pomysłach, energiczna młodzież najwyższych sfer towarzyskich doprowadziła wreszcie do skutku „czaro-izyjską zaiste „noc majową...“ Zajaśniały w niej słońca i ukwiecone bóstwa...“ Kwiatów potop cały (kosztowały one pod-

бно bagatelkę, bo około 3,000 rubli i sprowadzone były w osobnych wagonach z za granicy. (Przyp. red.). Ujrzeliśmy najpiękniejsze z pięknych, dość powiedzieć, że były tu hrabianki L., hrabina W., księżna Z., i wiele, wiele nie mniej olśniewających piękności. Toasty były wspaniałe!... Niestrudzonym zaś, pełnym pomysłów twórcą i aranżerem zabawy, był, znany w szerokich kołach wyższych sfer naszego towarzystwa, pan Rajmund Wielh...“

— A o nas, o nas, nic?! — pytała młodzież, wrażliwa jeszcze na popularność w pismach brukowych.

— Owszem, owszem... są tu inicjały: hr. D., hr. W., p. I. N., hr. L. i t. d.

— W każdym razie Wielhorskiemu dostało się najwięcej—zauważył młodziutki hr. W., z odcieniem lekkiej uszczypliwości.

— Marny świstek... organ kokotek i pokojówek!—ktoś się odezwał.

— Protestuję... ja z pomiędzy naszych pism uznaję tylko *Płotkarza*.

— Ja również...

— Co do mnie wolę *Figaro* — odezwał się hr. Z., znany w kraju sportsman.

— Nic dziwnego... w ostatnim numerze wysłał konie stadniny hrabiego.

— Które?—zapytał jakiś młodzieniec.

— „Mustarda“ i córkę „Faraona.“

— Bo też niezrównane były w *finisch'u!*

— Przepyszne!

— Ile przyniosły?

— Bagatelkę... razem 6,000 rubli.

— Czy stawiasz je do biegu o „wielką nagrodę?“

— Naturalnie.

— Trzymam, że wezmą...

— Ile?—zagadnął Wielhorski.

— Ile się podoba?

— 3,000 rubli?

— Zgodzi!...

— Dajcie pokój zakładom, będzie na to pora przy totalizatorze, a teraz jeśli chcesz, Wielhorski, to zagrajmy, zaproponował hr. W.

— W co?

— W cokolwiek...

— Ależ tu cukiernia!...

— Cóż wielkiego?... urządzimy totalizatora na muchy.

Propozycję tę przyjęto wybuchem śmiechu.

— Jakto, „na muchy?“—pytano.

— Najzwyczajniej w świecie: na czyjej filiżance usiądzie wpierw mucha, ten wygrywa stawkę...

— Aha, pyszna zabawa!...

— Więc trzymasz, Wielhorski?

— Owszem! ile?

— Ile chcesz?

— Tysiąc rubli.

— Idzie!

— A więc zaczynamy, upraszam o spokój—zawołał hr. W. i odchyliwszy się na poręcz krzesła, zaczął wpatrywać się pilnie w filiżankę, stojącą przed nim, a również rzucając okiem na filiżankę Wielhorskiego.

Ten z niemniejszym skupieniem oczekiwał rezultatów tej gry niezwyklej. Przy stole uczyniła się nagle taka cisza, że można było słyszeć brzęczenie much, krążących w koło słodczy, zastawionych na stole. Wielhorski wpatrywał się mętnym nieco wzrokiem w te maleńkie, łakome owady, tak zwykle dokuczliwe, a w tej chwili jakby świadome swego znaczenia, unikające starannie filiżanek przeciwników; oczekiwanie to irytowało go widocznie, jednocześnie wszakże myślał, że każda mucha może mu przynieść 1,000 rs., które nie są do pogardzenia; szczególnie teraz pieniądze były mu potrzebne bardzo; to też wpatrując się w krążące nad stołem owady, magne-

tyzował je wzrokiem, jakby chcąc je siłą swej woli przyciągnąć na swoją stronę. Czynił to instynktowo, bezwiednie, troszcząc się o swoją kieszeń, jednocześnie wszakże wyrzucał sobie, że zgodził się na grę tak śmieszna i głupią.

— Głupie to, głupie!...—powtarzał w myśli.

— Jest!—zawołał hr. W. radośnie.

— Wygrał, wygrał!...—potwierdzono chórem.

— Idzie dalej?—zapytał Wielhorskiego.

— Dziękuję, wolę partycję karamboli — odparł Wielhorski i wyjąwszy z kieszeni zwitek storubówek, podał je hrabiemu W.

Były to ostatnie jego pieniądze; grać dalej nie mógł.

— Nie, to nie!... — odparł hr. W. i zmiąwszy podaną sobie paczkę banknotów, schował je do kieszeni od spodni, a zwracając się do hr. L., powiedział:

— Te tysiąc rubli stawiam za „Mustardem“, w biegu o wielką nagrodę.

— Przegrasz—odparł hr. L.

— Ani myślę! „Mustard“ weźmie.

— Zkądże ta pewność?

— Pomyślałem, że jeśli teraz wygram, to weźmie on pewno—powiedział hr. W. z mocnem przekonaniem.

— Owszem, nie mam nic przeciwko temu... sam będę grał na swego konia.

— I grubo weźmiesz!...

— Gdyby i tak, to cóż z tego, całą wygraną ofiarować już musiałem z góry Ninie „na kolczyki.“

— Oho, za drogo ona hrabiego kosztuje—zauważył Wielhorski.

— Nie narzekam — odparł ten z pewną wyniosłością i odwróciwszy się, zaczął rozglądać się po cukierni.

Nagle wstał i chwiejnym nieco krokiem skiero-

wał się wprost do stolika, przy którym siedzieli Henryk i Rymsza.

— Nie mylę się, tak, to pan!... Ledwie pana poznał—zawołał, podchodząc do Rymszy—a tymczasem oddawna mam do pana polecenie—dodał tonem wielce dobrodusznym, zupełnie odmiennym od tego, jakim rozmawiał przed chwilą z Wielhorskim.

Andrzej zlekka się zarumienił.

— Do mnie?... hrabia żartuje, któżby śmiał go obarczać?—odparł, powstając na powitanie.

Hr. Leski, gdyż takie nosił nazwisko, prześliznął się spojrzeniem po szczupłej postaci Henryka, który ciekawym i dość bezceremonialnym mierzył go wzrokiem, poczem odparł:

— Któż, jeśli nie kapryśna, a zawsze piękna kuzynka...

— Pani Izabela Komorska?

— Zgadł pan!...

— Czemu mam przypisać ten zaszczyt?—zapytał Andrzej, podając rękę Wielhorskiemu, który w tej chwili podszedł również do nich.

— Czemu?... nie wiem dokładnie, podobno organizuje się jakieś nowe towarzystwo, nowe iluzje dobroczynne, słowem, pragną uczynić zamach na pański spokój, który, jak widzę, dobrze mu służy... Wygląda pan doskonale, opalony jak prawdziwy wieśniak, zazdroszczę panu.

Wielhorski uśmiechnął się.

— Sądzę, że nic hrabiemu nie przeszkadza uczynić to samo...

— Tak się panu zdaje... nie tak łatwo rozstać się z nawyknięciami i przełamać lenistwo; zresztą, cóżbym ja robił na wsi? nieprawdaż Wielhorski? — dodał z pewnego rodzaju ironią, uderzając zlekka po jego ramieniu — zabrakłoby wam najlepszego partnera!...

To rzekłszy, ziewnął i zwracając się raz jeszcze do Andrzeja, powiedział:

— Rad jestem niezmiernie, że wreszcie udało mi się spełnić polecenie, reszta do pana należy—dodał, poczem zlekka się skłoniwszy, odszedł do swojej kompanii.

Wielhorski pozostał.

— Nie spodziewałem się zobaczyć was tak wcześniej—odezwał się, zajmując wolne krzesło.

— A my ciebie tak późno—odparł Henryk.

— Istotnie, że już późno!—potwierdził Wielhorski, śmiejąc się z przymusem—nie spałem ani jednej chwili i czuję się niewymownie znużonym.

— Niepotrzebnie tak zabijasz się pracą—zadrwił Korycki.

— Pracą?... Kto wie, czy pomimo złośliwej intencji, nie powiedziałeś mimowoli prawdy — odparł Wielhorski z odcieniem jakiejś goryczy w głosie.

— Wybór „pracy“ od nas samych zależy! — zauważył Andrzej.

— Zapewne, lecz każdy żyje, jak umie, stąpam z konieczności po ziemi i biorę z życia, co ono dać może...

— I to wystarcza ci?

— Jak czasem... gdy rozumię na chłodno—tak; nie zawsze wszakże rozum bywa trzeźwym i wtedy...

— Zatem wino ci nie służy — zauważył Korycki z przezroczywą aluzją do nocy spędzonej na hulance—strzeż się zatem, bo ono cię jeszcze zniechęci do życia.

— Istotnie, piłem dziś za wiele — potwierdził Wielhorski i przesunął ręką po czole.

— I opanowały cię refleksye nad znikomością uciech światowych?... W takim razie odwracam „do góry nogami“ swoją radę i mówię ci: pij jak najwięcej!...—powiedział Henryk i powstał.

— Już wychodzicie? — ozwał się Wielhorski i wstał również.

Podali sobie ręce. Wielhorski, czy to pod wpły-

wem mniej chłodnego, niż zwykle, zachowania się Andrzeja, czy też powodowany wskrzeszonymi nagle w jego podnieconym umyśle wspomnieniami dawnej zażyłości koleżeńskiej, silnie uściśnął dłoń Rymszy. W jego znużonem spojrzeniu malowało się w tej chwili pragnienie ponownego nawiązania dawnych, dobrych stosunków... Tak przynajmniej wydało się Koryckiemu. Andrzej wszakże tego nie dostrzegł, zauważył jedynie, że Wielhorski chwiał się zlekka na nogach.

— Nie wytrzeźwiał jeszcze! — pomyślał i dość chłodno odpowiedział na jego uścisk.

Wielhorski chciał jeszcze coś powiedzieć, otworzył nawet usta, lecz obojętność Andrzeja, którą odczuł, wstrzymała go, puścił przeto niezwłocznie dłoń Rymszy i w milczeniu powrócił do swojej kompanii. Tu wszakże ożywienie wyczerpało się, młodzież znużona bezsennością—ziewała. Wkrótce wszyscy zaczęli się rozchodzić. Powozy, z drzemiącymi na kozlach stangrami, czekały na nich przed cukiernią. Wielhorski był ostatnim. Rzuciwszy na stół dodatkowy napiwek, wyszedł i wolnym krokiem skierował się na ulicę Wierzbową. W jego ruchach, spojrzeniu, w całej postaci wreszcie, nie było właściwej mu swobody i pewności siebie. Wrażenia nocnej zabawy zatarły się, pozostawiając jakiś niesmak i niezchęcenie.

Spotkanie nadto z Andrzejem, a szczególnie jego chłód, drażnił go i upokarzał: byli przecież z sobą na stopie zażyłości koleżeńskiej... a dziś? Czego on chce odemnie?—pytał siebie.—Zabawny, okazuje mi jakąś wyższość, traktuje jak żaka?..

— Kpię sobie z tego!—zawołał półgłosem, czując jednocześnie, że mówi nieszczerze, że wolałby, gdyby wzajemny ich stosunek był inny, bliższy.

Byłżeby zazdrosny i miał żal do mnie? — przemknęło mu przez myśl, lecz w tejże chwili sam sobie zaprzeczył.

— Nie, nie!... wszakże sam się usunął zupełnie — zawołał... — i nie dziwię się, jabym to samo zrobił, gdybym mógł!... Ta kobieta pastwi się prosto: drażni, wabi i odpycha; muszę jednak to znosić, gdyż tylko przez nią mogę stanąć na pewnym gruncie... Teraz bowiem chodzę jak na szczydłach, jeden krok fałszywy, lub nieostrożny i dyabli wszystko wezmą... Tyle się wydaje!...

Zacisnął pięści ze złością.

— A jednak muszę, bo ci wszyscy o tyle mnie znają i poufała się, o ile dorównać im mogę, mimo to znosić muszę jeszcze docinki... Ten hr. Leski dotknął mnie nieraz do żywego!... Czego jednak chce od Andrzeja ta waryatka? Cobym dał, gdybym mógł ją ujarzmić... tak — ujarzmić!... nie kocham jej bowiem, gra mi tylko na nerwach, czasem zaś nie nawidzę...

Niepokojące te myśli przybrały nagle zwrot inny: dostrzegł przed bramą domu, gdzie mieszkał, Łopacińskiego, który zdaleka witał go ukłonem.

Przyśpieszył kroku.

— I cóż? — zapytał.

Łopaciński wykonał znaczący ruch rękami, który Wielhorskiego musiał dotknąć niemile, gdyż spo-chmurniał nagle.

W gabinecie, dokąd zaprosił Łopacińskiego, powiedział:

— W tym tygodniu mieć muszę...

Ten wzruszył ramionami w milczeniu.

— Rób co chcesz, a dostań!...

— Zkąd?

— To już rzecz pańska!... o koszta mi nie chodzi, słowem, rób jak można, radź!

— Cóż ja poradzę? — odparł Łopaciński głosem płaczkliwym niemal i zamyślił się.

Nareszcie odezwał się z nieśmiałością.

— Możeby stary hrabia...

— Kpisz pan!... Nie żądałbym naówczas pań-

skich usług, za które dobrze mu przecież zapłaci—
odparł rozdrażniony.

— Pan się gniewa, a „gniewem bułki nie upie-
cze“; jak nie—to trzeba co innego wynaleźć.

— Myśl pan!

— Trzeba skończyć z kupnem placów.

— Cóż to ma jedno z drugim?

— Ma i bardzo: jak ubijemy sprawę, pieniądze
będą...

— Mów jaśniej.

Oczy Łopacińskiego żarzyły się jak węgielki,
a usta poruszały się nerwowo, zrobił znaczący ruch
ręką, poczem powiedział:

— Nie 5, lecz 10 tysięcy będzie—10 kop. róż-
nicy w cenie kontraktowej i rzecz skończona.

Wielhorski zrozumiał i uważał za stosowne obu-
rzyć się.

— Jak pan śmiesz?—wybuchnął.

Ten uśmiechnął się.

— Nie ma się o co gniewać, proszę pana, to
rzecz zwykła—porękawiczne i nic więcej...

— Wolę co innego! — przerwał mu Wiel-
horski.

— Nic innego nie wymyślę — odparł spo-
kojnie.

Wielhorski zachnął się i zaczął chodzić po
pokoju, nagle zatrzymał się przed Łopacińskim i po-
wiedział:

— Działaj pan! pamiętaj jednak, że masz ty-
dzień tylko czasu.

— Aż za wiele!... Dla mnie trzy dni wystar-
czy, aby kupić i sprzedać pół Warszawy. Jutro ra-
no tu będę, a teraz lecę...

Wielhorski, pozostawszy sam, odetchnął ciężko;
zawarta przed chwilą umowa była zwykłym oszu-
stwem i podłością względem jego mocodawcy, który
obdarzył go swem zaufaniem. Rozumiał to aż nad-

to dobrze, tem więcej, że nigdy dotąd, pomimo pokus, rąk swoich tego rodzaju operacją nie splamił.

Szczególna rzecz jednak... nie tyle go gnębiła świadomość brudnego czynu, którego się dopuścił, ile ta łatwość, z jaką w dwóch słowach porozumiał się z Łopacińskim. Równało to ich!...

Na tę myśl wstrząsnął się z obrzydzenia nad własnym upadkiem, a bardziej jeszcze nad zuchwałstwem brudnego pośrednika, który z taką poufałością narzucił mu się na spółnika w nadużyciu. Czemże był w oczach tego faktora?

Znużenie wszakże nie pozwalało mu myśleć dłużej, potrzebował wypoczynku, to też, rozebrawszy się zupełnie, wyciągnął się z zadowoleniem na łóżku i przymknął oczy, po chwili wszakże zerwał się i zadzwonił gwałtownie.

— A bukiet?—zapytał wchodzącego lokaja.

— Czy i dziś?

— Co za pytanie, powiedziałem ci już!...

Służący nie odchodził.

— Czego stoisz?

— Proszę pana, ogrodnik się upomina?

— Ile?

— 66 rubli.

— Aż tyle?!

— Za jedenaście bukietów.

— Dobrze... podaj mi pugilares, albo nie!...

W pierwszej szufladzie biurka są pieniądze... Otwórz i przynieś.

Służący spełnił rozkaz i podał swemu panu zwiłek drobniejszych, zatłuszczonych banknotów. Było tam kilkadziesiąt rubli.

— Oto masz—powiedział Wielhorski, odliczywszy 66 rubli; pozostało jeszcze kilkanaście.

Westchnął.

— Licho nadało przegrać tak głupio 1,000 rubli!—przemknęło mu przez myśl.

— Do pani Komorskiej?—zapytał służący.

— Jeszcze się pytasz!... ruszaj i do wieczora umrzyj... obudzisz mnie o 7-ej.

Zasnął snem kamiennym, który go wzmocnił i orzeźwił, rozwiewając wrażenia z dnia ubiegłego i ów niesmak moralny z ugody, zawartej z Łopacińskim.

Pozostała mu jedynie przyjemna pewność zepchnięcia z głowy kłopotów finansowych.

Rażno zerwał się z łóżka, spojrzął na zegarek i zadzwonił. Wbiegł służący.

— Wody do mycia i ubranie... Prędko! już kwadrans po 7-ej, za 20 minut wychodzę.

Po jakimś czasie wyświeżony, pachnący i strojny, jak zwykle, wyszedł na ulicę, nucąc jakąś wesołą melodyę operetkową.

Latarnie zaczęto dopiero zapalać na ulicach.

— Jeszcze zdążę na czas! — powiedział do siebie i wskoczył do pierwszej dorożki, jaka mu się nawinęła...

W tymże prawie czasie Andrzej i Henryk powracali od rogatek piechotą—z dworku pani Żywińskiej.

— Wiesz, cobym zrobił na twojem miejscu — zagadnął Henryk.

— Nie domyślam się—odparł Andrzej z uśmiechem — powiedz mi jednak, jak ci się podoba moja uczennica?

— Jak?... Jest to wcielenie małego dyabelka w najpiękniejszą postać kobiecą, jaką mi się zdarzyło widzieć. Będąc tobą, nie wahałbym się ani chwili i ożeniłbym się z nią przedtem, nim jej skrzydła odrosną do lotu. W twem położeniu, przy twych upodobaniach do zacisznych zakątków wiejskich, przy twej pracy wreszcie, słodka towarzyszka życia jest dopełnieniem niezbędnem, stworzyłbyś z nią patryarchalną idyllę szczęścia cichego.

— Myślałem ja kiedyś o tem — odparł Andrzej w zadumie.

— A dziś?

— Przestałem myśleć.

— Nie kłam, ten mały dyabełek powinienby ci zaprzeczyć.

— To przecież dziecko jeszcze, a ja...

— A ty masz lat 36, bo ja o rok starszy od ciebie, wiek najodpowiedniejszy.

— Nie, nie!... nie mam prawa, ona jeszcze wcale nie zna życia, ani siebie samej, byłaby to podstępna uzurpacya praw jej serca.

— Dzieciństwo! gdybym był na twojem miejscu, nie wahałbym się ani chwili; powiadasz, że jest dzieckiem jeszcze!... tem lepiej, urobisz ją na taką towarzyszkę, jaką być powinna. Owa zaś nieświadomość życia, którą uważasz za przeszkodę, jest najlepszą gwarancją szczęścia małżeńskiego, z tobą zaś nie zazna zawodu uczuć.

— Nie, nie, mój drogi, byłyby to oburzający egoizm... zamknięcie dla niej w zaraniu życia świata, który może uśmiechnąć się do niej całą pełnią szczęścia.

-- Przez rzucenie jej w objęcia jakiegoś zrezygnowanego w swem rzemiośle — trutnia! — dokończył Henryk.

Uwaga ta niemile go dotknęła, sposepniał w jednej chwili. Myśl, że kto inny może wdrzeć się zuchwale w skarby jej uczuć i sponiewierać je, ozwała się dotkliwym bólem w piersi.

Przypuszczenie to po raz pierwszy stanęło mu wyraźnie przed oczyma z całą bezwzględnością prozy życiowej, budząc w nim cierpką gorycz i niesmak do tego życia, które zdolnem było znieprawić najpiękniejsze swoje twory: poezję i brylanty uczuć rzućć w błoto i zdeptać.

Gorzką tę myśl wszakże odrzucił od siebie z obrzydzeniem, z poczuciem winy względem Eli, która znów pozostała w jego wyobraźni — niewinna, czysta, patrząca na świat swem jasnym spojrzeniem

dziecka, nieskażonego żadnem tchnieniem niedobrem. Odetchnął głęboko z uczuciem ulgi wielkiej.

— Żeń się!—powtórzył Henryk, jakby odgadując myśli, trapiące przyjaciela.

Andrzej nie zdążył już nic na to odpowiedzieć; zajechali przed bramę hotelu.

Szwajcar, dostrzegłszy ich, zawołał:

— Jest telegram do pana.

Andrzej zaniepokoił się.

— Pewno z domu—powiedział do Henryka.

Nie mylił się. Zerwawszy pieczętkę, przeczytał głośno:

„Pulkownik zasłabł mocno. Konie wysłane. Wrzeszcz.“

— Jadę natychmiast — wyszeptał głosem zmienionym.

Na szczęście było jeszcze pół godziny do odejścia kuryera. Nie wchodząc przeto już do hotelu, Andrzej, uściskawszy w milczeniu rękę Henryka, pojechał na kolej.

— Pisz natychmiast lub przyślij telegram, może będę ci potrzebny, przyjadę!

— Dobrze!... dziękuję, bądź zdrow!—rzucił Andrzej w ostatniej już chwili.

VI.

Stary Wrzeszcz niecierpliwie oczekiwał powrotu Andrzeja; z pułkownikiem było gorzej. Nietylko siły fizyczne zaczęły się wyczerpywać, lecz i umysł chwilami mroczył się coraz groźniej, powodując napady szału. W jednym z takich ataków podruzgotał, pomimo oporu Wrzeszcza, swych żołnierzy mechanicznych. Wrzeszcz płakał, patrząc na ten wandalizm szaleńca, lecz przeszkodzić mu nie śmiał. Zebrał tylko szczątki i schował starannie. Na drugi dzień starzec, nie pamiętając o wczorajszej chwili szału, za-

czał się dopominać o swoich „zuchów,” a gdy Wrzeszcz przyniósł mu połamane szczątki, wpadł w wściekłość i omal nie udusił swego wiernego sługi. Po chwili jednak błysk przytomności opamiętał go; padł z rykiem na piersi Wrzeszcza. Ten utulił go jak dziecko. Spłakali się obydwaj: pan i sługa. Nie było już potem mowy o owych „żołnierzach.”

Pewnego razu wszakże Rymsza, wskazując na puste miejsce, gdzie stały automaty, powiedział:

— Niema ich!...

— Niema, pułkownika.

— Zginęli...

— Zginęli, pułkownika.

Starzec westchnął i wyszeptał tylko:

— I oni... jak tamci!... Wrzeszcz!...

— Na rozkazy!

— Wykreślić ich z regimentu!

— Już wykreśliłem.

— Dobrze! Wara o tem wspominać komukolwiek. Rozumiesz?

— Rozumiem, pułkownika.

Nie mówili już więcej o tem i zdawało się, że Rymsza powoli uspokoi się i powróci do normalnego stanu. Był jednak wciąż pochmurnym i milczącym, a głęboka bruzda, dzieląca pionowo jego czoło, pogłębiła się jeszcze. Całemi godzinami chodził do późna w nocy po pustej teraz zbrojowni, zdając się nie widzieć teraz Wrzeszcza, który nie odstępował go ani na chwilę i również milczący, pokręcał tylko kiedy niekiedy swego sumiastego węża, białego, jak śnieg i wykonywał przytem giest gniewny, gdy na nim poczuł rosę łyzy starczej. Srożył się wówczas wielce, brwi marszczył, mrugał szybko powiekami, szepcąc do siebie:

— Baba, baba!...

W ciągu dwóch dni nie przemówili do siebie ani słowa. Wrzeszcz pilnie, jak wierny pies, wpa-

trywał się w oblicze swego pana i uważał z gryzącą troską w sercu, że twarz pułkownika, dotąd zawsze biała, zlekka tylko opalona, z każdym dniem czerniała coraz więcej, a oczy zapadły głębiej i podobne były do ciemnych otchłani, na dnie których kryły się błyskawice, wzniecające się niekiedy w gniewnem spojrzeniu, jakie rzucał na wiernego sługę.

Pewnego nareszcie razu starzec podszedł nagle do Wrzeszcza i wyciągnawszy groźnie rękę, przemówił głosem ochryplym:

— Precz!...

Wrzeszcz nie ruszył się, powieki tylko jego drgać zaczęły.

— Precz!—powtórzył groźnie.

— Pułkowniku!... — ozwał się Wrzeszcz głosem błagalnym.

— Mówię ci—precz!... rozkazuję!

— Nie mogę pułkowniku! Muszę zostać.

— Kto tu rządzi? Kto śmiał?!...—zawołał starzec gwałtownie.

Wrzeszcz pochylił głowę, lecz milczał.

— Odpowiadaj!

— Z wyższego rozkazu!... — wyjąkał wreszcie, chwytając się wybiegu.

Na te słowa starzec cofnął się jakby przelękniony, potem zaś wyszeptał:

— Z wyższego?... A więc zostań — dodał głośno—subordynacya przedewszystkiem. Brak jej nas zgubił.

Od tej chwili złagodniał i już bez gniewu partrył na wiernego sługę, a nawet zamienił z nim w ciągu dnia zdań parę, krótkich, urywanych, wygłoszonych jak komenda.

Wrzeszcz cieszył się z tej zmiany w nadziei, że pan powróci powoli do dawnego stanu. Było to już nieraz; zwykle po ataku szaleństwa kilka dni, tydzień, a nawet i więcej, chodził chmurny, milczący, mało jadł i źle sypiał, gorączkując w nocy; sto-

pniowo jednak, wyczerpany niezmiernie umysł uspokajał się i starzec łagodniał, stając się potulnym jak dziecko. Tym razem podniecenie zamrożonego umysłu trwało dłużej, niż zwykle. Wrzeszcz przeto zaniepokojony, co dnia porywał się telegraficznie zawiadomić Andrzeja, którego sama obecność wywieriała wpływ kojący na starca; pod łagodnem, pełnem przywiązania spojrzeniem synowca wybuchy jego uniesienia i gniewu gasły natychmiast. Wiedząc o tem Wrzeszcz, zdecydował się nareszcie telegrafować; skreślił już nawet telegram, lecz kartkę tę nosił przy sobie i wciąż zwlekał z wysłaniem na stacyę telegraficzną, pragnąc, aby biedny „panicz“ odetchnął dłużej nieco w wielkiem mieście.

— Toż to młody!... Niech z ludźmi pożyje! Co innego my: pułkownik i ja—nie dlatego już świata! Co najlepsze i najgorsze przeżyliśmy—dodał z westchnieniem i chował z powrotem kartkę do wielkiego pugilaresu, z którym nie rozstawał się nigdy; mieściły się w nim bowiem najcenniejsze jego skarby... pergamin, stwierdzający jego prawa do klejnotu szlacheckiego i nominacya na wachmistrza.

Ociąganie się to wszakże starego sługi nie na wiele się przydało.

Ponure usposobienie Rymszy wciąż trwało. Darownie Wrzeszcz usiłował go rozerwać, budząc wspomnienia, które niegdyś wypełniały całkowicie długie godziny wieczorne.

Upłynęło kilka dni smutnych niewypowiedzianie. Wrzeszcz zdecydował się wreszcie wysłać telegram.

Tego samego wszakże wieczoru starzec ożywił się nagle; w jego mętnych oczach pojawił się błysk świadomości; zerwał się ze swego fotelu i o własnych siłach skierował się pewnym krokiem ku drzwiom. Wrzeszcz zerwał się również ze swego miejsca, zdziwiony i zatrwożony zarazem.

Przez cały ten czas pułkownik był tak osłabio-

ny, że Wrzeszcz musiał go na rękach prawie przenosić z fotelu na łóżko, gdy była pora udania się na spoczynek. Bał się przeto, aby ten nagły wysiłek nie osłabił go do reszty, lub nie był zapowiedzią powtórnego ataku. Poskoczył więc, aby podtrzymać swego pana. Starzec wszakże silnym ruchem ręki odsunął go i w milczeniu drzwi otworzył. Wrzeszcz ze świecą w ręku podążył za nim. Minęli sieni i weszli do izby, gdzie mieściły się resztki zbrojowni. Rym-sza nie zatrzymał się tu ani chwili, nie spojrzął nawet na puste miejsce, gdzie stały niedawno jeszcze ludzie mechanizmy, i skierował się do drzwi, prowadzących do drugiej komnaty. Wrzeszcz był tuż przy nim. Starzec ujął za klamkę i silnie ją nacisnął, usiłując drzwi otworzyć.

— Pracownia zamknięta na klucz, pułkowniku.

— Otwórz!—rozkazał krótko.

-- Już za późno, pora na spoczynek, pułkownik.

Zmierzył go gniewnym okiem i całym ciężarem swej wyniosłej postaci drzwi nacisnął tak mocno, że aż zatrzęszczały. Wrzeszcz usiłował jeszcze powstrzymać go i umitygować, lecz daremnie; rad nie rad przeto drzwi otworzył, poczem szybko wyjął klucz z zamku i schował do kieszeni.

Izba, do której weszli, była obszerna, lecz powietrze panowało w niej duszne i stęchłe; od paru tygodni nikt tu nie zaglądał, ani Rym-sza, ani tembardziej Wrzeszcz, który z wielką zawsze niechęcią próg ten przestępował, wierząc mocno, że z tej fatalnej pracowni płynęło całe zło, które zmąciło umysł jego pana.

— Wymysł czarci!— mruzczał nieraz do siebie, patrząc z obawą na rozmaite narzędzia, baterye elektryczne, dziwnego kształtu aparaty, oraz wielki warsztat mechaniczny, zajmujący całą ścianę izby. Szczególniej zaś bał się jednej skrzyni, z kształtów podo-

bnej do trumny, a ustawionej na dwóch dębowych, mocnych stołkach i zawsze zamkniętej na dwa zamki, od których klucz stary Rymsza chował starannie. Raz tylko do wnętrza jej Wrzeszcz rzucił okiem i odwrócił się, żegnając się z przestrachem... Od tej pory, czyniąc porządki w pracowni, do której oprócz Rymszy, on tylko, a niekiedy i Andrzej mieli prawo wstępu, unikał tej skrzyni i kiedy niekiedy tylko zmiótł z niej kurz, gdy ten zbyt grubą warstwą osiadł na jej powierzchni. Do tego to właśnie miejsca szedł prosto starzec. Wrzeszcz, wylękniony, zatrzymał się u progu ze świecą w ręku. Słabe jej światło nie mogło rozproszyć dziwacznych cieni, kładących się na ziemi i na ścianach komnaty.

— Daj świecę! — zawołał Rymsza, otwierając zamki u skrzyni — i zapal światła...

Wrzeszcz raz jeszcze odezwał się ze słowami perswazyi, lecz bezskutecznie, spełnił przeto rozkaz swego pana i pozapalał lampy. Rymsza skrzynię otworzył i zajrzał do jej wnętrza. Ręka Wrzeszcza, w której trzymał świecę, drżała jak w febrze.

Na dnie tajemniczego pudła spoczywał ludzki szkielet, którego wszystkie części połyskiwały blaskiem metalicznym; płomień świecy i lamp odbijały się w tym niezwykłym kościotrupie, zapalając w nim migotliwe, skaczące z miejsca na miejsce isierki...

Rymsza wpatrywał się zgorączkowanym wzrokiem w poszczególne części kościotrupa, dotykał ostrożnie ręką czaszki, żeber, szczęki, wkładał palce w doły oczne, przesuwając dłonią po gładkich, jak stal wypolerowana, kościach ramion, nóg i rąk, gdy nagle podniósł głowę i zawołał z przerażeniem w głosie:

— Rdza!...

Wrzeszcz drgnął, wylękniony, i o mało co nie wypuścił z rąk lichtarza.

— Rdza! — powtórzył Rymsza gniewnie—i tu, i tu jeszcze!...

— Można ją wytrzeć, pułkowniku ,,

Rozśmiał się starzec śmiechem dziwnym.

— Wytrzeć?!... Tej rdzy nie wytrzesz... Wiesz, jaka to rdza?... Rdza ludzka!... Wciska się ona wszędzie, zjada wszystko, zakrada się i tu, do mnie, do mego dzieła, aby je zniszczyć, aby ocalić znikomość człowieka!... Lecz wara!... Jam je stworzył i doprowadzę do końca, choćby wszystkie siły piekielne wystąpiły do walki, ja je pokonam... Precz z tą rdzą!...

Odetchnął głęboko, wyczerpany tym wybuchem gniewu, poczem zwracając się do Wrzeszcza, mówił dalej, wskazując na kościotrup:

— Drzysz, stary, przed tem widmem śmierci!... Nie bój się!... Ja ją zwalczę, wzniecę życie w tym metalu, ono w nim tylko uśpione od wieków, zakłęte przez zazdrosną siłę twórczą, a wtedy mój stalowy szkielet, ta parodia śmierci żyć będzie wiecznie!... Czy pojmujesz?...

— Bluźnierstwo! — szepnął Wrzeszcz do siebie, drżąc cały.

— I odtąd — mówił dalej starzec — nie będzie pleśni ludzkiej, znikomej, marnej, spodlonej, lecz będą tytani, silni a nieśmiertelni, podobni bogom!... I wezmą oni kulę ziemską w swe ramiona i przeniosą w inne przestwory, czystsze... gdzie panuje sprawiedliwość; gdzie nie ma ani ucisku, ani krzywdy niczyjej, ani tyranów, ani niewolnika, gdzie nie ma zgnilizny ducha?... I to będzie mojem dziełem!... Mojem, czy pojmujesz?... Już teraz czuję wzrok wieków na sobie! — dodał starzec, prostując się dumnie, lecz nagle zachwiał się i padł na krzesło, które mu Wrzeszcz w porę podsunął.

Rymsza oddychał ciężko, chwytając z trudem powietrze, ręce mu opadły bezwiednie, a olbrzymia jego postać wyprężyła się na krześle i zeszywniała. Wrzeszcz przeraził się niezmiernie: zdawało mu się, że jego pan kona... Ukląkł przy nim i chwytając

rękę jak lód zimną, poniósł do ust, szepcząc głosem zgnębionym, błagalnym:

— Pułkowniku, pułkowniku!...

Starzec wszakże nie słyszał, ani też nie czuł pocałunków, któremi stary sługa pokrywał jego rękę; przytomność odbiegła go daleko... Szeroko otwarte oczy, jakby zeszkłone, patrzyły nieruchomo w jakąś dal niezmierną, bezgraniczną. Nareszcie starzec obudził się z chwilowej martwoty: usta jego zaczęły się poruszać, wydając zrazu szept niedosłyszalny, który stopniowo wzmacniał się i potężniał...

— O okrutna siło twórcza!...—mówił starzec — jakże straszne bóle nosisz w swem łonie!... O myśli nikczemna!... podła niewolnico tkanek mózgowych, gdzież twe skrzydła lotne a potężne, któremi masz się wzbijać aż do granic stworzenia?... Jakże lot twój poziomy, jak wolny!... Wleczesz się tak niedołąźnie, jak ten płyn czerwony, płynący w żyłach, z którego ród swój wiedziesz! Oderwij się chociaż raz jeden od pnia swego i wleć wysoko, ponad słońca, ponad tajne stworzenia, odkryj źródła bytu i życia, zedrzyj zasłonę ze wzroku ducha, który w ciemnościach jak potępieniec się błąka!... A wtedy, tobą jak pierścieniem ze stali obejmę całą przyrodę i łańcuchem swej woli ścisnę tak mocno, że wszystkie jej siły olbrzymie a bezwiedne wydobędę, streszczę i poddam swej władzy, aby ten świat odrodzić, zetrzeć z niego tę pleśń ludzką...

— Błuznierstwo, błuznierstwo!—szeptał Wrzeszcz ze zgrozą — biedny mój pułkownik... biedny!...

Starzec tymczasem, tonąc jakby w ekstazie sennej, mówił dalej:

„Patrz na dół!... Kędy wieczna mgła zaciemnia

„Obszar gnuśności, zalany odmętem,

„To ziemia...

.

„Spólnemi łańcuchy

Opaszmy ziemskie kolisko...

Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
 I w jedno ognisko duchy!..
 Dalej z posad bryło światła!..
 Nowemi cię pchniemy tory,
 Aż opleśniałej zbywszy się kory,
 Zielone przypomnisz lata”.

— Tak!... tę pleśń zetnę, tę rdzę!... — powtarzał coraz ciszej, gdy nagle zerwał się z krzesła i nachyliwszy się nad skrzynią, zaczął gorączkowo przesuwając dłonią po zimnym chłodnym metalu-skielecie aż wreszcie nacisnął mocniej środek czaszki.

Dał się wówczas słyszeć chrzęst dziwny, skielec drgnął, zadźwięczał żałośnie i powoli uniósł się w swej trumnie...

Zimny dreszcz przebiegł po kościach Wrzeszcza. Starzec zaś rozśmiał się głośno, tryumfująco

— Cha, cha, cha!... Rdza cię jeszcze nie zjadła, chociaż już się wpiła!.. Żalisz się, biedaku, skarżysz!... Słyszę, słyszę... Lecz bądź dobrej myśli, ja ją zetnę, teraz jednak zostań w spokoju, niech zarodek życia, który tli w tobie, wzmoże się, wzmocni!... Natenczas uczynię cię potężnym, niezwalczonym i trwałym jak wieczność... Musisz jednak dotąd czekać i cierpieć, aż posiadę tajemnicę, iskrę Prometeuszową, płomień święty... Dzieło tve wówczas rozpocznie się... A teraz zostań w spokoju! — powtórzył raz jeszcze i położył swą dłoń na czaszce.—Wrzeszczowi wydało się, że usłyszał nagle jakby jęk cichy, czy też żalosne westchnienie, poczem widział, jak skielec zaczął powoli się odchyłać, aż wreszcie ułożył się wyprostowany na dno swej trumny. Stary sługa odetchnął głęboko i wyszeptał:

— Piekielny mechanizm!... Patrząc nań, nawet zdrowemu człowiekowi umysł się zamącić może.

Rymsza tymczasem zamykał ostrożnie wieko skrzyni, jakby się strzegąc najłżejszem wstrząśnieniem naruszyć spokój szkieletu.

— Niech śpi! — szepnął tajemniczo do Wrzeszcza — ja będę czuwał!

Wyraz jego twarzy złagodniał; oczy przestały rzucać groźne blaski, a głos brzmiał nutą dobrotliwą. W serce Wrzeszcza wstąpiła otucha: taka zmiana świadczyła zwykle o doszczętnem wyczerpaniu energii duchowej, wskutek czego starzec stawał się powolnym jak dziecko i ulegał zupełnie woli swego sługi. Śmiało przeto Wrzeszcz ujął go za rękę, mówiąc:

— Czas na spoczynek, pułkowniku!...

Na te słowa uśmiechnął się dobrotliwie i odparł cicho:

— Muszę czuwać!...

— Już prawie północ — dodał Wrzeszcz.

— Powiedziałem, że czuwać muszę!

— Dobrze, pułkowniku, dobrze... więc idźmy czuwać razem — powtórzył Wrzeszcz tonem, jakim się mówi do dziecka, i ująwszy swego pana pod ramię, chciał go uprowadzić.

Rymsza jednak oparł się i odparł krótko:

— Zostanę tu, ty idź!...

— Ależ, pułkowniku! — odezwał się raz jeszcze głosem błagalnym — tak trzeba... z „wyższego rozkazu!“ — dodał, uciekając się do zwykłego wybiegu i zlekka pociągnął za sobą starca, chcąc go zniewolić do opuszczenia pracowni.

Tym razem wszakże wybieg nie odniósł pożądanego skutku...

Rymsza jednym silnym ruchem uwolnił swe ramię i mierząc Wrzeszcza wzrokiem groźnym, zawołał:

— „Z wyższego rozkazu?!...“ Pacholku, jakżeś nędzny!... Mój tu rozkaz najwyższy... Chcę!... Oto przykazanie dla ciebie!... Zostanę tu!... Ty idź!

Stanowczość starca była niezłomną i sługa uleść jej musiał; zostawić wszakże swego pana samego nie mógł, postanowił przeto czekać cierpliwie, aż jego upór przemienie. Uplynęło kilka męczących godzin na wspólnem czuwaniu. Rymsza zdawał się nie uważać

już na obecność swego sługi, zapomniał o nim. Przyjął tylko w milczeniu dębowy, twardy fotel, który mu Wrzeszcz podsunął, i zajmawszy w nim miejsce, zapadł znów w dawną nieruchomość i martwość. Szeroko jedynie rozwarł oczy, wpatrzone w przestrzeń, świadczyły, że skołatany umysł, pochłonięty jedną uporczywą myślą, czuwał nieustannie. Wrzeszcz, chociaż znużony niezmiernie, bał się usiąść, aby sen go nie zmożył, stanął przeto opodal, oparty o węgielek stołu, i nie spuszczał wzroku ze swego pana.

Ile wiernego przywiązania i tkliwości mieściło się w tych siwych oczach, przyciemnionych krzaczkami brwiami, trudno opisać; kiedy niekiedy tylko mgła łzawa przysłaniała ich powierzchnię, lecz wówczas stary wiarus gniewnym ruchem dłoni tarł oczy, szepcząc głosem drżącym:

— Baba!...

Jednocześnie, aby oderwać uwagę od troski uporczywej, przywoływał siłą woli drogie wspomnienia; wyobrażnia zaś starego wachmistrza była gorącą; ściany izby, pogrążonej w półświatło lamp, walczącym z brzaskiem dziennym, który już się zakradał przez okna, rozszerzały się w dalekie horyzonty, w rozległe niziny i pola, na których wrzało życie, panował ruch, zgiełk i hałas, a z sąsiedniego lasu dochodziły znane odgłosy i hasła... zdawało się, że bór zaczął się ruszać... tysiące par oczu i uszu namiętnie uważały... jeszcze jedna chwila...

Nagle dał się słyszeć turkot, psy zaszczekały i ucichły po chwili.

— Ech!... — wyszeptał Wrzeszcz i machnął ręką, jakby odpędzając od siebie widma, które go zewsząd otoczyły, poczem zawołał radośnie:

— Pan Andrzej przyjechał!...

Upłynęło kilka sekund; szybkie kroki dały się słyszeć na ganku i po chwili na progu pracowni stanął Andrzej. Stary Rymsza, ujrawszy go, uśmiechnął się łagodnie, lecz się nie poruszył.

— Stryju mój, stryju! — zawołał Andrzej i ukląkł u jego kolan.

— Jesteś... to dobrze, w samą porę, ja tu czuwam już oddawna, potrzebna cisza, lecz skoro jesteś, to lepiej...

— Boże! stryj taki znużony, nie kładł się wcale?! — zapytał, zwracając się do Wrzeszcza.

Ten gestem wymownym rąk dał poznać, że objaśni wszystko, gdy będą sami.

— Niechże stryj odpocznie, położy się trochę u siebie...

— Nie, nie!... Patrz, czy widzisz?... tam — odparł, wskazując ręką na skrzynię.

Andrzej odrazu domyślił się, o co chodzi: historia stalowego skieletu była mu znana, dlatego też odparł szybko:

— Wiem, wiem, lecz ja tu zostanę, zluzuję, a stryj wypocznie — dodał, calując go w czoło, zroszone potem zimnym.

— Tak, to co innego! — zgodził się natychmiast. — Wrzeszcz! — dodał głośno.

Sługa czekał tylko skinienia i ująwszy pod ramię pułkownika, wyprowadził go już bez najmniejszej trudności do sypialnego pokoju. Tu starzec pozwolił się rozebrać i ułożyć do łóżka; znużenie zaś jego i wyczerpanie było tak wielkie, że usnął prawie na rękach Wrzeszcza. A sen to był głęboki i moczny. Dopiero teraz Wrzeszcz mógł opowiedzieć Andrzejowi o szczegółach dzisiejszej nocy i szaleństwie z dni poprzednich.

— Dlaczego nie dałeś mi znać wcześniej? — zapytał Andrzej z łagodnym wyrzutem w głosie.

— At!... po co było?... Albo to pierwszy raz!... Nam już pora z pułkownikiem... a panu żyć jeszcze trzeba, nie telegrafowałbym, gdyby to chodziło o noc dzisiejszą, lecz te dni są już początkiem końca!... Za długo żyjemy, pora odpocząć.

— Bredzisz, mój stary pocziwcze — odparł

Andrzej, całując w głowę starca — nieszczęście tylko, że automaty przepadły!... była to dla niego jedyna rozrywka i... pokarm dla ducha — dodał ciszej.

— Tak, to wielkie nieszczęście... Zaraz potem przypomniał sobie o tej przeklętej skrzyni... Mówił takie rzeczy, że włosy powstawały na głowie... Nikt jeszcze takich bluźnierstw nie słyszał...

— Daj pokój, stary, da Bóg, ułagodzimy go znów na długo i będzie po dawnemu.

— Wprzód jednak trzeba skrzynię z tym kościotrupem utopić w stawie; ona przyniesie nam nieszczęście!... Mówilem to i dawniej.

— Zobaczymy, zobaczymy, będzie czas na wszystko, a teraz idź, ty, staruchu mój, zaśnie!... twoje zdrowie i siły są mi tak drogie, jak i moje własne — powiedział Andrzej i objął go za szyję.

Stary zapłakał.

VII.

Nazajutrz, jeszcze około godziny 10-ej rano, we dworze panowała cisza głęboka. Stary Rymsza pogrążony był w śnie mocnym. Wrzeszcz co kilka minut podkrażał się na palcach do drzwi sypialni swego pana, czas jakiś nadśluchiwał, poczem powracał, raportując Andrzejowi:

— Pułkownik śpi jeszcze.

Oblicze pocziwego wiarusa jaśniało radością, gdy to mówił; sen bowiem dla starca, który zaledwie po 4 godziny sypiał na dobę, był najskuteczniejszym lekarstwem, gdyż wzmacniał i uspokajał umysł skołatany. Dopiero około 11-ej Andrzej, zaniepokojony nieco, zdecydował się zajrzeć do pokoju stryja.

Uchylił zlekka drzwi: starzec już nie spał. Twarz jego była pogodną, a wyraz oczu spokojny, wesóły niemal... Dostrzegłszy Andrzeja, skinął nań ręką,

przywołując do łóżka. Gdy na to wezwanie pośpieszył i przybliżył się, dostrzegł pewnego rodzaju zakłopotanie, jakie się odbiło nagle w oczach starca.

— Dzień dobry, stryju!... Jakże się spało?—zapytał Andrzej, udając, że nie spostrzega jego zakłopotania.

— Dobrze... jakoś mi tylko głowa cięży; sny miałem dziwne a przykre... całą noc męczyły i czuję się mocno znużonym... poleżę jeszcze, może zasnę, dlaczego jednak siedzisz tu?... miałaś wyjechać do miasta, rozerwać się...

— Jużem jeździł, mój stryju, i wrócił.

— Toś bawił krótko, dzień lub dwa, nie więcej... dziwna rzecz, jak mi się czas płacze, nie mogę nawet przypomnieć sobie, kiedyś wyjeżdżał... pamięć osłabła!—dodał z westchnieniem i przymknął oczy.

Andrzej ucałował starca i na palcach wyszedł z pokoju. W gabinecie czekało na niego sporo korespondencyj do załatwienia, którą Wrzeszcz ułożył na biurku. Zaczął ją przeglądać, odczytując jedynie adresy na kopertach, lecz żadnej z nich nie otworzył. Czuł dziwne znużenie, głowa mu ciężyła, pracować nie był zdolnym. Przez całą noc nie zmrużył oka ani na chwilę, opanowany troską myśli, które w chaosie tłoczyły mu się do głowy... Wyrzucił sobie, że opuścił stryja na tak długo, że stał się mimowolnym sprawcą pogorszenia jego zdrowia; gdyby tu był, nie stałoby się nic podobnego, sama jego obecność wystarczała zwykle do stłumienia w zarodku porywów szalonych. Jak mógł zapomnieć o tem... Jest egoistą, niepomnym na najświętsze obowiązki względem starca, wiernego a nieszczęsnego strażnika wygasających pragnień i ideałów...

— Dni jego są policzone, a już to samo nakazuje mi nie opuszczać go ani na chwilę!—powiedział do siebie z mocnem postanowieniem wypełnienia święcie tego obowiązku.

Jednocześnie wszakże uczuł, że fala smutku

i tęsknicy napływa do jego serca, żal za czemś drogiem, czego się wyrzec musi.. Poruszył się niespokojnie i wstrząsnął głową, jakby chcąc odpędzić widziadła stęsknionej wyobraźni, i wziął się znów do przeglądania listów.

— Tyle jest pracy owocnej, pożytecznej dla innych, że o sobie myśleć byłoby grzechem..

Rozerwał pierwszą kopertę i zaczął czytać półgłosem:

— „Donoszę panu, że stosownie do polecenia, obszedłem cały powiat. Gospodarze przyjmowali mnie zrazu niechętnie i z niedowierzaniem, gdym jednak powiedział, że jestem od p. Jędrzeja, witano mnie gorąco. Zakładam już trzeci ogródek. Chcieli mi zrazu płacić za nasiona i sadzonki drzew owocowych, gdy powiedziałem im jednak, że pan Jędrzej nie kazał brać za to ani grosza, jeno za moją robotę, w całej gminie zrobił się ruch wielki, rozeszło się to i dalej i wszyscy zaczęli prosić, żeby przy każdej chacie założyć ogród. Z trudnością zdołałem im wytłómaczyć, że wszystkiemu nie dam sam rady, że mi brak nietylko czasu, ale nasion i szczepów i że mogę urządzić ogrody u tych jedynie gospodarzy, którzy wcześniej prosili pana Jędrzeja o radę i pomoc. W dwóch wioskach: Pokrzywnie i Zalesiu, łącząca je droga wiejska pięknie się już przedstawia: zeszłoroczne drzewka wszystkie się przyjęły, pilnie ich strzegą i doglądają. Za dwa tygodnie myślę już wyruszyć z powrotem, pora mija..“

Twarz Andrzeja, gdy to czytał, ożywiła się, zapomniawszy o swoich troskach, o stryju, o swej tęsknocie i myślą przeniósł się do tych wiosek, w których za jego sprawą zaczynał się krzewić dobrobyt i postęp, gdzie imię pana Jędrzeja budziło zaufanie i miłość, gdzie wśród dotychczasowej ciemnoty i apatyki zaczynają się wzniecać iskry samowiedzy ludu... Czuł niewypowiedzianą rozkosz myśląc o tem, a to wszystko przy pomocy tak małych środków, tak nie-

wielkich usiłowań, przy odrobinie zaledwie dobrej woli jednostki.

— Jakże człowiek jest potężnym, skoro wpływ jego może sięgać tak daleko!..

— Gdyby takich jednostek z dobrą wolą znalazło się tysiąc, nawet połowa tego wśród dziesięcioletniej ludności, jakie rezultaty w ciągu lat kilkunastu możnaby osiągnąć? — zawołał Andrzej i westchnął głęboko.

— Gdybym miał przynajmniej wielkie środki pieniężne! — mówił dalej — wtedy to, co się dziś czyni dorywczo, sposobem próby, mogłoby się ułożyć w prawidłową organizację, potrafiłbym wytworzyć kadry wiernych pomocników, którzy zrozumieliby ważność zadania. Ten naprzykład Piotr Woźniak, przed trzema laty początkujący ogrodniczek, któremu przygarnął do siebie, jest pracowitym i dzielnym... Tamten drugi również — dodał, rzucając okiem na wielką kopertę z szarego papieru, na której skreślony był adres ręką niewprawną — zobaczymy, co on pisze?

Zerwał kopertę.

— „Wielmożny panie!“

„Chłopi już wydzierżawili wiklinę nad Wisłą. Dziedzic ustąpił im za tę samą cenę, co i żydom w roku zeszłym. Żydzi dawali już więcej, prawie dwa razy tyle, lecz było już za późno. W starej stodołę dworskiej fabrykujemy teraz kosze i faszyny; nietylko wszystkie prawie dzieci ze wsi, lecz i starsi pracują. Dzieciaki pojętne i bawią się poprostu przy robocie; zajmuje to ich bardzo. Pierwszą partycję 60 koszy wysłali przed kilku dniami do miasta i wyprzedali natychmiast; dostali razem 65 rubli. Chłopi mówili, że nigdy w ich wsi nie było odrazu tyle zarobku; jeden chciał, żeby tak dobry początek oblać w karczmie; kilku zgodziło się, lecz inni oparli się, mówiąc, że byłby to grzech wielki przed Bogiem i przed panem Jędrzejem, który pierwszy doradził

im korzystać z tego, co mają pod nosem, i przysłał im człowieka, co darmo ich nauczył wyrabiać kosze i faszyny.“

— Poże!... jakaż tam straszna nędza w tej wiosce: grunta jałowe, piaszczyste, na których nawet kartofle nie chcą się rodzić. Nędzarze ci przez cały rok mrą z głodu, a chleb na ich stole należy do zbytku!

Przejrzał jeszcze parę listów z różnych stron kraju, skreślił kilka odpowiedzi i krótkich instrukcyj, poczem zaczął kombinować półgłosem:

— Potrzeba mi na przyszły rok jeszcze ze czterech pomocników, wyniesie to około 1,000 rubli, połowę tej sumy pokryję.. u dwóch księgarzy mam już około 500 rubli, za powieść ludową proponują mi 400 rubli, z warunkiem oznaczenia dowolnej na nią ceny, na to jednak przystać nie mogę: nie dlatego pisałem, aby zyskiwał wydawca lecz dla ludu, niechże otrzyma on książkę po cenie kosztu!... Czem jednak wypełnić brakującą sumę? Swoje osobiste dochody zaangażowałem już wszystkie; na szczęście, jest nadzieja na ogrodowizny, mam wyjątkowo piękne, gdy powszechnie narzekają na zły urodzaj z przyczyny suszy. Dowód to najlepszy, jak nieźmiernie korzystną jest irygacya sztuczna i wiele... wiele jeszcze innych rzeczy, o których wiedzą niby wszyscy!...

Po chwili milczenia Andrzej mówił dalej:

— A jednak istnieją u nas towarzystwa, mające rzekomo na celu podniesienie rolnictwa, dobrobytu ludu, rozwój i popieranie drobnego przemysłu... W czym wszakże objawia się ich działalność? Czy chociaż jedno gospodarstwo wiejskie zyskało coś na tem?... Czy chociaż z jednej chaty wieśniaczej usuniętą została nędza?... Brak stacyj doświadczalnych, brak uczestników czynnych, pojmujących ważność przyjętych na siebie obowiązków... A jednak osiarność publiczna jest wielką, setki tysięcy, milony pływ-

na; olbrzymie fortuny oddają na cele dobroczynności publicznej, na szpitale, na przytulki dla bezdomnych, włóczęgów i występnych, na ladacznice wreszcie!..

Są wprawdzie stowarzyszenia, mające rzekomo na celu te ostatnie względy, lecz działalność ich nie wychodzi po za ściany ich sal obradowych; natomiast społeczeństwu przybywa parę tuzinów prezesów, dyrektorów, honorowych i niehonorowych opiekunów, którzy bez żadnych skrupułów trwonią grosz publiczny. Przygnębiające stosunki i biedny ten kraj, w którym nie może się dotąd obudzić sumienie społeczne! — dodał Andrzej z goryczą wielką i pochyliwszy głowę, utonął w zadumie.

Obudził go z tego zamyślenia dźwięk dzwonu, zwiastującego południe. Zerwał się zdziwiony, że czas upłynął tak szybko, i wyszedł na ganek. Nie było tu nikogo, tylko dwa wyżły drzemały na murawie, skąpanej w słońcu południowem.

Andrzej skierował się krętymi ścieżkami w stronę ogrodu. Na jednej z nich zastąpiło mu drogę trzech włościan, z których dwóch—byli już ludźmi w wieku podeszłym, a trzeci—wyrostkiem zaledwie.

Ujrawszy Andrzeja, uchylili czapek, mówiąc:

— Niech będzie pochwalony!..

— Na wieki wieków!.. A do kogo to, dobry udzie?

— Do pana Jędrzeja, proszę łaski pana.

— Jestem nim.

Twarze chłopów rozjaśniły się, a jednocześnie pojawił się na nich wyraz pewnego zdziwienia i jakby niedowierzania.

— Taki młody!—szepnął jeden z włościan.

— Jakaż to sprawę do mnie macie?—zagadnął Andrzej.

— A to chciałem swego syna Jędrka oddać panu na naukę, niby na praktykę — odezwał się jeden z chłopów, dostatnio ubrany, wysuwając przed

siebie wyrostka, który, onieśmielony widocznie, cho-
wał się za ojca.

— A nie bój się, urwancze, toć samego pana
Jędrzeja widzisz przed sobą; zdejmnij czapkę i pokłoń
się do kolan, żeby cię nie zbrakował.

Na te słowa Jędrzek wysunął się śmiało i roz-
chyliwszy swe usta w szerokim uśmiechu, odparł
glosem pewnym:

— Czego się ta mam bać!... Abo to mnie zje-
dzą... Przecie z dobrej woli tu szedłem.

Andrzej uśmiechnął się.

— A zdejmnij czapkę, Jędrzek! — przypomniał
ojciec.

Ten zerwał ją z głowy natychmiast i zniżył do
kolan Andrzeja.

— Więc chcesz do mnie na praktykę? A cze-
goż to masz ochotę uczyć się?

— Wszyckiego... tego, co i pan umie — odparł
rezolutnie.

— Słuchajcie, jak to gada!... Wisielec!

— A zkądże to ci przyszła taka ochota?

Chłopak zaczerwienił się po uszy.

— Dużoby o tem gadać!...

— No, ale przecież?

— A bo chcę i tyle... proszę pana, co tu ga-
dać po próżnicy!... Albowiem się to mało naczytał w *Ga-
zecie Niedzielnej*, toć nic dziwnego, że i ochota przy-
szła. Ociec, dziękować Bogu, jeden z pierwszych go-
spodarzy we wsi, toć mi i wstyd, żem głupi i nic
nie umiem...

— No, zawsze już coś umiesz, skoro czytasz
Gazetę Niedzielną—zauważył Andrzej.

— Owa!... toć we wsi ją wszyscy już prawie
czytać umieją.

— A zdalekaście to, kochani moi?—zagadnął
Andrzej.

— Z Leśniczówki, z Rawskiego, dziesięć mil
zład—odparł ojciec Jędrka,

— I trafiście do mnie odrazu?

— Nie tak odrazu.. zimową porą jeździłem do Warszawy z okowitą dziedzicą, tom się i rozpytał w gazecie, jak trafić do pana Jędrzeja... Takem sobie umyślił, że juści tam wiedzieć muszą.

— A nie prawda, tatułu, boć to ja umyśliłem— pochwalił się Jędrrek.

— Będiesz ty cicho, urwancze, kiedy ociec mówi—zgromił go stary.

— Już dobrze, dobrze, nie gniewajcie się, tatułu, jeno to, co mówię, jest prawdą!..

Chłop zrazu się obruszył, lecz widząc, że Andrzej uśmiecha się dobrotliwie, uważał za soso-
wne nie zważać na gadanie Jędrka i przemilczał.

— Chcecie więc oddać swego syna na praktykę?..

— A no chciałbym.. a chociaż ubędzie mi w chacie robotnika, niech ta się wisus czegoś nauczy, co łaska pańska, a co za naukę, toć zapłacę, chwalić Boga, jest tam trochę grosza.

— To może lepiejby go było oddać do jakiej szkoły?—zauważył Andrzej.

— Do szkoły?... A toć ma już lat siedemnaście, za siary!..

— Ja tam nie chcę do żadnej szkoły—zaprote-
stował Jędrrek.

— A do mnie chcesz?

— Tććem przyszedł.. Ludzie mówią, że pan Jędrzej lepiej od szkoły nauczy wszystkiego: i jak drzewa sadzić, i gospodarstwa, i rzemiosła jakiego siakiego, i o tem, co się na świecie dzieje gdzieindziej i u Niemca i Francuza, a nawet i u Amerykana... to i po co jeszcze jakaś tam szkoła?

— Ale i u mnie pracować trzeba! — powiedział Andrzej, usiłując zachować powagę.

— To się wie, ja tam roboty nie boję się, niech ociec sam powie!

— A no, co prawda, to i prawda...

— Jeśli tak, mogę cię, mój Jędrku, przyjąć na praktykę—zdecydował Andrzej.

— Dziękujemy pokornie, a co trzeba, to zapłacę święcie — odezwał się ojciec Jędrka, sięgając za pazuchę.

— Dajcie pokój, moi drodzy, Jędrka przyjmę chętnie bez żadnej zapłaty — powstrzymywał go Andrzej.

— Co to, to nie!... Chwalić Boga, jam nie pośledni gospodarz, to i o trochę grosza nie stoję, zresztą wiemy dobrze w całej gminie, że pan Jędrzej biednym chłopom pomaga darmo, i nasiona daje i krzewiny i ziola japtyczne i książki drukowane..

— To jedno z drugim nic nie ma, mój ojczy, od was bowiem zapłaty nie wezmę... Jędrək swą robotą opłaci naukę i praktykę, chłopak, jak widzę, chętny, a silny i zdrów.

— O, co krzepki, toć prawda!... Korzec pszenicy dla niego to nic, a i obrotny też urwaniec—potwierdził z dumą ojciec Jędrka.

— Widzisz zatem, że chleba darmo jeść nie będzie i żadna mi krzywda się nie stanie.

— Zawszeć to nijako... ludzie powiedzą, że m oddał w służbę i wyśmiewać się będą ze starego Grzeli, domagam się przeto usilnie łaski pańskiej—dodał stary i pochylił się do nóg Jędrzeja.

— O cóż wam chodzi, mój ojczy?

— A to, żeby pan przyjął odemnie zapłatę za rok... Mam tu za pazuchą 30 rubli, to mi nijako wracać do wsi z temi pieniędzmi.

— Niech ta pan weźmie—skłonił się Jędrək—bo tatulo się zamartwi.

Andrzej przez chwilę się namyślał, poczem odrzekł:

— A więc dobrze, zostawcie 25 rubli i powiedzcie we wsi, że za to przyślę tam nasion i sadzonek owocowych każdemu z gospodarzy, który zechce mieć ogród u siebie.

Twarz Grzeli rozjaśniała zadowoleniem wielkiem, skłonił się do samych nóg Andrzeja i powiedział:

— Pokornie dziękuję... toć teraz i we wsi przyjmą mnie nie byle jako, gdy im powiem o wszystkim, jeszcze raz kłaniamy się pięknie i dziękujemy...

— Niema za co, moi drodzy!... A teraz idźcie do izby czeladnej; pora obiadowa, to i posilić się trzeba, bądźcie u mnie gośćmi, zaprosiłbym was do dworu, lecz stryj mój chory i potrzebuje spokoju.

Grzela i Jędrak schylili się, uchylając czapkę, i odeszli, ich towarzysz wszakże pozostał na miejscu.

Mocno spalona, prawie czarna, wychudzona twarz jego, ciemna sukmana, pokryta grubą warstwą kurzu, oraz wyraz wielkiego zmęczenia, mialujący się w oczach, świadczyły, że odbył wędrowkę daleką, utrudzającą... Spostrzeżenia te dopiero teraz poczynił Andrzej, poczem zapytał:

— Dlaczego nie idziecie z Grzelą?... Wszakże przyszliście razem?

— Nie, proszę pana, ja osobno — odparł, zdejmując czapkę i obracając ją w rękach z zakłopotaniem.

— Nakryjcie głowę, a zkadże to Bóg prowadzi?

— Zdaleka!... Włóczyłem ci się i ja po świecie przez dwa roki—odparł człowiek.

— I gdzież tak długą odbywaliście wędrowkę?—zapytał Andrzej zaciekawiony.

— Byłem w Ameryce, w Brazylii...

— Aa!... I cóż was spowodowało do porzucenia swoich, swego kraju?

— Cóż, jak nie głupota chłopska!... a potem źli ludzie, faktory żydowskie... bodaj ich ziemia pochłonęła!—odparł chłop ponuro i zwiesił głowę.

— Macie rodzinę?

— Miałem... dwóch chłopaków pomarło, a i dziecko przy piersi, pozostała tylko chora baba i dziewucha pięcioletnia.

— A z kąd rodem jesteście?

— Z Marysina, w Lipnowskim.

— Wracacie więc do swoich?

Chłop potrząsnął głową.

— A po co ja tam pójde?... żeby się ze mnie śmieli, przedrwiwali z nieszczęścia; nie mam zresztą do czego wracać: chudobę, jaką miałem i szmat ziemi wyprzedalem; wszystko poszło na faktorów, na głód, na potrzeby! O żebranym chlebie tutaj przyszedłem — dodał głosem złamanym, w którym dźwięczało, zda się, echo długich cierpień, bólów i nędzy, przeżytych w krajach zamorskich.

Andrzej przez chwilę wpatrywał się w wynędzniałą postać człowieka, na twarzy którego nędza i rozpacz pozostawiły niezatarte ślady, znacząc je w głębokich bruzdach i zmarszczkach.

— A gdzież wasza żona i dziecko?

— Zostawiłem ją w karczmie przydrożnej, słabuje wciąż i ledwie się wlecze.

— I nie zaoszczędziliście nic ze swej chudo-
by?—zapytał Andrzej.

— Mam jeszcze dwa dolary zaszyte w sukmanie, chowam je, te ostatnie, na nowy pogrzeb...

— No, no, tak źle nie będzie — pocieszał go Andrzej, sam mocno wzruszony tym obrazem niedoli ludzkiej.

— Jak Bóg zrządzi, tak będzie!... Alboż to długie życie człowieka.. Bóg miłosierny!...

— Jakżeście tu trafili?

— Dobrzy ludzie pokazali, spotkałem potem tego gospodarza z synem, to i poszedłem z nimi.

— A papiery swe macie?

— Mam, panie, wszystko w porządku—odparł i wyjął z zanadrza owinięte w szmatę dokumenty,

Andrzej, przejrawszy je uważnie, przeczytał głośno:

— Antoni Szcześniak z żoną Magdaleną i czworgiem...

— Już tylko jedno!...

— Wiem, wiem, mówiliście — odparł Andrzej i złożywszy papiery, dodał:

— Pomyślę, co dla was można uczynić, a teraz idźcie do czeladnej, posilcie się, a potem sprowadzicie tu żonę z dzieckiem, niech wypocznie dni parę... Strawy wystarczy dla was obojga i dla dziecka...

Chłop stał, wpatrując się się w Andrzeja szeroko otwartymi oczyma, i nie ruszał się z miejsca.

— Idźcie, Szcześniaku, ot tam—powtórzył Andrzej, wskazując ścieżkę, prowadzącą do zabudowań gospodarskich.

— Niech Bóg!... wyjąkał biedak i głos mu się urwał... poczem zwałił się, jak snop, do stóp Andrzeja.

— Wstańcie, wstańcie! — powiedział cicho Andrzej, dotykając jego głowy, posiwiałej przedwcześnie.

Chłop podniósł się z trudnością; z jego czarnych, wypalonych zda się gorączką głodu oczu, płynęły wolno gorzkie łzy nędzy ludzkiej.

— Niech Bóg nagrodzi za litość, za dobre słowo... to pierwsze, odkądem swoich porzucił.

— Bóg wam pomoże jeszcze, mój bracie, rozpaczać nie trzeba!—powiedział Andrzej—idźcie więc, a jutro lub pojutrze pomówię z wami dłużej.

Chłop odszedł, zataczając się i wymachując dziwnie rękami, aż zniknął wreszcie na zakręcie ścieżki.

Andrzej powrócił do dworu i wydawszy klucznicy polecenie, tyżące się Grzeli i Szcześniaka, zajrzał do pokoju stryja. Znalazł go w tej samej pozycji, leżącym na łóżku, z przymkniętymi oczyma,

z rękoma, spoczywającemi wolno wzdłuż ciała. Kontury jego olbrzymiej postaci uwydatniały się dokładnie pod lekkim przykryciem, sprawiając wrażenie uśpionego kolosu... Rymsza nie spał wszakże: na szmer, sprawiony wejściem Andrzeja, podniósł powieki i wpatrzył się weń wzrokiem badawczym, pełnym jakiegoś niepokojącego oczekiwania.

— Ach, to ty!... — wyszeptał nareszcie i odechnął głęboko — dobrze, że jesteś, chodź tu bliżej, bliżej...

Nazajutrz i dni następnych starzec nie opuszczał łóżka; osłabienie było wielkie i senność ciągła. Budził się tylko na kilka minut i znów przymykał oczy, nie przemówiwszy ani słowa. Stan ten, podobny do agonii, niezmiernie trwożył Andrzeja i to tem więcej, że w ciągu dni kilku stryj jego nie przyjmował prawie żadnego pokarmu, pił jedynie polewkę z wina, w której rozbitych było kilka żółtek. Tym skąpym pokarmem podtrzymywano siły starca. Andrzej wezwał doktora, którego zrazu Rymsza dopuścić do siebie nie chciał, w końcu wszakże uległ prośbom Andrzeja. Doktor, zbadawszy uważnie chorego, orzekł, że jakkolwiek niebezpieczeństwa niema, to wszakże wyczerpanie sił jest niezmiernie i wymaga wyjątkowej troskliwości i opieki, a jednocześnie ostrzegł, że powtórny atak mógłby mieć następstwa nader groźne. Radził przeto unikać wszystkiego, co mogłoby wywołać najmniejsze podrażnienie, poczem zapisał kilka recept, odjechał.

Wrzeszcz słuchał zaleceń lekarza z wytężoną uwagą, po jego odjeździe wszakże machnął ręką z lekceważeniem i powiedział do Andrzeja:

— At!... takim się zdaje, że gdy opuka człowieka i za puls weźmie, to i dowie się wszystkiego i poradzi... lekarstwo?! Alboż jest jakie lekarstwo na serce, na chorą duszę, na śmierć samą!...

— Zrzędzisz, staruchu!..

— Dałby to Bóg, gdyby tak było, lecz widzi mi się inaczej.

— Więc radź!

— Co tu radzić?... pułkownik słusznie mówił, że trzeba uczynić rachunek z kampanii... jesteśmy na ostatniej placówce, pora już nam dawno, niema co robić na świecie!—wyszeptał jakby sam do siebie i zwiesiwszy głowę, powlókł się ociężałym krokiem do pokoju swego pana.

VIII.

Upłynęło kilkanaście dni od dnia powrotu Andrzeja. W ciągu tego czasu życie starca wisiało na włosku; pokarmów nie przyjmował prawie wcale. Zmuszony jedynie, ulegając prośbom Andrzeja, a również i Wrzeszcza, wypijał szklanek mleka lub polewki winnej. Doktor, który przyjeżdżał kilkakrotnie, zapewniał, że chory wszedł w ostatni okres wyczerpania starczego i że dni jego są policzone. Andrzej wszakże wierzyć temu nie chciał—sama myśl o możliwej śmierci starca była dlań nad wyraz bolesną. Z gorącym, prawdziwie synowskim przywiązaniem, jakie żywił dla stryja, łączyła się cześć dla bohatera, uosabiającego w sobie pamięć dni dawno minionych... Był on dlań żywym świadectwem promiennych nadziei przeszłości, najdroższych wierzeń i pragnień, szlachetnych usiłowań i szczytnego zaparcia się—pokolenia, które zmiotł za jednym prawie zamachem podmuch niedoli dziejowej.. Pozostał tylko on, ze swym wiernym Wrzeszczem, niby żywy pomnik lepszych czasów... Gdy ich nie stanie — otoczy go pustka przerażająca, pustka śmierci i zwątpienia... Trapiiony temi myślami, szedł do pokoju stryja i spędzał przy nim nieruchomo godziny całe, wpatrując się w tę twarz szlachetną, twarz niezłomnego rycerza, zoraną bruzdami cierpień, zawodów i rozpacznej

żałoby, w których strawił się jego umysł genialny. Wpatrywał się tak długo, jakby pragnąc te drogie rysy utrwalić w swej pamięci i wyryć je w swem sercu na zawsze.

Te kontemplacye usposabiały Andrzeja melancholijnie, odrywając od powszednich zajęć, od pracy gospodarczej, która dawniej wypełniała mu całkowicie długie godziny samotności.

Jedynym teraz dla niego powabem były rozmowy ze stryjem i Wrzeszczem. Właściwie zaś mówił tylko Wrzeszcz, roztaczając barwne obrazy wspomnień ukochanych... Jakże się wówczas żyło? jak gorąco biły serca? jak kipiały umysły?... Pożar miłości wielkiej ogarniał całe społeczeństwo!...

Te gawędy starego wiarusa, żyjącego jedynie w przeszłości, wypełniały im długie godziny wieczorne, a często przeciągały się do samej północy.

Nareszcie po upływie trzech tygodni doczekał się widocznej zmiany na lepsze: starzec, który przez cały ten czas łóżka nie opuszczał, pozostając w jakiejś apatii i beczynności duchowej, zaczął się ożywiać... Pewnego razu sam zażądał posiłku i zjadł z apetytem potrawkę z kurczęcia, poczem zapragnął wstać z łóżka. Był jednak tak bezsilny, że dopiero przy pomocy Andrzeja i Wrzeszcza zdołał przejść się po pokoju, lecz i tem uczuł się bardzo zmęczony. Zapragnął jednak pójść do ogrodu. Wynieśli go prawie na rękach i usadzili w wygodnym fotelu, w cieniu bzów kwitnących. Szczęśliwy ten dzień był dniem przesilenia w chorobie, gdyż starzec stopniowo zaczął odzyskiwać siły, a i apetyt zwiększał się również, co więcej — zdawało się, że odżył i duchowo, umysł jego bowiem spogodniał i nie zdradzał niczem zaburzeń dawnych. Z całą przytomnością rozmawiał z Andrzejem, wypytywał go o szczegóły gospodarcze, o zajęcia literackie, przypomniał sobie nawet o Henryku Koryckim, żalując, że bawił

u nich tak krótko, i wyraził życzenie zobaczenia go jeszcze.

— Napisz, niech przyjedzie, to tęga, zdaje się głowa, nie z dzisiejszych — dodał, jakby usprawiedliwiając swoje zainteresowanie się kolegą Andrzeja.

Tak niezwykła zmiana w usposobieniu starca i zupełna przytomność wprawiły Andrzeja w radość niezmierną: zdawało mu się, że dotychczasowa mroczność umysłu, w której lat tyle stryj jego przebywał — ustąpiła zupełnie.

Uspokojony co do zdrowia stryja, Andrzej odzyskał dawną energię.

— A teraz do pracy i jeszcze raz do pracy... Całą siłą!..

Przeglądając korespondencje, [których sporo leżało na biurku znalazł trzy listy Koryckiego: w pierwszym pytał krótko o zgrupie pułkownika i żądał odpowiedzi, w drugim nalegał ostro na odpowiedź, w trzecim zaś, datowanym przed paru dniami, łajał i wymyślał na milczenie, zapowiadając swój przyjazd, jeśli w ciągu dni paru nie otrzyma wiadomości. W postscriptum wspominał o chybionych usiłowaniach, o nowych trudnościach, łajac bez miłosierdzia ludzi, z którymi się stykał. „Za wygraną wszakże nie dam, gdyby nie to, dawno przyjechałbym do ciebie.“

Prócz tych krótkich lakonicznych wieści od Koryckiego, Andrzej znalazł jeszcze zarzuconą między stosem pism kopertę, ze skreślonym na niej zamasztysem pismem adresem i dopiskiem u góry „b. pilno.“ List ten pochwylił gorączkowo i zerwawszy szybko kopertę, zagłębił się w czytaniu:

„Drogi braciszku!

Tak się nie godzi zostawiać nas w niepokoju, całe dwa tygodnie ani znaku życia; trwożymy się bardzo, szczególnież ciocia, chociaż ja więcej jeszcze! Uniwersytet zamknięty, wszystkie książki przeczytane, nudzę się też strasznie, jak tak długo potrwa — utopię się, lub pójdę łowić ryby z „kowalczukiem,“

zrobiłabym to już dawno, gdybym nie bała się zmartwić ciotuchny. Proszę napisać koniecznie i jak najprędzej. Koniecznie!... albo jeszcze przyjechać, choć na dzień jeden, choć na godzinę, a jeśli i tego uczenica nie warta, to na kwadrans, jeden kwadransik!...
Eli.“

Było naturalnie i postscriptum:

„Biednej Jacentowej zaczął się palec obierać, bolało ją okrutnie, wtedy przyłożyłam wosku z oliwą i w parę dni było już jej lepiej; przez ten czas jednak musiałam pomagać w kuchni... jak tam teraz gorąco!“

Przeczytawszy ten liścik uśmiechnął się, a jednocześnie wyraz słodkiego rozczulenia błysnął w jego oczach; pochylił głowę i wpatrzył się raz jeszcze w zamasyście kreślone litery listu, zdające się mówić o charakterze samodzielnym, energicznym, a zarazem o gorącej, zapalnej fantazyi dziewczęcia. Wpatrywał się tak przez parę minut, poczem odsunął nagle list Eli i powstał, mówiąc do siebie:

— Nie, nie!... trzeba pozostać, tak trzeba!

Przeszedł się kilka razy po pokoju, poczem znów usiadł przy biurku i szybko skreślił dwa listy: jeden do Koryckiego, drugi do Eli; do pierwszego listu dołączył kartkę, mieszczącą w sobie tytuły książek i prośbę, aby Henryk, wzięwszy te książki ze wskazanej księgarni, odesłał, albo lepiej jeszcze odwiózł je sam do dworku pod Warszawą.

Henryk Korycki, nie otrzymując żadnej wiadomości, zamierzał urwać dzień lub dwa i osobiście wyłajać Andrzeja; z wykonaniem wszakże tego zamiaru zwlekał z dnia na dzień, pochłonięty nowemi kombinacyami, jakie mu się nastroczały. W oczekiwaniu na rezultat tych kombinacyj Henryk czasu nie tracił i na własną rękę czynił starania. Poza-

wierał już sporo stosunków w świecie przemysłowym, był na posiedzeniach rozlicznych stowarzyszeń, mających rzekomo na celu rozwój krajowego przemysłu, a wistocie uprawiających głównie interesy przedsiębiorstw wielkich i troskę o dywidendę.

Uprawiano tu system protekcyjny, polegający na ułatwieniu walki konkurencyjnej z zagranicą przez szrubowanie cel ochronnych. Osiągano to różnemi drogami, nie zawsze prostemi; płacono, gdzie należało, ogromne sumy za podwyższenie cła o drobnostkę, o kopiejkę, pół, lub nawet drobniejszy jej ułamek, co wszakże w ogólnej sumie przynosiło fabrykantom miliony. Aby cel ten osiągnąć, wielkie przedsiębiorstwa miały swoich doradców prawnych w stolicy, którzy wysilali całą swą wiedzę i spryt na to, aby dowieść, że białe jest czarnem i odwrotnie. Dzięki temu przemysł nietylko, że się nie rozwijał, ale upadał, zmonopolizowany w kilku wielkich firmach, które uprawiały poprostu lichwę przemysłową, rzucając na rynki wewnętrzne towar pośledni, lichą tandetę, bez obawy jakiegokolwiek konkurencji.

Przykładów żywych, pouczających było mnóstwo; fabryki naprzykład kortów i sukna prześcigały się, zda się, w produkowaniu gatunków jak najlichszych, urągając, dzięki cłom wysokim wszelkiej konkurencji zagranicznej; wyroby skór, niegdyś słynące z zalet pierwszorzędnych i trwałości, walczyły teraz o lepsze z napojoną czernidłem tekturą i nikt się nie troszczył o polepszenie produkcji, bo i tak płynęły zyski olbrzymie.

W tem błędnem kole pokątnych interesów państwowa ochrona przemysłu stawała się narzędziem potwornego wyzysku, haraczem i przymusowym podatkiem z konsumentów na rzecz 20 lub 30% dywidendy dla kilku wielkich przedsiębiorstw. Niemcy i żydzi, przodujący w tym rabunku uprawnionym, robili miliony, usiłując równocześnie uchodzić za podpory bogactwa krajowego, które skrzętnie groma-

dzili w swych kasach ogniotrwałych. Żywą, pouczającą ilustracją tych stosunków było ognisko przemysłowe w kraju — przesławna, niemiecko-żydowska Łódź, w której olbrzymie fortuny kulturtregerów rosły jak na drożdżach.

Henryk wiedział o tem wszystkim dokładnie, pojechał wszakże na dni kilka do Łodzi, aby na miejscu zbadać stosunki; listy rekomendacyjne ułatwiły mu wstęp do fabryk; główne z nich zwiedził szczegółowo i przekonał się dowodnie, jak dalece sposób produkcji pozostawia wiele do życzenia, w porównaniu z fabrykami w Belgii, Francji, Niemczech, nie mówiąc już o przemyśle angielskim, stojącym dotąd na wysokości niedoścignionej. Przyczyną zaś tego był głównie ukochany system taniości w produkcji; maszyny były stare, dawnych wzorów, za granicą wycofane już zupełnie, tu zaś debiutujące dopiero i torujące drogę dla krajowego przemysłu.

Słowem, ze zwiedzenia fabryk łódzkich Henryk wywiózł wrażenie jak najgorsze. To głośnie ognisko fabryczne wydało mu się bandą maruderów, w ogólnym pochodzie europejskiego przemysłu, zbierającą po drodze wszelkie resztki i odpadki, które pozostały po głównej armii, idącej zwycięzko na przód?...

Nie lepiej się działo i w Warszawie; wprawdzie Niemców tu było mniej, lecz za to objęli ją w posiadanie żydzi; wszystko było w ich rękach: handel, koleje, banki, akcje wszelkich stowarzyszeń kredytowych, prasa wreszcie. Połowa prawie nieruchomości miejskich, zarówno gmachów wspaniałych, jak i brudnych kamienic, należała do żydów; co więcej, nie było prawie ani jednego mieszkańca, poczynając od dumnego, utytułowanego arystokraty, a kończąc na ostatnim wyrobniku, któryby — opłątany pajęczą siecią lichwy — nie siedział potulnie w ich kieszeni...

Gdy Korycki przyjrzał się bliżej i zgłębił te sto-

sunki, zdjął go strach przed tą organizacją silną i groźną, która objęła w posiadanie świat cały, zlały potem, krwią i łzami rdzennych jego synów i jak skorpion wpiła swe ssawki w organizm społeczny, obezwładając go powoli, lecz nie pozbawiając ostatecznie życia, gdyż ono zapewniało jej długą egzystencję pasorzytniczą.

Wobec takiego stanu rzeczy, wszelkie pojedyncze usiłowania wyłamania się z pod tej niewoli, podjęcia walki z uciskiem ekonomicznym i rasowym, wydały się Koryckiemu bohaterstwem niemal. A usiłowania były: najczęściej obijało się o uszy Koryckiego nazwisko hr. N., który, jak powszechnie wiadomo, jeden z pierwszych zerwał z tradycją gnuśności wielkopańskiej i wziął się do czynu: otwierał fabryki, prowadził handel szeroki, opiekował się przemysłem drobnym w swych włościach, słowem, podjął mężnie walkę przeciwko uciskowi żydów. Zwano go szyderczo hrabią-handlarzem, co więcej, miano mu niemal za złe jego rozum praktyczny, oszczędność i pracowitość i szeptano, że w jego żyłach zawierać się musi niemały procent krwi żydowskiej.

Docinki te wszakże dosięgnąć go nie mogły, stał zbyt wysoko ponad tłumem, nazwisko nosił głośne i w kraju szanowane, a fortunę miał ogromną. Tysiące ludzi znajdowało utrzymanie w jego majątnościach, fabrykach i przedsiębiorstwach. Żydzi mieli go w wielkiem poszanowaniu, a przynajmniej manifestowali się z tem głośno.

— To wielki pan, mądra głowa!—mówili, młaskając językiem.

Korycki zapragnął przeto poznać tego magnata, który nie brzydził się łokciem i miarką. W tym celu udał się do Wielhorskiego.

Ten wszakże, na uczynioną wzmiankę o swoim protektorze, odparł z pewnem ociąganiem się:

— Owszem, bardzo chętnie, ale chyba później, przy sposobności, teraz bowiem zawałony jest spr-

wami, zresztą wątpię, aby ci to na co przydać się mogło; wspomniałem ci niedawno, że hrabia pragnie powoli wycofać się z interesów.

— Nie przywiązywałem wówczas zbyt wielkiego znaczenia do tej wiadomości, teraz wszakże przedstawia mi się ona inaczej... jakto? miałaby hrabia porzucić placówkę tak ważną?.. jest przecie wzorowym przykładem dla innych.

Wielhorski uśmiechnął się dyskretnie.

— Hm! zapewne, chociaż prawdę powiedziawszy, przeceniasz rzecz całą.

— Jakto?

— Dla hrabiego jest to sport tak dobry, jak i inny, a nawet lepszy, bo zupełnie świeży.

— Przypuśćmy, że tak, ale sport korzystny.

— I to nie... hrabia rozporządza tak olbrzymią fortuną, że pieniądze same rosą, tem łatwiej, że w wydatkach jest niezwykle oszczędny.

— A wasze przedsiębiorstwa?

— O nich mógłby cię poinformować główny administrator, lub sam hrabia, co do mnie, wiem o nich bardzo mało, zresztą, o ile mi się zdaje, prowadzą się one jedynie w imię teoryi.

— Jakto?

— O zyski w nich nie chodzi; niewielkie kapitały są tam zaangażowane.

— Macie przecie kilka fabryk?

Wielhorski uśmiechnął się.

— Istotnie mamy fabrykę kieszonkowych grzebieni i szczotek do zębów, fabrykę guziczków do rękawiczek i t. p.

— Kpisz chyba?

— Ani mi to przez głowę nie przeszło, mówię prawdę, przekonaj się sam zresztą.

Korycki poruszył się niecierpliwie.

— Ależ twój hrabia prowadzi jeszcze przedsiębiorstwa budowlane na wielką skalę?

Na te słowa lekka chmurka przemknęła po czo-

le Wielhorskiego, mimowoli zwrócił wzrok w inną stronę i odparł wymijająco:

— Hm, zapewne, lecz to jeszcze tak niedawno.

— Cukrownie wreszcie?

— A, to co innego, fabrykacya cukru to już nie teorya, lecz rzecz realna; akcye przenoszą imponującą dywidendę, ale bo też takich plantacyj buraków, jak u hrabiego, niema w całym kraju.

— Prócz tego jednak hr. N. powołał do życia parę instytucyj społecznych pierwszorzędno znaczenia?

— W teoryi!...—wtrącił Wielhorski—obrad y są w nich wprowadzicie rozgłośnie i szumne, lecz rezultaty ciche i nikłe...

— Trudno mi w to uwierzyć.

— To też nie wierz, póki się nie przekonasz; pójdz parę razy na jedno z owych głośnych posiedzeń, a doświadczenie swe o naszej gospodarce społecznej wzbogacisz niezmiernie.

Informacje, jakie otrzymał od Wielhorskiego o hr. N., wydały mu się nieco dwuznaczne i tendencyjne, przeglądał z nich widoczny zamiar zniechęcenia go do zabrania znajomości lub szukania poparcia u arystokraty-przemysłowca.

Nie przywiązywał zresztą prawie żadnego znaczenia do znajomości z hr. N., widoków na niego nie miał również żadnych, a jeśli chciał go poznać, to jedynie dla zaspokojenia ciekawości, jak wygląda u nas magnat, który usiłuje robić coś pożytecznego. Samo istnienie bowiem takiej jednostki sprzeciwiało się dotychczasowym jego teoryom, poczerpniętym zarówno z ostatniego okresu historyi kraju, jak i z własnych obserwacyj życiowych.

Sprawy jego tymczasem posunęły się o parę kroków naprzód. Niespodzianie, u jednego z przemysłowców, z którym poznał się jeszcze w Belgii, spotkał swego kolegę gimnazyalnego, dobrego nigdyś

chłopca, który dziś uchodził za najruchliwszego człowieka w Warszawie. Był to Grześ Koperski, „pódwójny” doktor filozofii, posiadał bowiem dyplomy z dwóch uniwersytetów.

Henryk poznał go odrazu: Grześ, „pocziwy Grześ”, jak go nazywano w szkołach, nie zmienił się prawie: twarz jego zachowała wygląd świeży i młodzieńczy, brak jej bowiem było zarostu, a i on sam ze swą ruchliwością żywego srebra, wydawał się młodzieniaszkiem prawie.

Ze spotkania tego ucieszyli się obydwaj. Po wzajemnej wymianie pierwszych wiadomości o sobie, Korycki zawołał:

— I co za idea była studyować filozofię! do czego, u diabła, ona ci przydać się może?!..

Grześ uśmiechnął się.

— Do wszystkiego, mój drogi...

— Co jednak robisz?

— Handluję starzyzną

— Jakto?

— Poprostu sprzedaję stare ubranie i wszelką inną archeologię, mogę być twoim dostawcą.

— Żartujesz chyba!

— Wcale nie, przyjdź do mnie, a przekonasz się.

W parę godzin potem Korycki przekonał się istotnie, gdy go Grześ wprowadził do swego sklepu, mieszczącego się przy jednej z pryncypalnych ulic.

Był to istotnie olbrzymi magazyn z wszelkiego rodzaju starzyzną, począwszy od ubrania, a kończąc na meblach stylowych, wartości archeologicznej.

— Musisz być zapamiętałym antysemitą? — zauważył Henryk, rozglądając się ciekawie wśród starrannie dezynfekowanego towaru.

— Tak mnie nazywają, lecz niesłusznie, nie tyle mi bowiem chodziło o wydarcie żydom jednej gałęzi ich handlu, ile o pokazanie, jak taki handel prowadzić się powinien ze względu na zdrowie publiczne.

— Aha!... Wiesz co, poradziłbym ci powiesić na szyldzie obok starej kamizelki swój dyplom doktora filozofii! — rozśmiał się Henryk.

— Śmieję się, ile chcesz, nie ty pierwszy i nie ostatni! W tem jednak, coś powiedział, jest pewna doza słuszności, filozofia bowiem ze starą kamizelką wybornie dadzą się pogodzić.

— Niewątpliwie, jesteś tego najoczywistszym dowodem — potwierdził Korycki.

— No, a ty co porabiasz?

Henryk zwierzył mu się ze swych zamiarów, opowiedziawszy o dotychczasowych usiłowaniach znalezienia spółników.

— Złą drogę wybrałeś, ja ci to ułatwię, zgoda?

— Mówisz na seryo?

— Najzupełniej! Mnie tu wszyscy znają, a i ja znam wszystkich; mam tu kapitalistów, którzy napraszają się na spółników... starzyzna moja ich nęci, a bardziej jeszcze niezłe zyski, jakie z niej ciągnę; zaproponuję im spółkę z tobą, a jak nie zechcą, ja sam gotów jestem. Trzeba coś robić, torować drogę nnym; mój „europejski“ magazyn puszczyć kantem i zacznę z tobą fabrykować mydło, igły, lub też narzędzia rolnicze, stalowe pióra, czy też wykałaczkę do zębów!...

— Wybornie, mam już zatem spółnika! — rozśmiał się Henryk, nie biorąc na seryo tak szybkiej decyzji kolegi-filozofa.

— Wprawdzie kapitału wielkiego wnieść nie mogę, ale o pieniądze wystaramy się, trzeba tylko będzie pogadać z tym i owym, przygotować teren... Znasz tu kogo?

— Miałem listy polecające...

Tu Henryk wymienił kilka nazwisk dość głośnych w finansowym świecie Warszawy.

— I cóż?

— A no, dotąd prawie nic... czytając owe listy,

rachowali szwy mego surduta i odprawiali mnie z niczem... Krawcy!...

— Czeka, a u Grodzkiego już byłś?

— Cóż to za jeden?

— Człowieku! chcesz robić u nas interesa, a nie wiesz dotąd, kim jest Grodzki, toż to pierwsza potęga finansowa...

— Bankier?...

— Tak.

— Aa!... przypominam sobie, pokazywano mi go w alejach, dokąd jeździ na spacer, zawsze sam jeden... to już starzec!...

— Tak, ale tęga głowa.

— Mam nawet do niego list polecający.

— I dotąd nie byłś?

— Nie miałem czasu, zresztą w te listy i rekomendacje straciłem wiarę.

— W każdym razie pójdz do niego koniecznie; jeśli nie bezpośrednio, to ubocznie, może być ci bardzo pomocnym.

— Mogę pójść — zgodził się Henryk.

— Idź jutro; co do mnie, dziś jeszcze pomówię z paru kapitalistami i interes ubiję.

Powiedział to z taką pewnością, że stropił Koryckiego; „Grześ“ nie dał mu ochłonąć ze zdziwienia i wymógł słowo, że nazajutrz Henryk będzie u Grodzkiego.

Do sklepu tymczasem weszło kilka osób, klientów, których Koperski przyjął z uprzedzającą grzecznością kupiecką. Henryk zatrzymał się chwilę jeszcze i naocznie się przekonał o zadziwiających zdolnościach do handlu podwójnego doktora filozofii. Widok ten ubawił go, budząc jednocześnie poważne refleksye.

— W każdym razie niezwykły to facet — zdecydował w myśli i pożegnał Grzesia silnym uściskiem ręki.

Nazajutrz, około południa, Henryk stawił się w domu bankowym bankiera Grodzkiego.

— Pan prezes w tej chwili bardzo zajęty — poinformował go jakiś suchy, jak wiór, człowieczek.

— To nic, zaczekam — odparł Korycki niedbale i usiadł na wyplatanej kanapce, stojącej pod ścianą, z miną człowieka, który czasu ma pełne kie-szenie.

Przybrawszy pozę swobodną i założywszy nogę na nogę, powiódł zamyślonym wzrokiem po wielkiej sali, w której po za balustradą, dzielącą ją wzdłuż na dwie połowy, czerniało kilkanaście głów pochylo-nych nad papierami.

— Wszystko bruneci! — szepnął do siebie z uśmiechem i zaczął przyglądać się gorączkowej pracy ofi-cyalistów banku.

Ruch był tu niezmierny: przed kratkami tłoczyło się mnóstwo osób z pieniędzmi lub wartościowymi papierami w ręku, dla kupna lub sprzedaży. Kasye-ry rzucali niedbale paczki banknotów, wydając krót-kie dyspozycje, wypłacając szybko setki tysięcy ru-bli, obliczając z zadziwiającą szybkością wartość ku-ponów, uderzając w marmurowy blat stołu sztukami złota...

Całe fortuny przechodziły tu z rąk do rąk, przy-jmowane i odrzucane obojętnie, niby paczki bezwar-tościowej bibuły. Pozornie mogło się zdawać, że w tem zamieszaniu, w tym tłoku przy okienku ka-syera, każdy może podejść i wziąć bezkarnie worek złota lub paczkę akcji. Tyle kręciło się tu osób, tylu o podejrzanym wielce wyglądzie interesantów, że o omyłkę nie było trudno: bystre wszakże oko kasyerów, wypłacających imponujące sumy, czuwało nad akuratnością wypłat; zdawało się, że spojrzenie tych panów sięgało do głębi duszy i poznałoby odra-zu zuchwałego oszusta, który ośmieliłby się wyciągnąć rękę po cudzą własność.

Koryckiemu, patrzącemu na ten gorączkowy ta-

niec pieniędzy, wydało się, że widzi przed sobą nie paczki banknotów i akcyj nie worki złota, lecz miliony ludzi, oblaných krwawym potem, pracujących ciężko, przymierających z głodu, ginących w kopalniach i zaprzędanych w niewolę doczesną tego wszechpotężnego bożka, któremu na imię „Rubel“.

Refleksye te przerwane zostały przez owego suchego człowieka, który, zbliżywszy się do Henryka na palcach, zapytał nader cicho, z miną wielce tajemniczą:

— Przepraszam pana... jak godność? jak mam zameldować?

— Oto mój bilet — odparł Korycki, i wyjąwszy z bocznej kieszeni kartę wizytową, podał ją z gięstem, podobnym do tego, z jakim podaje się zwykle lokajom napiwek.

Giest ten zaimponował widocznie, gdyż suchy człowieczek podaną sobie kartę przyjął z pełnym szacunku ukłonem i na palcach odszedł w stronę wysokich drzwi rzeźbionych w końcu sali, przy których zatrzymał się chwilę, zdając się nadśluchiwać, poczem po krótkim wahaniu nacisnął klamkę i zniknął za drzwiami.

Dopiero teraz spostrzegł się Korycki, że zamiast polecającego listu, który wziął z sobą, wręczył swój bilet wizytowy.

Nie było już jednak czasu do naprawienia omyłki, to też machnął ręką, mówiąc do siebie:

— Wszystko jedno, przecież i tak przyjąć powinien.

Niebawem ukazał się znów w sali ów suchy człowieczek i podszedłszy do Henryka, powiedział głosem przyciszonym, z wyrazem usłużności na twarzy:

— Pan prezes prosi.

Na te słowa Henryk powstał i wyprostowawszy swą szczupłą postać, postąpił ku drzwiom rzeźbionym.

Gabinet, w którym się znalazł, był obszernym salonem, prawie pustym, znajdowało się w nim bowiem parę zaledwie krzesel i foteli, oraz stół wielki, pokryty sukniem zielonem, stojący po środku.

Przy tym stole siedział starzec, z głową dużą, pokrytą włosami bujnemi, lecz śnieżnej już białości.

Wyglądał on raczej na biblijnego patriarchę, niż na bankiera.

Przymrużywszy zlekka oczy, zmierzył przelotnem spojrzeniem Koryckiego i powitał go pełnem powagi schyleniem głowy, a zlekka unosząc się w fotelu, powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję, lecz nogi me już słabe — dodał z uśmiechem i uprzejmym gestem ręki zaprosił do zajęcia miejsca.

-- To raczej ja proszę o wybaczenie, że pozwalając sobie zabierać panu czas w interesie, który prawdopodobnie nie wiele go może obchodzić — odparł Korycki i z całą swobodą, rubaszną nieco, zajął wskazane miejsce.

Bankier uśmiechnął się pobłażliwie, mówiąc:

-- Nic nie szkodzi... i my, bankierzy, nie zawsze zbieramy plusy, mamy jednak na to specjalną rubrykę kasową...

— Ach, jeśli tak, pośpieszę ją wypełnić: zaczynam od legitymacyj, jestem Henryk Korycki.

Bankier schylił głowę, rzucając przelotnie wejrzenie na bilet wizytowy, jakby sprawdzając tożsamość nazwiska.

Korycki tymczasem mówił dalej:

— Przyjechałem do kraju przed kilku tygodniami i postanowiłem tu pozostać...

— Myśl chwalebna — wtrącił Grodzki.

— Aby zrobić majątek — dokończył Korycki takim tonem, jakby szło o podniesienie sum deponowanych w banku.

Na te słowa bankier podniósł głowę i uważnie spojrział na mówiącego; w jego oczach, zamglonych

starością i przysłonionych przez ociężałe już powieki, przemknął niby błysk zaciekawienia, nie przemówił wszakże ani słowa i słuchał. Korycki zaś ciągnął dalej:

— Sprzykrzyła mi się już włóczęga za granicą i tułaczka wśród obcych; zresztą droga do majątku tam dłuższa i mniej pewna, tu zaś pewność niezaprzeczona, a i sukces prędszy.

— Na czym pan tę pewność opierasz?

— Na ospałych stosunkach, jakie tu panują, a i ludzie tu senni, kapitały leżą beczynnie i pleśnieją, tymczasem w przemyśle zastój i tandeta; przypuszczam zatem, że dla ludzi przedsiębiorczych i pragnących pracować, rola tu jest wdzięczną... zresztą o tem wie pan sam chyba najlepiej.

— Jakież są pańskie projekty i jakimi zasobami pan rozporządzasz?

— Myślę założyć fabrykę narzędzi rolniczych, albo też składowych części do zegarków, piór stalowych wreszcie... wytwórczość bez konkurencji w kraju, a dla zbytu otwarta wschodnia część Europy i poł Azyi.

— Hm, hm!... To bardzo wiele!... A pańskie zasoby?

— Mam dwa tysiące franków...

— To znów bardzo mało...

Henryk rozśmiał się głośno i odparł:

— Dodać należy jeszcze silną wolę i doświadczenie, a nierówności się wygładzą.

— Jesteś pan specjalistą w tym kierunku?

— Jestem inżynierem-mechanikiem; w ciągu lat kilku praktykowałem w pierwszorzędnym fabrykach angielskich, a od lat czterech zajmuję stanowisko dyrektora wyższej szkoły technicznej...

— Zamierzasz pan stanowisko to opuścić?

— Oczywiście, pragnę pozostać w kraju i zrobić coś dla swoich, no i dla siebie... Chcę wznieść tu jakiś ruch i ożywienie, a nadto dogodzić jeszcze

pewnej swej namiętnostce... Snują mi się zawsze jakieś pomysły wynalazcze, mniej lub więcej szczęśliwe, nie zawsze je wszakże mogę wykonywać dla braku odpowiedniej pracowni fabrycznej.

W tej chwili bankier rzucił raz jeszcze spojrzenie na leżącą przed nim kartę wizytową i nagle, jakby sobie coś przypominając, zapytał:

— Wszak to pańskiego pomysłu jest przyrząd mechaniczny do wykonywania czterech działań arytmetycznych?

Korycki rozśmiał się.

— Jakto?... znaną jest panu ta próba dyletanka? — zawołał.

— Bardzo dobrze; kupiłem ją, jak tylko się pokazała w handlu, mam bowiem zwyczaj popierać w ten sposób wszelkie wynalazki, mniej lub więcej pożyteczne.

— W takim razie nie powinien pan być kupować mojej maszyny, do żadnej bowiem z wyżej wymienionych kategorii zaliczoną ona być nie może.

Bankier zaprotestował.

— Mylisz się pan; jakkolwiek praktycznego zastosowania w ścisłym znaczeniu tego słowa istotnie ona nie ma, to wszakże jest nader pouczającym przykładem polskiej zaiste genialności pomysłów dla celu blahego i niepraktycznego; sam mi to pan przyznasz — dodał i nacisnął guzik od dzwonnka, stojącego na biurku.

Niebawem drzwi się uchylily i ukazał się w nich woźny.

— Niech mi przyniosą tu maszynę do liczenia.

— Nie widziałem jej już dawno — zauważył Korycki z uśmiechem.

— Nic dziwnego; dość wczesnie bowiem przeszła ona do historii wynalazków; lecz otóż ją i mamy — dodał i kazał woźnemu, który wszedł w tej chwili, uginając się pod ciężarem maszyny, aby ją postawił na biurku.

Był to istny potwór mechaniczny, opatrzony w cztery kondygnacye klawiszy, połyskujących niby groźne szczęki jakiegoś drapieżnego zwierzęcia, w mnóstwo haczyków, kólek, sztyftów, dzwonek i t. p. szczegółów mechanicznych, a wszystko to razem tworzyło całość tak skomplikowaną, że sam widok przyrządu odbierał ochotę do czynienia z nim prób jakichkolwiek.

Korycki rozśmiał się.

— Istotnie, ma pan zupełną słuszność—powiedział z pewnem zażenowaniem wobec chybionego dzieła.

— Rzecz dziwna!... — powiedział Grodzki jakby sam do siebie, rozpatrując się w szczegółach przyrządu — tyle polotu fantazyi wynalazczej, tyle znajomości mechaniki, z tak małym rezultatem praktycznym... istna poezya! Odbiegłem wszakże od przedmiotu, wspomniałeś pan o swoich zamiarach założenia fabryki; czy poczyniłeś w tym celu jakie kroki?

— I tak, i nie; byłem już na dobrej drodze, lecz wszystko rozbiło się o trwożliwość kapitalistów, którzy pragnęliby wprowadzić wielkie zyski, lecz jednocześnie boją się zaangażować swoje kapitały.

— Cóż więc pan dalej czynić zamierzasz?

Korycki nie zaraz odpowiedział, zdawał się chwilę namyślać, poczem odrzekł w tonie półzartobliwym:

— Przyznać muszę, że odpowiedzi na powyższe pytanie przyszedłem szukać u pana...

— U mnie?

— Tak.

— W czymże mogę być panu przydatnym?

— Takie pytanie w ustach pierwszego finansisty w kraju mogłoby obudzić niezdrowy apetyt, śpieszą jednak zapewnić, że do pańskiej kasy dobijać się nie mam zamiaru.

— A więc? — zapytał bankier, bacznie wpatrując się w swego gościa.

— Pragnę tylko pańskiej rady i moralnego poparcia, sądzę bowiem, że nie wątpi pan w użyteczność moich usiłowań...

— Jak wielkiej sumy potrzebujesz pan na uskutecznienie swoich projektów?

— 100,000 rubli; że jednak place pod budowę fabryki mam już zapewnione, potrzeba mi tylko 60,000.

— Mówiłeś pan, że masz już wspólników?

— Miałem ich, w ostatniej wszakże chwili cofnęli się; jeśli się wszakże dowiedzą, że pan interesuje się nowem przedsiębiorstwem, nawrócą się niewątpliwie.

— Jesteś pan tego pewnym?

— Jak najpewniejszym.

— Na czem pan opierasz to przeświadczenie?

— Na drobnej obserwacji: widziałem pana kilkakrotnie w alejach Ujazdowskich jadącego powozem...

— Tak, niestety!... spacer nuszę odbywać w powozie, gdyż nogi odmówiły mi już służby— odparł, westchnąwszy zlekka.

— Zauważyłem nadto, że zwykle jeździ pan sam jeden i że w pogoni za panem mknie tysiące spojrzeń, mieniących się najróżnorodniejszymi pragnieniami, a tyleż może westchnień wplata się w tryby kół pańskiego powozu, łącząc się z kurzem ulicy...

Starzec uśmiechnął się.

— Jesteś pan poetą, łaskawy panie, a to ujemną jest rekomendacją dla pańskiej specjalności...

Korycki, jakby nie słysząc tej uwagi, mówił dalej:

— Śmiałem się wówczas w duchu na myśl, że najpiękniejsza z pięknych nie zdoła wzniecić w sercach ludzkich tylu niepokojów i pragnień, ile się ich budzi na widok skromnego powozu i siwej głowy jego właściciela. Była to dla mnie nader żywa ilu-

stracya potęgi tego kultu złota, tem żywsza, że...—
jestem, jak pan widzi, szczerym—odczułem wrażenie
jej i na sobie, gdyż w jednej z takich chwil zapra-
gnałem zostać bogatym...

— Droga to ciernista—zauważył Grodzki z we-
stchnieniem.

— Tem lepicj... tryumf bez walki nie jest try-
umfem!...

— A jeśli pańskie obliczenia zawiodą?...

— Będzie to dowodem, żem obrał złą drogę
i poszukam lepszej.

— Wrócisz pan zapewne do Belgii?

— O nie, pozostanę w kraju, mam zresztą pe-
wne stosunki w sferach kolejowych...

— Kolejowych?... Pozwól pan, wszakże to pań-
skiego pomysłu są hamulce, które nabył na wła-
sność zarząd kolei żelaznej N. N.?

— Tak.

— Ile panu zapłacono?

— Dwa tysiące rubli!... Zapłacili mi hojnie,
gdź pracowałem nad tem trzy dni za ledwie..

Grodzki uśmiechnął się.

— Jeszcze jeden dowód naszej niepraktyczno-
ści: ten wynalazek jest doniosłego znaczenia, powi-
nien pan był wziąć co najmniej dziesięć razy tyle;
jedna tylko nasza kolej na zastosowaniu pańskich
hamulców zyskała oszczędności na opale około
45,000 rubli w ciągu lat sześciu za ledwie.

— Czy to być może?—zawołał Korycki z nie-
dowierzaniem.

— Tak jest niezawodnie.

— Do licha!... a ja myślałem, że i tak hojnie
mnie wynagrodzono, zresztą potrzebowałem wów-
czas gwałtownie pieniędzy, zrujnowawszy się do-
szcześnie na moich balonach podwodnych do wydo-
bywania ciężarów zatopionych, utopiłem wówczas
w Hawrze 8,000 fr. bezpowrotnie.

— Ach, więc i to był pański pomysł?

— Niestety! zbyt kosztowny.

— A jednak wyznam panu, że prostota tego pomysłu zadziwiła mnie, jakkolwiek wtedy już wy dało mi się, że pańskie balony mogą być pożyteczne tylko na małej głębokości przy nieznacznem ciśnieniu wody na powierzchnię balonu.

— Czy pan jest technikiem?—zapytał żywo Korycki.

— Nie, sprawy te wszakże interesują mnie, jak każdego zresztą człowieka, śledzącego uważniej za postępem wiedzy ludzkiej. Co zaś do pańskich wynalazków, to bez względu na niewielką ich praktyczność w zastosowaniu (z wyjątkiem jednak hamulców), dają one chlubne świadectwo ruchliwości pańskiego umysłu i energii, to też cieszę się ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, który mi dał sposobność do miłej z nim pogawędki i rad będę, jeśli taka sposobność wydarzy się częściej... a nawet, przyszła mi w tej chwili myśl utrwalenia naszej znajomości, co już od pana zależeć będzie... Czybyś pan nie zechciał zostać moim współpracownikiem w sprawach kolejowych?

— W jaki sposób?

— Mógłbym panu zaproponować posadę naczelnika ruchu na kolei N. N.

Korycki, usłyszawszy tę propozycję, zerwał się z miejsca i zapytał:

— Mówi pan to seryo?

— W interesach mówię zawsze seryo, szanowny panie.

— Ależ pan mnie nie zna wcale?

Grodzki uśmiechnął się i odparł:

— Dzisiejsza znajomość wystarcza mi tym razem, aby ocenić, czy na stanowisku, które panu proponuję, będzie pan dla nas pożytecznym.

— Jest to wielce dla mnie zaszczytne, lecz nie wiem doprawdy, co mam odpowiedzieć—odparł Korycki z pewnem zakłopotaniem,

— Jakie pan miał uposażenie za granicą?—pytał tymczasem bankier.

— Osiem tysięcy pięćset franków.

— Ja zaś ofiaruję panu 5,000 rubli, czyli prawie dwa razy tyle.

Usłyszawszy tę cyfrę, Korycki czas jakiś milczał, jakby ważąc znaczenie odpowiedzi, nareszcie odparł:

— Propozycja zaszczytna i pojętna, i gorąco za nią panu dziękuję, lecz przyjąć nie mogę.

— Dlaczego?—zapytał Grodzki, zdziwiony niezmiernie.

— Pragnę pracować samodzielnie i to nietylko dla siebie, lecz nieco i dla ogółu, zakres zaś działalności na proponowanym stanowisku jest zbyt ciasny.

— Pojmuję, chcesz pan wypłynąć na szersze wody... w takim razie pozostaje mi tylko życzyć powodzenia; być może, że będę mógł panu być pożytecznym, pomówimy jeszcze o tem... chociażby jutro: o godzinie 6-ej wyjeżdżam zwykle na spacer, jeśli przeto zechcesz mnie pan zaszczyścić swem towarzystwem, będę rad go widział — dodał Grodzki z życzliwym uśmiechem.

Korycki powstał, mówiąc:

— Nie omieszkać skorzystać z uprzejmości pańskiej, a jednocześnie z góry przepraszam, jeśli jej nadużyję mimowoli...

Po wyjściu Koryckiego bankier odchylił się na poręcz fotelu i zamyślił się; myśli wszakże starca musiały być pogodne, gdyż na ustach jego kiedyniekiedy pojawiał się lekki uśmieszek...

Z uśmiechem tym otworzył skrytą szufladkę w biurku, wyjął z niej jakiś notatnik, przerzucił sporo kartek i na jednej z ostatnich nakreślił kilka cyfr, poczem notatnik schował do szufladki, którą zamknawszy starannie, powiedział:

— Mogę przecież chociaż raz w życiu pozwolić sobie na kosztowniejszą fantazyę.

X.

Parogodzinna przejażdżka w powozie bankiera Grodzkiego przyniosła Koryckiemu sporo niespodzianek: przede wszystkim dowiedział się, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że ma bardzo wielu znajomych w mieście, w którym dotąd czuł się prawie obcym. Świadczyły o tem dowodnie nader liczne i uprzedzająco grzeczne ukłony, jakimi witali go ludzie, z którymi przelotną tylko zabrał znajomość i to w warunkach, nieobiecujących takiej uprzejmości..

Kłaniali mu się wszyscy owi bogaci przemysłowcy, fabrykanci, kupcy i kapitaliści, którzy niedawno, ledwie że mówić z nim chcieli, a przy spotkaniu na ulicy nie poznawali go wcale. Zrazu przypuszczał, że te ukłony przeznaczone są dla właściciela ekwipażu, Grodzki wszakże wyprowadził go z błędu, mówiąc:

— Jak widzę, znasz pan cały prawie nasz światek przemysłowy!... a skarżyłeś się, że jesteś tu prawie obcym.

— Ależ to się kłaniają panu, nie mnie — zaprotestował Henryk — wyręczam go jedynie w wynianie tej kapeluszowej grzeczności.

— Mylisz się pan, tak rozległych stosunków ja nie posiadam—odparł bankier z uśmiechem—mam wprawdzie interesa pieniężne z tymi panami, lecz załatwia je mój bank jedynie. Zresztą wiedzą wszyscy, że mam wzrok krótki.

— Do wymiany ukłonów?

— Chociażby i tak, oszczędzam tym sposobem fatygi innym, a sobie dystrykcyi w pracy.

— Jakto?—zagadał Henryk 'zdziwiony—pracuje pan na spacerze?..

— Tak, tu mi nikt nie przeszkadza, jest to czas, w którym kontroluję czynności dnia, a niekiedy i całego życia — to zwykły mój rachunek sumienia.

Zapanowała chwila milczenia, przerwał ją wszakże bankier, mówiąc:

— Dajmy jednak na dziś pokój tym niewesołym refleksyom; powiedz mi pan, dlaczego nie skorzystałeś z listu polecającego, w jaki pana do mnie zaopatrzone?

Korycki otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

— Z listu? z kądże pan wie, że go posiadam?

Grodzki uśmiechnął się znacząco i odparł:

— To należy do tajemnic bankierskich.

— Ach, w takim razie nie myślę wciskać się po za ich zasłonę...

— Nie odpowiedziałeś pan jednak na pytanie: dlaczego nie skorzystałeś z owego listu?

— Poprostu zapomniałem, zresztą przekonałem się, że owe listy, których miałem sporo, są tylko grzeczną formą towarzyską, po za którą daremnieby było szukać treści.

W tej chwili powóz zwolnił biegu i zatrzymał się przed bramą.

— Jako? już jesteśmy w domu? — zawołał Grodzki z szczerem zdziwieniem — miałem chwilę prawdziwego wypoczynku, według pańskiej recepty — dodał z uśmiechem — chwilę tę chciałbym przedłużyć, lecz, niestety, czekają mnie obowiązki — dodał z lekkim westchnieniem — mam nadzieję wszakże, że zwiększymy dawkę lekarstwa; oddaję się panu w kurację, a zarazem proszę, nie każ pan na nią długo czekać, o ile, naturalnie, czas mu pozwoli.

To rzekłszy, wyciągnął rękę do Koryckiego, którą ten uściśnął w milczeniu, poczem rozstali się: bankier zniknął za drzwiami swego kantoru, Henryk zaś powrócił na ulicę.

W pierwszej chwili zostawał pod wrażeniem

przyjaznych słów Grodzkiego i niezwyklej jego uprzejmości, prędko jednak ochłonął i rozśmiał się prawie głośno:

— Jakiż ze mnie dudek! Jeśli to nie jest jedna z owych pustych form zdawkowych, to niech mnie dyabli wezmą! Gorzej nawet, ten stary aparat do wyrabiania milionów, pozujący na dobroduszość, postąpił ze mną wprost niegrzecznie, odprowadziwszy prawie od drzwi mieszkania; to jeszcze dobrze, że nie kazał mi wysiąść w drodze na środku ulicy. Doprawdy, że jeszcze żak ze mnie i najzwyczajniejszy filister, który zapomina języka w gębie wobec bryły złota... Nie dał mi przyjść do słowa, a jam rozwiesił uszy i z namaszczeniem słuchałem oklepanych frazesów, ugarniowanych westchnieniami obywatelskiemi!

Tak rozmyślał Korycki i niezadowolony sam z siebie szedł coraz prędzej, nie zważając na przechodniów, których potraçał co chwila. Nagle uczuł, że ktoś dość silnie uderzył go po ramieniu. Odwrócił się z błyskiem gniewu w oczach i bezwiednie ścisnął mocno swą laskę. Przed nim stał Grześ Koperski, zdyszany, nie mogący tchu złapać.

— Człowieku, dokąd lecisz jak postrzelony, ledwie cię zdołał dopędzić! Powinszować, powinszować!—dodał z rozjaśnionem nagle obliczem.

— Czego znów?

— Jeszcze się pytasz? Sukces! Widziałem, widziałem cię z Grodzkim... w powozie... A nie dobrzem ci radził? Teraz cała Warszawa do ciebie należy!

Korycki zatrzymał się na chodniku i ujawszy Koperskiego za klapę od surduta popatrzył mu w oczy uważnie.

— Dlaczego się tak wpatrujesz we mnie? — zapytał Grześ, zaniepokojony cokolwiek.

— Patrzę, czy szanowny doktor filozofii jest przy zdrowych zmysłach...

Koperski obraził się.

— Za pozwoleniem, zechciej się wytłómaczyć ze swego szczególnego żartu! — powiedział uroczyście.

Tym razem na widok skonfundowanej miny Grzesia Korycki rozśmiał się i odparł:

— Jeszczeby tego brakowało, żebyśmy się pogniwiali z sobą. Jeśli jednak kto się ma wytłómaczyć, to ty—powitanie bowiem twoje, pełne entuzjazzmu i powinszowań, potrzebuje wyjaśnień...

— A więc o to chodzi?—zawołał Grześ z miną dobroduszną — prawda, że ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, co to jest Grodzki. W krótkich słowach to ci objaśnię: ten staruszek, to taki pan, bliższe stosunki z którym równoznaczne są z otwartym kredytem w banku, pojmujesz?

— Wybornie, a na dowód, że tak jest, poproszę cię o podniesienie na mój rachunek pół miliona rubli, czek wydam dziś, a jutro poproszę do mnie z pieniędzmi; sądzę, że nie odmówisz mi tej drobnej przysługi?

— Z tobą nie można mówić poważnie—obraził się znów doktor filozofii.

— Ależ bo i ty jesteś zabawny, mój drogi, mówisz o bliższych stosunkach z Grodzkim, tymczasem żadna dotąd zażyłość mnie z nim nie łączy.

— Żartujesz! Czy wiesz, że za jedną taką przejażdżkę po mieście z Grodzkim i w jego powozie niejednen ze zbankrutowanych paniczów z najwyższej arystokracji dałby bardzo wiele?

Korycki pokiwał głową z niedowierzaniem i politowaniem zarazem, mówiąc:

— Szczególne u was tu stosunki!

— E, nie tak znów szczególne, gdzieindziej dzieje się to samo, tylko, że nie wszędzie spotyka się takich Grodzkich; to człowiek, bądź co bądź, niezwykły, głowa tęga, a przytem dobry obywatel kraju; prawda, że w czułości i głośne sentymenta

obywatelskie nie bawi się, lecz w cichości czyni wiele dobrego, nie szukając w tem popularności lub uznania. Nazywają go tu wprawdzie „starą ostrygą“, lecz tylko chyba dlatego, że dostęp do niego jest trudny i żyje sam z sobą, nie dopuszczając nikogo do poufności. Oto masz krótką, lecz prawdziwą charakterystykę tego starca. A teraz zrozumiesz chyba, jaką sprawi w mieście sensacyę twoja dzisiejsza przejażdżka z pierwszym potentatem finansowym w kraju—zakończył Grześ tryumfująco i, ująwszy Henryka pod rękę, pociągnął go za sobą.

— Musimy oblać tę sprawę, nie zawadzi wypić kieliszek wina za powodzenie twych zamiarów!

— Zawczasie, zawczasie jeszcze—odparł Henryk zbity nieco z tropu entuzjazmem Grzesia.

— Nie zawczasie!—zaprzeczył ten z mocnem przekonaniem — jesteś na dobrej drodze i sam będziesz winien, jeśli nie potrafisz wyzyskać sytuacji...

Upłynęło dni kilka, w ciągu których Korycki przekonał się dowodnie, że znaczenie jego wzrosło niezmiernie, a zarazem, że stał się w Warszawie osobą znaną i popularną... Przedewszystkiem szwajcar hotelu, traktujący go dotąd z nieukrywanem lekceważeniem, zaczął ni ztąd ni zowąd, tytułować go „wielmożnym“, a wreszcie i „jasnym“, a jednocześnie coraz szerzej otwierał przed nim drzwi wchodowe.

Zaczęli się również zjawiać rozliczni interesanci i to w takiej ilości, że drzwi numeru hotelowego, w którym mieszkał Korycki, nie zamykały się prawie, dzięki czemu Henryk pierwszego dnia nie jadł śniadania, na drugi—zabrakło mu czasu na obiad, na trzeci—poszedł spać bez kolacyi.

— Jeśli tak dalej pójdzie, mogę umrzeć z wycieńczenia, zanim ubiję jakikolwiek interes! — powiedział do siebie, rozstając się późnym już wieczorem z jakimś wielce natarczywym jegomościem.

Najwięcej jednak dziwiła Henryka ta okoliczność,

że w mieście zaczęły szeroko krążyć pogłoski o wielkich przedsiębiorstwach, jakie zamierza powołać do życia. Bezpośrednio skutkiem tych wieści była procesya całej rzeszy nieszczęśliwych, szukających posad.

Daremnie Korycki zaprzeczał, tłómacząc, że wieści te nie mają żadnej podstawy, że sam jeszcze nie wie, co uczynić zamierza; nie wierzono mu i błagalnie a natarczywie ofiarowywano mu nie tylko swoje usługi, ale i kaucye. Gdyby chciał, mógłby z samych kaucyi zgromadzić dość znaczny kapitał...

Zgłaszali się wreszcie i kapitaliści, pragnący przystąpić do spółki, lub ulokować swoje kapitały na skromny procent—20 do 30 od sta.

— Ależ panowie!... żadne przedsiębiorstwo, żadna fabryka nie daje takich lichwiarskich procentów! — tłómaczył Korycki z nieskrywanem oburzeniem.

— Pan dobrodziej żartuje, mówiono nam, że przedsiębiorstwo pańskie przynosić będzie 50^o%, a nawet i więcej!...

— Kto panom mówił?

— Wszyscy!... Całe miasto mówi, piszą nawet w kuryerach.

Korycki gniewał się i śmiał się zarazem z tej łatwowierności ludzi, chciwych zysku a głupich, którzy pogłoski spadłe z wiatru biorą na seryo. Wśród tej wędrowni naiwnych zjawilo się także dwóch jegomościów, którzy zawartą uprzednio z Koryckim umowę zerwali; byli to Gorlicki i Herman, protegowani Łopacińskiego. Przyszli oni potulni, ulegli i ofiarowali się tym razem zawrzeć bezzwłocznie rejentálną umowę.

Korycki szorstko odmówił.

Odmowa ta zwiększyła tylko znaczenie i popularność Koryckiego. Wkrótce potem zgłosiło się kil-

ku poważnych kapitalistów, którzy pragnęli czegoś bliższego dowiedzieć się o zamierzonych przedsiębiorstwach. Przed nimi dopiero Korycki rozwinął swe plany, wykazując cyfrowo widoki ich powodzenia. Była mowa o wielkiej fabryce maszyn i narzędzi rolniczych, sprowadzanych dotąd wyłącznie z zagranicy.

— A dużo ma pan jeszcze udziałów do ustąpienia?—zapytał jeden z nich.

— To zależy, na jaką skalę otworzymy fabrykę.

— Koncesya już wyrobiona?

— Dotąd nie, lecz z tem kłopotu nie będzie: poparcie w ministeryum i szybkie załatwienie sprawy mam zapewnione!

— A w jakim stosunku przyjmuje udział bankier Grodzki? — zapytał ów kapitalista jakby od niechcienia.

— Bankier Grodzki? — zdziwił się Henryk—nic o tem nie wiem.

Odpowiedź tę przyjęto z uśmiechem niedowierzania.

— Pojmuję, pojmuję!... pan Grodzki nie życzy sobie ujawnienia swego udziału.

— Ależ zapewniam panów...

— O, proszę bardzo, to zbyteczne, gotowiliśmy wierzyć na słowo, należy zresztą być dyskretnym—odparł jegomość, uśmiechając się znacząco.

-- Co u diabła! — zawołał Henryk po wyjściu interesanta, który na odchodnym deklarował się przystąpić do spółki z 50,000 rubli, jak tylko koncesya będzie uzyskana — kto rozpusza takie pogłoski po mieście?... Mogą mi one tylko zaszkodzić?... Muszę pójść do Grodzkiego i uprzedzić go o tem.

W tej chwili na progu ukazał się Grześ Koperski, z rozjaśnionem obliczem i przebiegłym uśmiechem na ustach.

— A! jesteś nareszcie, mości filozofie!—zawołał Henryk, ściskając mu rękę.

— No i jakże, nie mówiłem, że będziesz musiał się opędać przed kapitalistami, jeśli zechcesz, możesz mieć pół miliona w rękę!... Spotkałem przed chwilą na korytarzu grubą rybę — ten człowiek siedzi na pieniądzach; na niego możesz liczyć na pewno.

— Wszystko to dobrze, wytłómacz mi jednak, co znaczą te plotki, krążące po mieście?

— O jakie plotki ci chodzi?

— Mówią o jakichś olbrzymich przedsiębiorstwach, o tem, że Grodzki jest moim współnikiem i lichy wie jeszcze o czem...

Koperski rozśmiał się głośno.

— Byłżebyś z tego niezadowolony?

— Nawet bardzo!... Grodzki, Bóg wie, co o tem pomyśleć może.

— Nie obawiaj się, to człowiek obyty z takimi rzeczami, nie po raz pierwszy nazwisko jego służy jako „szmermel“ do obudzenia ruchu w naszych ospałych stosunkach.

— Kto jednak puszcza takie szmermele i jaki w tem może mieć interes? — zapytał Henryk głosem podrażnionym.

Koperski rozśmiał się jeszcze głośniejsze.

— I cóż to ciebie może obchodzić?—odparł wymijająco — byle był szmermel, a o resztę mniejsza!...

Korycki wpatrzył się uważniej w śmiejące się, filuterne oczy podwójnego doktora filozofii i nagle uderzywszy się w czoło, zawołał:

— Człowieku, to twoja sprawa!

Koperski milczał.

— Nie zaprzeczasz! więc to prawda?

— Przypuśćmy, że tak...

— I cóż ci u dyabła przyszło do głowy, wystawiać mnie na błazna, gorzej jeszcze — na jakiegoś

rycerza przemysłu? — mówił Korycki, oburzony niezmiernie.

— Ta, ta, ta!.. jeszcze coś nowego pleciesz, mój drogi, sam nie wiesz co! Nikt cię o to nie pośądzi, a tem mniej Grodzki. Powiedziałem już, że w naszych stosunkach to rzecz zwyczajna, a że pożyteczna, przekonałeś się dowodnie; przed kilku dniami nie chciano z tobą gadać prawie, dziś zaś nie możesz się opędzić od interesantów; w ciągu tego czasu nazwisko twoje stało się popularnem w Warszawie, wkrótce pisma zamieszczą zapewne twój życiorys z portretem, jako nowego, pełnego energii pioniera w przemyśle. Żeby jednak powodzenie było zupełne, czy wiesz, co potrzeba zrobić, a przynajmniej, co ja uczyniłbym na twojem miejscu?

— Ciekawym?

— Wyjechałbym cichaczem do Petersburga i powrócił z koncesją w kieszeni.

— Tym razem i ja to miałem na myśli. Nie pojmuję tylko, dlaczego mam wyjeżdżać cichaczem, przecież sekretu z tego robić nie potrzebuję?

— Kto to wie? U nas praktykuje się oddawna zwyczaj wjeżdżania, jak to mówią, „w paradę.” Niech tylko kto zwietrzy gdziekolwiek dobry interes, dusi się z zawiści i gotów szkodzić, ot, tak chociażby dla własnej przyjemności przystawienia stołka. Chorują tu wszyscy na brak inicjatywy, chwytają przeto łąpczywie pomysły cudze, przykładów tego mnóstwo: niech ktoś założy sklepik z zapalkami, a dobrze mu pójdzie, niewątpliwie pojawi się w sąsiedztwie drugi i trzeci po to tylko, ażeby wszystkie w krótkim czasie zbankrutowały. Dzieje się tak w handlu, w przemyśle, w sztuce nawet. Przekonasz się wkrótce sam o tem — zakończył Grześ z mocnem przekonaniem w głosie.

Przepowiednia jego sprawdziła się do pewnego stopnia rychlej, aniżeli mógł przypuszczać. Tego samego dnia, nad wieczorem, do numeru wtoczył się ja-

kiś jegomość okazałych rozmiarów, dostatnio ubrany i zatrzymawszy się w progu, zapytał:

— Czy z panem Henrykiem Koryckim mam przyjemność?...

— Z nim samym.

— Wybornie! Przystąpię przeto odrazu do rzeczy.

— Przepraszam, a ja z kim mam przyjemność?

— To do rzeczy nie należy, chociaż wszystko mi jedno! kryć się nie potrzebuję, wybornie! jestem Adam Łodarski, firma znana od lat 25.

— Czem mogę panu służyć — zapytał Henryk, lekko się skłoniwszy.

— Wszak to pan zamierza otworzyć fabrykę narzędzi rolniczych?

— Ja.

— Wybornie!... Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć, lecz to tylko z głupiego przyzwyczajenia, chociaż optymistą nie byłem i nie jestem.

Henryk uśmiechnął się mimowoli, Łodarski zaś ciągnął dalej:

— Dowiedziawszy się zatem, powiedziałem sobie, wybornie! i przyszedłem zaproponować panu, abys tego zaniechał.

— Czego, mianowicie, łaskawy panie?

— Otwierania fabryki, zaprzepaściłbyś pan kapitał i nic więcej.

— Wybacz pan, czemu mam zawdzięczać taką życzliwość ze strony pańskiej?—zapytał Henryk, przyglądając się z ciekawością swemu oryginalnemu gościowi.

— Aha, wybornie! Chce pan, żebym się wytłómaczył, w takim razie wybornie! Usiądę—powiedział i całym ciężarem ciała padł na krzesło. — No, a teraz powiem panu, że nie o życzliwość tu chodzi, w dzisiejszych bowiem czasach, mój łaskawco, to *rara avis!* Ja, mój panie, mam swój własny interes na

względnie, widzi pan, że wata gęby nie zatykam, jestem szczerzy i otwarty, widzi pan!...

— Słyszę.

— Hm! wybornie! Panu wiadomo zapewne, że mam już od lat wielu główny na cały kraj skład maszyn i narzędzi rolniczych i z tego, nie chwaląc się, utrzymuję uczciwie liczną rodzinę i daję chleb moim ludziom.

— Bardzo to pięknie! — zauważył Korycki, bawiąc się jowialnością swego gościa.

— Pięknie, nie pięknie, to wszystko panu jedno, skoro myślisz — wybornie! odebrać mi kawałek chleba.

— Ja? żartuję pan!

— Wcale nie żartuję, jak pan otworzysz fabrykę, poderwiesz mój handel; będziecie sprzedawali taniej...

— Na tem zyskają tylko rolnicy, a jednocześnie wzbogaci się nasz przemysł.

— Ale mnie dyabli wezmą!

— E, tak znów źle nie będzie; sądzę, że klienteli wystarczy nietylko dla pana, ale i dla mnie.

— Wybornie, ja jednak wolę, abyś pan dał pokój, do zgody jam gotów... Jesteś pan zagranicznym inżynierem, to dasz sobie radę, wymyślisz inną fabrykę! Dlaczegoż koniecznie narzędzi rolniczych?

— Daruj pan, lecz z tego tłómaczyć się nie potrzebuje, robię to, co uważam za właściwe i dla siebie korzystne—odciął Henryk.

— Ho, ho, ho!... Wiem ci ja o tem, to też i przyszedłem!... Krótko mówiąc, dam panu 5,000 rubli, wypłacę gotowym groszem, jeśli — wybornie!... dasz mi pan piśmienne zobowiązanie, że w ciągu lat dziesięciu nie otworzysz fabryki ani sam, ani przez osoby podstawione. Zgoda? Wybornie!...

— Ani zgoda, ani wybornie!...

— Ależ człowieku, opamiętaj się, 5,000 rubli za nic!...

— Dziękuję! Ofiaruj je pan komu innemu.

— Dam sześć...

— Widzę, że pański dom komisowy, to złote jabłko!

— Wybornie! 7,000 rubli?

— Daremnie pan licytujesz.

Łodarski powstał i nasrożywszy minę, zawołał:

— Ostatnie słowo, osiem tysięcy rubli. Bierzesz pan?

— Nie biorę! — odparł Henryk, naśladując mimowoli tubalny głos Łodarskiego.

— W takim razie, wie pan, co panu powiem! — zawołał takim tonem, jakby za chwilę miał rzucić gospodarzowi obelgę w oczy.

— Nie wiem, mój panie!

— Wybornie!... To panu powiem: Podobałeś mi się pan!

Korycki skłonił się, ubawiony tem niespodzianem zakończeniem, Łodarski zaś ciągnął dalej:

— Tak, podobałeś mi się, widzę bowiem, że nie jesteś łapczywy na zysk lekki i dlatego gotów jestem iść z panem ręką w rękę... Chcesz mnie pan mieć za współnika, będziemy razem prowadzili fabrykę.

— Mówi to pan na seryo? — zapytał Henryk poważnie.

— Kroćset! wybornie! zawsze mówię na seryo!

— Czy i przed chwilą, gdyś proponował mi pan odstępnę?

Łodarski roześmiał się na całe gardło.

— E, mój panie, głupi znów tak dalece nie jestem, przyszedłem wywachać interes; kręciło się tu już dosyć myśliwych na lekki zarobek, na urwanie grosza, myślałem, że i pan.. wybornie! Wiedziałem, żeś myszkował już od paru tygodni, szukając współni-

ków i pieniędzy; powiedziałem sobie wówczas: albo tak, albo inaczej, zobaczymy! i przyszedłem, chociaż w razie odmowy nie dopuściłbym do założenia fabryki, a w ostatnim razie utworzyłbym ci pod nosem drugą!...

— Doprawdy?

— I prędzej od pana; czy masz już koncesyę?

— Tak, jakbym ją miał!

— Tere, fere! Znać, żeś jeszcze świeży, naszych stosuneków nie znasz, czekałbyś rok i sześć niedziel! A ja koncesyjkę mam już od roku!

— Czy być może?—zdziwił się Henryk, zaskoczony tą wiadomością.

— A widzi pan? Cóż, będzie teraz spółka? Moja firma też coś znaczy, to właściwie ja pana przyjmuję na wspólnika! — roześmiał się oryginał. — Agapit Łodarski i Henryk Korycki! Wybornie! Albo nawet odwrotnie. Korycki i Łodarski, mnie to wszystko jedno. Gadać, jak widzisz, długo nie lubię. Masz moją rękę! — dodał i wyciągnął swą dłoń potężną.

Korycki wahał się chwilę, nie wiedząc jeszcze, czy ma brać na seryo propozycyę oryginała. Łodarski przeto zawołał:

— Namyślasz się? Ta dłoń uczciwa, a słowo moje święte! Nigdy się nie cofam. Wybornie!

Tak wiele było tym razem powagi i szczerości w głosie Łodarskiego, że Henryk dłoń podaną mocno uściskał.

— Więc zgoda?

— Zgoda!

— Wybornie! Jutro zatem przyjdź pan, panie inżynierze, do mego kantoru, a wtedy pomówimy o szczegółach, gadać długo nie lubię!

To rzekłszy, raz jeszcze uściskał dłoń Henryka i wyszedł.

Henryk wsłuchiwał się jakiś czas w odgłos,

dolatujący go z korytarza, ciężkich kroków Łodarskiego, poczem zawołał:

— No, no! wszedłem w okres bajecznych niespodzianek. Oby się to tylko nie skończyło tak głu-
pio, jak się w bajkach zwykle kończy!

XI.

„Jakże mi smutno samej, tęsknota dusi mnie.“

„Nie wytrwam w męce“...

— Znów!... Boże mój, Boże!... niekiedy zdaje mi się, żem zamieniła się w papugę, która nic innego powiedzieć nie umie!—zawołała Eli głosem drżącym od łez i zmiąwszy w rękę pęk kwiatów, świeżo zerwanych, cisnęła je od siebie.

Piers jej falowała szybko, a do oczu cisnęły się uparcie łzy, które ocierała ściśniętą piąstką, wstydzając się sama przed sobą tych oznak żalości nieokreślonej.

— I dlaczego tak jest, dlaczego?—szeptała, błędząc o zmroku, wśród zawilich ścieżek ogródka i deptając klomby i kwietniki, które z taką starannością pielęgnowała od początku wiosny. Takie parokszymy żalości wybuchały codziennie, z coraz większą siłą i dziewczę pochmurniało widocznie.

W jednym z takich krytycznych dni tęsknicy i rozgoryczenia w cichym dworku zjawił się niespodzianie Henryk Korycki.

Była pewną, że jest i pan Andrzej i że za chwilę go zobaczy. Przejęta tą myślą, zapomniała odpowiedzieć na ukłony Koryckiego i pobiegła wzrokiem na drogę, prowadzącą do dworku; Andrzeja nie było...

— A pan Andrzej?

— Tymczasem ja za niego — odparł Henryk — a właściwie od niego — dodał i wszedłszy na ganek, złożył sporą paczkę książek na ławce.

— Boże! może chory? może co złego się stało?—
zawołała z przestachem, wyciągając bezwiednie ręce
do Koryckiego.

Ten uśmiechnął się przyjaźnie i odparł:

— O ile wiem, nie jest ani chory, ani nic złego
mu się nie stało, nie widziałem go wprawdzie od
kilku tygodni, lecz pisał do mnie i w jednym z listów
polecił, żebym się tu stawił i oto jestem w podwój-
nej roli: listonosza i posłańca, mam bowiem i list
i paczkę z książkami.

— Ach przepraszamy bardzo! — odparła zapłó-
niona—jest więc list!... Byłyśmy tak zaniepokojone...
przepraszam, zaraz pobiegnę do ciotuchny — dodała
niespodzianie i zniknęła w głębi mieszkania.

Tu zatrzymała się pomieszana, mówiąc do
siebie:

— Boże, jakąż jestem głupia, nie umiem wcale
mówić z ludźmi! Niedobry, niedobry pan Andrzej,
czemu sam nie przyjechał!

Zaczęła przeglądać książki, otwierając je w kil-
ku miejscach na chybił trafił, przerzucając kartki,
jakby szukając jakiegoś śladu, któryby świadczył, że
były one w rękach Andrzeja; daremnie jednak, książ-
ki pochodziły prosto z księgarni; zauważyła to wre-
szcie i zauważyła z rozczarowaniem w głosie:

— Nerozcięte nawet!...

Skoczyła do mieszkania i przyniósłszy nóż do
rozcinania kartek, zaczęła je przecinać pośpiesznie,
gorączkowo, co chwila potrząsając głową i odrzuca-
jąc w tył sploty włosów, które bezładnie spadały jej
na czoło i przeszkadzały w zajęciu.

Jakie myśli przesuwaly się w tej chwili przez
głowę dziewczęcia, któż odgadnie? Musiały one być
wszakże jakieś dobre i słodkie, gdyż błękity jej oczu
jaśniały pogodą. Tak była pochłoniętą temi myśla-
mi, czy też swem gorączkowym zajęciem, że nie do-
słyszała nawet galopujących koni, które się szybko
zbliżały do dworku.

Dopiero okrzyk trwogi, jaki doleciał jej słuchu, oprzytomnił ją.

Spojrzała na drogę i w tejże prawie chwili z jej piersi wyrwał się okrzyk przerażenia.

Na razie nie mogła sobie zdać sprawy z tego, co się stało; zamigotało jej coś przed oczyma, potem dostrzegła rozhukanego konia, a na nim jakąś damę czarno ubraną, i nagle koń pomknął sam dalej, a dama z stłumionym okrzykiem trwogi zsunęła się na ziemię.

Eli skamieniała ze strachu, nie wiedziała, czy ma biedz na pomoc, czy dać znać ciotuchnie i Koryckiemu i została w miejscu.

Po chwili dostrzegła znów jeźdźca, który w całym pędzie zbliżał się do miejsca wypadku.

— Roztrątuje ją!—przemknęło przez myśli Eli; przerażona więc rzuciła się bezwiednie ku drodze, jakby chcąc zażegnać katastrofę. Jeździec wszakże w jednej chwili osadził konia i zeskoczył na ziemię, a opuściwszy cugle, pośpiesznie, z zaniepokojeniem wielkiem, o ile to można było ocenić z jego gorączkowych ruchów, zbliżył się do leżącej amazonki.

— Na Boga, co za nieszczęśliwy wypadek! Przeleżała się pani mocno? jak można narażać tak życie? to jeszcze szczęście, że na tem się skończyło!.. Drżałem o panią!—zawołał wytworną francuzczyzną.

Amazonka w miejsce odpowiedzi syknęła z bólu, lecz szybko zapanowawszy nad sobą, odparła drwiąco, z szyderym uśmiechem na ustach:

— Znów frazesy!... Zawsze pan do nich wybiera złą porę... jak zawsze!... gdzie mój Roland?—dodała zaniepokojona.

— Mniejsza o konia!—odparł niecierpliwie i nachylił się, chcąc unieść ją z ziemi.

Zaprotestowała gwałtownie, mówiąc:

— Ja sama, sama!... Podaj mi pan tylko rękę, nic mi nie jest.

Omyliła się jednak; upadek był dość ciężki, to też gdy chciała powstać, uczuła szalony ból w nodze.

— Boli okropnie, lecz mogę ruszać... dziękuję panu.

— To tylko silne stłuczenie, zimne kompresy pomogą.

— Trzeba posłać po powóz i po Rolanda...

— Dobrze, dobrze, tymczasem proszę spocząć— dodał i obejrzał się w koło siebie.

Dopiero teraz spostrzegł Eli, która, wystraszona niezmiernie, trzymała za cugle jego konia, usiłując wszakże zachować między nim a sobą odległość jak największą; koń zresztą stał bardzo spokojnie. Pod spojrzeniem obcego mężczyzny dziewczyna oblała się gorącym rumieńcem, zażenowana swą rolą dobrowolnego giermka.

— Wybacz pani i przyjmij podziękowanie gorące!—zawołał, skłaniając nisko głowę.

— Ach, co za romantyczna przygoda!... jakaś boginka złotowłosa! — powiedziała dama półgłosem, i zapomniawszy na chwilę o swym bólu, zaczęła się uważniej przyglądać dziewczęciu.

Tym razem Eli śmiało wytrzymała jej spojrzenie i spokojnie, z godnością osoby dorosłej, powiedziała:

— Może państwo wejść zechcą do ogrodu, jest ławeczka... jeśli potrzebna będzie jaka pomoc...

— Dziękujemy, dziękujemy! — odparł mężczyzna i nagle spojrzawszy w stronę dworka, zawołał:

— Kogo ja widzę? Korycki!... Tak, nie mylę się, Henryk!

— Wielhorski! — odparł Korycki niemniej zdziwiony, ukazując się na ścieżce.

— Jak dobrze się stało... a właściwie bardzo źle się stało; nieszczęśliwy, jak widzisz, wypadek.

Nastąpiły wyjaśnienia i prezentacya. Niefortuną amazoką była pani Izabela Komorska. Wprowadzono ją niebawem do mieszkania, gdzie w pokoju pani Żywińskiej zaopiekowano się gorąco; Jacentowa, Eli, a i sama pani Żywińska pośpieszyły z radami i pomocą. Zimne kompresy przyniosły znaczną ulgę, dzięki czemu po upływie pół godziny „piękna pani,” jak ją nazwała Jacentowa, mogła wyjść na ganek; pani Żywińska, nieruchoma w swym fotelu, z wielką godnością czyniła honory domu wobec wielkoświatowej damy. Słyszała o niej od Andrzeja, a również spotykała często jej nazwisko w Kuryerze przy wzmiankach karnawałowych, wiedziała również, że jest rozwódką, która na drugi dzień po ślubie opuściła męża i powróciła do rodziców; mówiono o tem przed kilku laty bardzo głośno, wystawiając ją jako ofiarę małżeństw, zawieranych z konwenansu. Pani Izabela słynęła z piękności i istotnie piękną była; mówiono również wiele o jej ekscentryczności, o zbytnej swobodzie życiowej, jakiej hołdowała. Tego wszakże stwierdzić pani Żywińska nie mogła: przeciwnie, w całym zachowaniu się pięknej rozwódki było wiele pełnej wdzięku prostoty, którą potrafiła w ciągu jednej zaledwie godziny zjednać sympatyę wszystkich.

Nawet Korycki, który starał się zawsze zachować zupełną obojętność na wdzięki niewieście, widocznie zainteresował się nią bardzo.

Gdy go bowiem zaprezentowano, powitała go jak dobrego znajomego mówiąc:

— O, nie jest mi pan obcy, słyszałam wiele o panu!

— O mnie?—zdziwił się Henryk.

— Tak, o panu.

— Od kogo?

— Od pana Andrzeja... Od pana Rymszy—poprawiła się szybko.

Na te słowa Eli drgnęła, a trwożliwe, pytające jej spojrzenie zawisło na twarzy pani Komorskiej.

Nie uszło to uwagi pięknej pani, gdyż przez jej usta przemknął uśmiezek ledwo dostrzegalny, wpół pobłażliwy a wpół ironiczny; poczem zwracając się do pani Żywińskiej, zapytała:

— Panie nie znają pana Rymszy?

— Jest on naszym przyjacielem—odparła pani Żywińska z prostotą.

Eli za tę odpowiedź podziękowała ciotce spojrzeniem, pełnem wdzięczności.

— Ta dziewczyna kocha się w Andrzeju!—powiedziała do siebie pani Komorska, przychodząc do tego wniosku drogą błyskawicznego skojarzenia spostrzeżeń i intuicyi kobiecej — kryje się tu jakaś idylla!... Pojmuję! — a zwracając się nagle do Koryckiego, zapytała głośno:

— Co się dzieje z panem Rymszą? Tak dawno go już nie widzieliśmy; porzucił Warszawę, porzucił nas, przyjaciół—dodała z westchnieniem—bo i ja liczę się do rzędu jego przyjaciół i gorących wielbieli talentu. Gdzie on bawi obecnie?

— Siedzi na wsi i pracuje na roli — odparł Henryk.

— Słyszałam coś o tem, podobno pracuje w polu jak wieśniak i razem z nimi? Czy to być może?

— Nie myli się pani.

— Jakto? i możecie mu panowie, jego koledzy i przyjaciele, pozwolić tak marnować talent wielki, będący własnością ogółu? Trzeba go ztamtąd wyrwać, niech się obudzi z odrętwienia, domaga się tego społeczeństwo, domagamy się my wreszcie, kobiety, których serca potrafił on podnieść, uszlachetnić, nauczył je czuć, kochać i bić gorąco ku temu, co dla nas winno być droższem nad wszystko! I taki człowiek rwie nagle wszystkie nici, wiążące go ze światem, łamie pióro i zagrzebuje się na wsi, aby

pracować z chłopami... z chłopami!... Fi! to okropne! — zakończyła pani Izabela z przejściem niezmiernem.

Eli słuchała z rozpromienionem obliczem, z oczyma jaśniejącemi szczęściem i radością, lecz po chwili wyraz jej twarzy zmienił się nagle i zamroczył. Wstała bezwiednie i zeszła powoli ze stopni ganku, mówiąc do siebie:

— Taka piękna, taka wielka pani! jakżebym była śmieszna, jak głupia!

Nachyliła się nad klombem, aby ukryć swoje pomieszenie, i zerwała kilka kwiatków, które po chwili znalazły się na ziemi zmięte i sponiewierane. Wielhorski tymczasem przyglądał się Eli ze szczególnem zajęciem; śledził jej ruchy, przebiegał wzrokiem linie jej ramion i szyi, oceniał okiem znawcy wiotką, młodocianą kibić dziewczęcia, oraz obfitość i kolor złotych jej włosów, spadających w dwóch grubych warkoczach.

Dziewczyna była zbyt pochłonięta własnemi myślami, aby mogła zauważyć zainteresowanie, jakie zdołała obudzić. Raz jeden tylko zatrzymała dłużej swój wzrok na wytwornej postaci Wielhorskiego i pomyślała:

— Piękny, jak na ilustracyach do powieści francuskich:

Wkrótce nadszedł „groom,” młody chłopiec stajenny, który pojechał wślad za rozszalałym Rolandem i z tryumfem przyprowadził go przed ganek. Pani Komorska, zobaczywszy swego ulubieńca zdrowym i całym, ucieszyła się bardzo i postanowiła jechać natychmiast.

— Trzeba zaczekać na powóz — powiedział Wielhorski.

— Nie, nie! czuję się zupełnie dobrze, boli mnie tylko trochę noga, ale to nic! pojedę na Rolandzie — odparła tonem, nie znoszącym opozycji.

Daremnie pani Żywińska, a również i Korycki

wystąpili z perswazyą, piękna pani postawiła na swoim i podziękowawszy gorąco za gościnność pani Żywińskiej, powiedziała:

— W nieszczęściu sprzyjało mi szczęście, gdyż pozwoliło zabrać tak miłą znajomość i znaleźć gościnność w domu, w którym mieszkają złotowłose boginki — dodała, darząc Eli, stojącą na uboczu, uśmiechem czarującym. Po chwili była już na koniu i ściągnawszy pewną ręką cugle, w krótkim galopie ruszyła na drogę. Stało się to tak prędko, że Wielhorski ledwie miał czas pożegnać się, aby podążyć za nią.

Jechali czas jakiś w milczeniu: pani Komorska zdawała się być całkowicie zajęta poskramianiem Rolanda, który w swych ruchach okazywał zbyt wiele fantazyi; nie zwracała też na swego towarzysza najmniejszej uwagi. Wielhorski był tem widocznie podrażniony i parę razy usiłował przerwać milczenie, czyniąc uwagi o niesforności wierzchowca. Usiłowanie to wszakże pozostało daremne; nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zirykowało go to niezmiernie, to też niezadowolone swe dał uczuć koniowi, ściągając niepotrzebnie munsztuk i łechcąc go boleśnie ostrogami. Koń zrazu wspiął się gwałtownie, a potem rzucił się naprzód w lansadach, czem podniecił jeszcze bardziej fantazyę Rolanda.

— Proszę, zechciej pan odłożyć popisy na inną porę — odezwała się pani Komorska tonem drwiącym.

— Radziłem zaczekać na powóz—odparł Wielhorski.

— I dlatego chcesz pan, abym się raz jeszcze przekonała, że towarzystwo pana jest dla mnie *niebezpieczne!*—powiedziała, kładąc szczególny nacisk na ostatnim wyrazie i śmiejąc się złośliwie.

Te słowa, a bardziej jeszcze śmiech towarzyski ubodły go bardzo, to też w ciemnych jego oczach przemknął błysk gniewu; szybko się wszakże

opanował i głosem stłumionym, z dźwięczącą w nim nutą wzruszenia, a zarazem i wyrzutu, zapytał:

— Czyżem zasłużył na szyderstwo i drwiny?

Nie odpowiedziała nic na to.

Podjechał przeto jeszcze bliżej i zrównawszy się zupełnie, nachylił się ku niej.

— Proszę, nie zapominaj pan, że nie jesteśmy sami—zauważyła tonem chłodnym.

Obejrzał się z niezadowoleniem na „groom'a,” który istotnie dość blisko podązał za nimi.

— Jedźmy prędzej! — odezwał się tonem prośby.

Spojrzała na niego z wyrazem zdumienia w oczach i spytała:

— Czy chcesz pan, aby mój Roland znów się rozszalał, żebym naprawdę już złamała nogę?

— Ja chcę mówić z panią — odparł znacząco, głosem podrażnionym wielce—pani tymczasem umyślnie unika rozmowy ze mną... Czyż tak się godzi, pani Izo?—dodał tonem błagalnym.

Zmierzyła go spojrzeniem wyniosłym i rozśmiała się.

— Dlaczego? Bo wiem z góry, co mi pan chcesz powiedzieć, lecz wierzaj mi pan, że to nie zajmujące: tyle już razy to samo słyszałam od pana, wypowiedziane w tak pięknych frazesach, z tak subtelną modulacją wzruszeń, z takim urozmaiceniem w intonacji i drzeniach głosu, że przeszłam już cały kurs tej szkoły i mogłabym w niej sama ubiegać się o patent dojrzałości... Dajmy przeto temu pokój; dla pana i dla mnie lepiej będzie, gdy pozostaniemy, jak jesteśmy... Na tamtym brzegu raz już byłam i powtórnie tego „Rubikonu” przechodzić nie myślę.

— Nigdy?!

— Tak się zdaje!... A jeśli, jeśli kiedykolwiek miałyby to nastąpić, to prawdopodobnie nieszczęśli-

wym gondolierem byłby kto inny... Pana na to by łąby za szkoda, jesteś bowiem za... *za piękny*.

Wielhorski zbladł jak płótno; zdawało się, że w jednej chwili wszystka krew uciekła mu z twarzy zmartwiałej, którą ożywiały jedynie ciemne oczy, gniewem płonące. Pohamował się i głosem, w którym dźwięczała lekka ironia, mająca świadczyć, że nie bierze zbyt do serca gorzkich słów towarzyski, powiedział:

— To, co pani wyrzekła, więcej chyba powinno dotknąć panią, niż mnie...

Wypowiedział to spokojnie, z pewną godnością, wskutek czego pocisk, tkwiący w ironicznej aluzji do ich dawnych stosunków, nabral siły tem większej i celu swego osiągnął, zapaliwszy na twarzy pięknej pani ognie purpurowe. Bystrem spojrzeniem zmierzyla Wielhorskiego, nie tyle może dotknięta, ile zdziwiona tą odpowiedzią nie pozbawioną godności.

— „To już nie frazes!“ — przemknęło jej przez myśl i na chwilę pożałowała zbyt surowego tonu, oraz gorzkich słów, jakie się jej wymknęły. Trwało to wszakże krótko, gdyż niebawem ogarnął ją gniew, że Wielhorski chwilowo zyskał nad nią moralną przewagę w utarczce na dotkliwie przycinki i upokarzające aluzye; postanowiła przeto zabić go ironią. Rozśmiawszy się więc głośno, śmiechem wszakże nieco przymuszonym, odparła:

— Ha, ha, ha!... Przybierasz pan ton moralizatorski?... I to pan... pan?!... Czynisz jakieś aluzye do chwil, w których byłam może zbyt łaskawą i pobłażliwą dla pańskiej natarczywości... To, to jest co najmniej zabawne, mój panie! Jakto? Więc przypuszczasz pan, że mam w tym zakresie mniej praw od pana? Wam wolno się bawić w fałszowanie uczuć, w nieszczerze zabiegi, w przewrotne zapewnienia i przysięgi, czyniąc z tego sport prawdziwy, lub co gorsza, rzemiosło, a nam wyrzucacie flirt najmniejszy, zabawkę w miłośćkę, a skradziony mniej lub więcej

podstępnie pocałunek, gotowicie podnieść do znaczenia sakramentu! Mój Boże!... życie jest tak nudne, a pan... pan jesteś tak zabawny! Cóżem zresztą winna, że fiksatar, którego używasz pan do wąsów, ma tak mdły zapach? Obwiniaj o to swego fryzjera, nie mniel...

Wypowiedziała to wszystko tchem jednym, nie zdając sobie sprawy, że ironia, którą chciała zgnębić swego przeciwnika, przeszła w cyniczną otwartość lorety, pragnącej bądź co bądź pozbyć się zniechęconego kochanka. Nawet Wielhorski to odczuł, pomimo, że był miotany wściekłością bezsilną. Jakże był śmiesznie naiwnym, łudząc się tak długo i sądząc, że flirt nawet dość swobodny, może do czegokolwiek zobowiązywać Komorską, może uwięzić się małżeństwem, które było ostatecznym celem jego zabiegów? Szarpnął konia z wściekłością, wskutek czego ten rzucił się w bok i o mało nie wysadził go z siodła. Komorska z ukosa nań spojrzała i znów w sercu jej wznieciła się iskierka żalu, czy też politowania, a być może i niejasne poczucie winy własnej. Trwało to wszakże chwilę zaledwie, ustępując miejsca uczuciu wielkiego zadowolenia, że raz wreszcie uwolni się od tego człowieka, który stał się dla niej nienawistnym niemal!...

Dopiero teraz zrozumiała to dobrze, a co więcej, rozumiała i przyczynę tej nienawiści: Stał on między nią i „tamty!” Miała wówczas bielmo na oczach, a w sercu instynkta motylcy. Opamiętanie wprawdzie nadeszło, było ono jednak spóźnione już... Między nią i Andrzejem otwarła się przepaść; oddalił się wyniosły i dumny, z pogardą zapewne w sercu dla pustej istoty, którą pierwszy lepszy truteń olśnić może!

Czy kochała go? Nie zadawała sobie nigdy tego pytania, nie wiedziała nawet, czy byłaby zdolną pokochać kogoś szczerze, prawdziwie, całą głębią uczucia, mimo to jednak gotowa była oddać pół ży-

cia, żeby raz jeszcze ujrzeć Andrzeja u nóg swoich, jeśli nie dlatego, aby oddać się mu zupełnie na zawsze, to przynajmniej dlatego, aby go mózdz odtrącić...

W miarę budzenia się tych niemiłych wspomnień przeszłości nienawiść do Wielhorskiego rosła w jej sercu. Nie przemówiła też do niego ani słówka. Jechali tak przez całą drogę obok siebie w milczeniu, złączeni jeszcze wątłą tkanką formy towarzyskiej, a przedzieleni całym oceanem gniewu i nienawiści. Banalny frazes pożegnalny, zamieniony przed gankiem pałacowym, był epilogiem długotrwałych złudzeń Wielhorskiego.

Zgnębiony wielce, w usposobieniu tragicznem niemal, powrócił on do domu. Położenie jego było istotnie bez wyjścia: ubieganie się o względy Komorskiej, wystawne życie w gronie arystokratycznych utracyuszów, hazard wreszcie, kosztowały go bardzo wiele; oplątał się też całą siecią długów i zobowiązań ryzykownych; spłacić je mógł albo posagiem grubym, albo też uwolnić się od nich kilkoma łutami ołowiu. Ta ostatnia perspektywa wszakże przerażała go, mroząc mu krew w żyłach... Rozpaczliwą swą sytuację rozumiał dokładnie, z tą bezwzględną, okrutną jasnością umysłu człowieka, stojącego nad przepaścią, która za chwilę może go pochłonać. Wzdrygnął się cały przed groźnem widmem beznadziejnego jutra...

Przypomniało mu się nagle jedno zdanie Andrzeja, do którego nie przywiązywał żadnego znaczenia, a którego wielką prawdę uznać teraz musiał w zupełności:

„Życie mieści w sobie wszystkie cechy niszczącego żywiołu. Należy je przeto w porę poskromić i wtedy może stać się ono dobrodziejstwem i źródłem trwałej rozkoszy; w przeciwnym razie, podobnie jak żywioł, przybiera ono własności groźne, trawiąc szybko i bezlitośnie rozum, wolę i duszę!“

Tej prawdy doświadczył na sobie i czuł się bezsilnym i nieszczęśliwym.

XII.

Andrzej pracował w polu razem ze swoim imieniem, Jędrkiem Grzela, niedawno przyjętym na naukę chłopskim praktykantem, który przywiązał się do swego pana i nauczyciela całym zapałem i szczerością swej duszy chłopskiej. Wielbił go też poprostu i uważał za najwyższą łaskę, gdy mógł razem pracować z panem Jędrzejem, nie uchylającym się od żadnej, nawet najcięższej roboty w polu.

Jędrzek też nie opuścił ani jednej sposobności, aby być bliżej tylko swego ukochanego „paniska“ i móżdż rozmawiać z nim do woli. Nie przeszkadzało to wcale pracy, przeciwnie, paliła się ona w ręku, a szło to tak składcie, że aż miło było patrzeć.

Nie zawsze jednak Rymsza był w usposobieniu chętnem do rozmowy; niekiedy jakiś poważny smutek i zamyślenie malowały się w jego oczach, a w czoło wciskała się głęboka zmarszczka; wówczas Jędrzek daremnie zaczynał rozmowę, daremnie się pytał o wiele rzeczy ciekawych, Rymsza bowiem zbywał go tylko krótkimi odpowiedziami, a czasem i milczał, nie słysząc zadawanych mu pytań.

Tak było i teraz: Andrzej zdawał się być pochłonięty zupełnie znojną pracą, od której krople potu spadały po jego twarzy, spalonej żarem słonecznym. Niekiedy tylko podnosił głowę i patrzył na główną drogę, prowadzącą do dworku, jakby czegoś wyglądając, czy oczekując na kogoś.

Nareszcie dostrzegł, daleko jeszcze, jakąś postać; przyłożył dłoń do czoła i przyglądał się przez małą chwilę, poczem powiedział:

— Spojrz-no, Jędrku na drogę, masz wzrok dobry przecież, czy to nasz Marcin wraca?

— A toć tak, proszę pana, z daleka widać jego drewnianą nogę.

— Skocz-no do niego i jeśli ma z poczty list, niech ci odda...

Nie dokończył jeszcze, gdy już Jędrek śmignął z pola. Powtarzało się to codzień od paru już tygodni.

— A, żeby ten zatracony list już raz przyszedł; panisko poweselałoby może! — mówił do siebie Jędrek, pędząc jak chart i zdaleka już krzycząc: a macie tam list ten „zatracony?“

Marcin dosłyszał i sięgnął do torby. Jędrek aż podskoczył z radości. Po upływie paru minut, zdyszany stanął przed Rymszą i z tryumfem podał mu list dawno wyczekiwany. Andrzej rzucił okiem na kopertę i poweselał na twarzy.

List był od Koryckiego.

Poznał to po charakterze pisma, podpis był bowiem zagadkowy i ujęty w cudzysłów: „Łodarski i Korycki“ a pod tem maleńkiemi literami: „Pierwsza krajowa fabryka maszyn i narzędzi rolniczych.“

— Dopiął widać swego! — pomyślał Andrzej i ciekawy bliższych szczegółów, zaczął uważnie list odczytywać.

Skreślony on był bezładnie, za co z góry przeproszał Korycki, tłumacząc się, że tak jest pochłonięty sprawami swej fabryki, umęczony bieżącą do rozmaitych władz i instytucji, ze uwagą ma rozstrzealoną, a głowę tak wyładowaną, jak tłumok wędrownej śpiewaczki.

„Nie przypuszczałem nigdy — pisał w jednym miejscu — że powołanie do życia jakiegoś przedsięwzięcia pożytecznego dla kraju może być połączone z tylu trudnościami. O mało co nóg nie połamiałem w łamigłówkach formalistycznych!... Od Annasza do Kaifasza, od Kaifasza do Judasza i t. d. bez końca: proś, kłaniaj się, zacinaj zęby i licho wie co jeszcze!... I to wtedy, gdy koncesya już jest

w kieszeni. No! ale wreszcie odetchnąłem; wprawdzie (wiesz, jak jestem w gorącej wodzie kąpany) o mało mnie piętnaście i pół raza nie wyrzucono za drzwi (dobre chęci się nie liczał), lecz już wszystkie ceremonie skończone. Przystąpiliśmy już nawet do kopania fundamentów, a za tydzień lub trochę więcej założymy kamień węgielny. Pamiętaj, że jedna cegła czeka na ciebie; poznasz mego współnika, kwadratowy to poczciwiec! Cały kierunek i nadzór nad budową do mnie należy, on się do niczego nie wtrąca, mówiąc, że się na tem nie zna, dla tego też z przyszłych dochodów fabryki przeznaczył mi pensję za nadzór przy budowie. Słowem, wszystko idzie jak po centryfugalnem maśle. Widziałem się w tym czasie z Grodzkim. Kto wie, czy przelotnie zawarta z nim znajomość nie jest pośrednią przyczyną moich sukcesów! Winszował mi, życząc powodzenia i nadal, przyczem uśmiechał się jakoś dziwnie. Nie na tem jednak koniec: przypuszczałem, że to zwykły „cielec,” a tymczasem po za skorupą ze złota, ten człowiek oprócz głowy i kieszeni ma jeszcze serce i poczucie obowiązków społecznych. Napomknął mi o tem i o owem... ma szerokie zamiary i nadmienił, że liczy w nich na moją pomoc. Lecz o tem potem... gdy się zobaczymy, pogadamy obszerniej. Wyobraź sobie, że ten szczerozłoty staruszek, jakkolwiek nie zna cię osobiście, jest twoim wielbicielem: „Takich więcej, a pustych placówek nie będzie!” powiedział do mnie.

„Co prawda, to ty masz dyabelne szczęście, nie tylko u bankierów, lecz i u pięknych kobiet!...”

Tu następowało dorywczo skreślone sprawozdanie z wizyty u pani Żywińskiej. Andrzej przeczytał je raz i drugi, uważnie bardzo, czując, że ogarnia go jakiś niepokój dziwny... Złożył powoli list, a schowawszy go do kieszeni, powiedział do siebie w zamyśleniu.

— Szczególny traf! szczególny! — dodał z naciśniętym, marszcząc zlekka czoło.

Jędrak, obserwujący pilnie, zawyrokował, że to pewnością nie ten list, o który tyle czasu się dopytywał, humor bowiem jego pana wcale się nie poprawił.

— Zmarkotniał jeszcze bardziej!... Mój Boże! I tacy jeszcze mają swe utrapienia! — powiedział do siebie i westchnął jak miech, poczem dla rozpędzenia widać niewesołych refleksyi, zaśpiewał głośno:

Dana moja dana!
Pod kopeczką siana..

Darł się tak, aż do samego dworu, gdzie Wrzeszcz zmitygował go surowo, mówiąc:

— A nie pruj sobie gardła, rekrucie!

Polubił on Jędrka za jego zuchowatość i muśtrował na każdym kroku; Jędrak też po Andrzejku najwiękzy respekt miał dla Wrzeszcza.

Jędrak był w łaskach nawet u starego Rymszy, który widoku obcych ludzi nie znosił prawie, a nawet bał się. Do Jędrka wszakże przyzwyczał się prędko; raz tylko zapytał Wrzeszcza, wskazując na Jędrka:

— A ten zkąd się tu wziął?

— To rekrut, pułkowniku!

Odpowiedź ta zadowolniła go zupełnie i odtąd łaskawym wzrokiem patrzył na przybysza, a nawet parę razy zatrzymał go i położywszy swą dłoń potężną na jego ramieniu, wpatrywał się weń uważnie.

Jędrak wobec olbrzymiej postaci starca drżał ze strachu, jednak przemógł się i wzrok jego wytrzymał, stał wyprostowany jak struna.

Starzec poklepał go wreszcie po twarzy, pociągnął zlekka za ucho i powiedział:

— Ten ujdzie! a teraz marsz!

Jędrak dwa razy tego nie dał sobie powtarzać i czmychnął, nie troszcząc się o prawidłowość takty-

ki w odwrocie. Od tej pory jednak shardział wielce i do Wrzeszcza się spoufalił; na pogardliwe zaś przezwiska odpowiadał wyzywająco:

— Już ci, co achmistrz, to nie pułkownik; a sam przecie pułkownik powiedział, że „ujdę...”

— Chyba szubienicy łotrze, chociaż nie widzi mi się — żartował stary wiarus.

Jednej tylko rzeczy bał się zuchwały Jędrak, a mianowicie, pracowni pułkownika. Raz tylko zajrzał tam z Wrzeszczem i od tej pory, przechodząc nawet koło drzwi zamkniętych, odwracał głowę i mrużył oczy. Widok rozmaitych aparatów i przyrządów o dziwacznych kształtach, automatycznych mechanizmów, a wreszcie tajemniczej skrzyni, podobnej do trumny, przerażał go. Pomimo strachu wszakże, ciekawość paliła go niezmierną, ile razy stary Rymszą zamykał się z Wrzeszczem w pracowni. Podkradał się wówczas podedrzwi lub okna szczelnie zasłonięte, usiłując przeniknąć tajemniczość tych posiedzeń, o których Wrzeszcz, nawet gdy był w najlepszym humorze, mówić nie chciał.

— Nie tobie, błaznie, wiedzieć o tem i rozumieć — odpowiadał stary wiarus tonem poważnym i surowym.

Jędrak wszakże nie poprzestał na tem i całemi nieraz godzinami wystawał w pobliżu pracowni. Dochodziły go wówczas echa dziwnej jakiejś mowy, gniewny głos pułkownika i pokorne, błagalne prośby Wrzeszcza, a potem niby jakieś zgrzyty stłumione...

Jędrkowi łydki drżały ze strachu, a zęby dygotały, szczególnie zaś przejmowały go trwogą jakieś rywkowe słowa, których nigdy dotąd nie słyszał, i całe zdania, wypowiedane głosem namiętym i podniesionym, których znaczenia nie rozumiał. Żegnał się wówczas nabożnie i co tchu umykał, mówiąc do siebie:

— Czarodziej, czy też inakszy praktyk!...

Ostatniemi zaś czasy stary Rymsza przesiady-

wał coraz częściej w tajemniczej komnacie i za każdym razem opuszczał ją z tryumfem w oczach.

— Zobaczycie, zobaczyciel! — mówił nieraz do Andrzeja — wkrótce ludzkość odetchnie, odświeży się, gdy jej przedstawię nowy wzór człowieka: z żelaza i ze stali, ze stali i z żelaza, z wolą i potęgą tytana!... Jeszcze tylko dni kilka, kilka prób!... Wrzeszcz! widziałeś?

— Widziałem, pułkowniku.

— Pomnij więc, że dasz świadectwo prawdzi! bo nawet on — dodał, wskazując na Andrzeja — nie dowierza mi!

— Stryj zanadto pracuje i męczy się — odzywał się Andrzej, aby uniknąć odpowiedzi na uwagę pośrednio doń zwróconą.

Ciężka, kilkotygodniowa choroba, jaką przebył starzec, nie zmniejszyła energii w kierunku przesładującej go „idée fixe“, zreformowania rodu ludzkiego. Fizycznie trzymał się dobrze. Silny jego organizm powrócił szybko do równowagi; ślady choroby pozostały jedynie na policzkach, które zapadły się głębiej, nadając twarzy wyraz jeszcze surowszy i bardziej ascetyczny. Z po za mroku wszakże, w jakim jego umysł stale przebywał, objawiała się niekiedy jego piękna dusza i wielkie serce, które ukochało swe społeczeństwo całą siłą, nad siły nawet! Te drogocenne błyski świadomości okupywały Andrzejowi stokrotnie ciężkie chwile zwątpień i palącego bólu na widok tego kolosu ducha, pogrążonego w mroczną, czarną otchłań obłędu... Dlatego też strzegł się wszelkich pokus oddalenia się na czas dłuższy z domu, chociaż czuł mocno potrzebę odetchnięcia niekiedy innym, „żywem“ powietrzem, którego coraz częściej brakowało jego piersi.

Niekiedy zdawało mu się, że stąpa po cmentarzu nadziei i pragnień, dawno, dawno pogrzebanych; że otaczają go mary przeszłości, bezpowrotnie minionej, i że on sam jest zapomnianą przez czas cząstką

tej przeszłości i tuła się po grobach, potykając się o krzyże połamane... Siłą woli otrząsał się wówczas z tych wizyj ponurych, usiłując wzrokiem ducha zarzucić w przyszłość i poczerpniętym z niej błyskiem nadziei wzmocnić słabnącą energię, do pracy, do tej mozolnej pracy latarnika, którą podjął, aby nieść po odrobinie światła tam, gdzie ono jeszcze nie przenikło, i miłości, gdzie kwiaty jej jeszcze nie zakwitły!

— Tak, tak! jedyna to droga do odrodzenia się!

Pod wpływem takich świetnych myśli Andrzej ożywał się i zapalał — nowa otucha wstępowała w jego serce i ze zwiększonym zapałem brał się do pracy. Większą część dnia w polu, a wieczór do późnej nieraz nocy przy biurku. Zhypnotyzowany takim trybem życia, wyczerpany nadmiernym wysiłkiem duchowym, obojętniał na wszystkie sprawy uboczne. I było mu z tem prawie zupełnie dobrze: pozostała w nim bowiem niejasna świadomość jedynie własnego jestestwa, własnych potrzeb i pragnień. Czuł się uduchowionym niemal!... Ostatniemi wszakże czasy utracił ten podniosły spokój duszy, zakłócały go myśli krnąbrne i pragnienia, przenoszące w świat inny, pulsujący radością życia, obiecujący raj rozkoszy...

List Koryckiego spotęgował te pragnienia. Mowcał się długo z sobą, aż wreszcie uległ...

W parę dni potem, spotkawszy Wrzeszcza w ogrodzie, odezwał się:

— Potrzebuję wyjechać na dni kilka.

Powiedział to z pewną nieśmiałością, jakby obawiając się, że Wrzeszcz zechce stawiać jakie przeszkody.

Stary wiarus jednak uśmiechnął się przyjaźnie i odparł:

— A toć i tak już dawno kamieniem siedzi pan w domu! Trzeba przecież łyknąć innego życia, na to młodość! — dodał ze starczą wyrozumiałością.

— A stryj?

— Zostaniemy wszak razem.

— Boję się! — zauważył Andrzej głosem sflu-
mionym.

— Czego? Gorzej już jak było, nie będzie chyba! Zresztą nie pierwszy to raz.. Bóg nad nami, a wola Jego święta! Pan tu nic nie pomoże. Ja zaś przy nim jako pies wierny; mówić nie trzeba!

XIII.

Na jednym z pustych przedtem placów, w pobliżu rogatek Wolskich, panował ruch gorączkowy. Zwożono tu cegłę i materiały budowlane i układano je długimi ławami z jednej strony placu, gdy w drugiej kilkudziesięciu ludzi kopało ziemię, wyrzucając jej góry całe na brzeg, po za określoną linię fundamentów. Praca wrzała, a gwar jej wypełniał powietrze. Ludzie pracowali ochoczo, z zapałem niemal, nie zachęcani, ani napędzani przez kogokolwiek, gdyż mimowolnym do niej bodźcem był nie tyle może oczekiwany zarobek, ile przeświadczenie, że kładą fundamenta pod nowy przybytek pracy, w którym setki ludzi, ich bracia lub krewni, a może i oni sami lub ich dzieci, znajdą przytułek i egzystencję. W tych warunkach lud nasz roboczy pracuje gorliwie i chętnie, a znojnny trud nie ciąży mu prawie. To też i teraz robotnicy wyrzucali wielkie grudy ziemi, przyśpiewując wesoło i z pewną dumą spoglądając na piętrzące się coraz wyżej wzgórza świeżo wykopanej, wilgotnej ziemi, świadczące dowodnie o ich energii w pracy. W tych zapasach siły i wytrwałości nie wszyscy byli równi, to też silniejsi fizycznie przedrzwali ze słabszych, mówiąc:

— Do przebierania wam maku, a nie do kopania szczerzej ziemi!...

— O, patrzcie!... Aż się zatacza delikacik!...

— Jakby po poniedziałku...

— Albo po „kartoflance!...”

Rozśmieli się wszyscy na ten dwuznacznik.

— Bo też do takiej roboty nie ma jak parę funtów „razowca“ i z funt sera na przegryzkę—ktoś się odezwał.

— O tak, ser daje siły — powtórzyło kilka głosów.

— A toć nasz „dyrektor“ chyba sera nie jada, a uwija się niczego! — zauważył jeden z inilczących dotąd robotników, kiwnąwszy głową w stronę, gdzie niewielkiego wzrostu mężczyzna, rozneglizowany do koszuli, kopał na równi z innymi.

Był to Korycki.

Na twarzy jego nie widać było zmęczenia, przeciwnie, ożywienie, malujące się na niej i ogień energii, palący się w oczach, świadczyły, że z lubością zagłębia rydel w ziemię, której świeży, wilgotny zapach przyjemnie go odurzał. Niekiedy tylko przystawał na chwilę i prostując swą szczupłą, lecz silną postać, jednym bystrym rzutem oka obejmował cały plan robót i zauważywszy jakąś niedokładność w wykonaniu, podchodził bliżej i czynił odpowiednie uwagi lub poprawkę, którą wykonywał szybko i zręcznie, składając tem świadectwo, że zna się na robocie i że najmniejsze w niej uchybienie nie ujdzie jego oka.

Korycki o 6 ej rano był już na miejscu i prawie ostatni schodził z posterunku, zalecając za każdym razem miejscowemu stróżowi przy budowie baczne pilnowanie zwiezionych materyałów.

Czuł się teraz zupełnie szczęśliwym; nieraz, gdy się zmęczył forsownie pracą, siadał na kłodzie drzewa, lub poprostu na świeżo wykopanej ziemi, i zapaliwszy papierosa, mówił do siebie:

— Jaka to rozkosz praca, szczególnie, gdy pc za nią widnieje cel upragniony!... Zaczynam coraz

więcej rozumieć i cenić Andrzeja, chociaż i sam nie byłem nigdy trutniem.

W jednej z takich chwil odpoczynku stanął przed nim Andrzej we własnej osobie.

Padli sobie w objęcia.

— Wiuszuję, wiuszuję ci tak szybkiego sukcesu, uczyniłbym to już wczoraj, gdybym cię mógł zastać w domu — odezwał się Andrzej.

— Ho, ho!... zachciałeś?... Teraz w domu tylko śpiam i to krótko, a żyję tu, żyję w całym tego słowa znaczeniu, pojmujesz to?

— Najzupełniej.

— A u ciebie jakże?... Dawnoś przyjechał?

— Wczoraj rano.

— Na długo?

— Jeszcze nie wiem, zawsze na dni kilka zapewne...

— I cóżeś wczoraj robił przez dzień cały?

Pytanie to zakłopotало Andrzeja cokolwiek, dał też odpowiedź wymijającą.

Henryk nie nalegał, domyślił się bowiem, gdzie spędził on dzień wczorajszy.

— Otrzymałeś mój list? — zapytał po chwili.

— Tak.

— Więc już wiesz o wszystkim... Ach prawda, to się stało nazajutrz po wysłaniu listu.

— Co mianowicie?

— Wielhorski miał pojedynek i został raniony.

— Pojedynek?... Z kim i o co?

— Z hrabiątkiem N., i to o jakąś błahostkę, jakiś podobno docinek „żółtodzióbka“ wyprowadził go z równowagi.

— To dziwna!... zwykle bywał wyrozumiały wielce i odznaczał się godną podziwu strawnością w tym kierunku — zauważył Andrzej z odcieniem pogardy w głosie. — Widziałeś go?

— Przez chwilę jedną wczoraj... Był zgnębiony bardzo; zauważyłem nadto wielką w nim zmianę.

Zdaje się, że coś poważniejszego musiało go dotknąć. Dopytywał się o ciebie, a gdym wspomniał, że prawdopodobnie przyjedziesz wkrótce do Warszawy, ożywił się widocznie i powiedział, że pragnąłby bardzo widzieć się z tobą.

— W jakim celu?

— Tego mi nie mówił; chyba odwiedzisz go?

— Czy ciężko ranny?

— Nie tak bardzo, kula porachowała z wierzchu jego żebra, niebezpieczeństwa też nie ma, o ile mi się zdaje.

Andrzej poprzestał na tem i zmieniawszy przedmiot rozmowy, zaczął wypytywać się Koryckiego o szczegóły, dotyczące fabryki. Henryk na to tylko czekał. Z entuzjazmem, właściwym jego naturze żywej, szczerzej i ekspansywnej, zaczął rozwijać swoje plany na przyszłość, olśniewając imponującymi cyframi obrotów i zysków. W jego notesie na kilku kartkach mieściła się cała skomplikowana wielce buchalterya produkcyi fabrycznej. Z chaosu suchych liczb, piętrzących się jedne nad drugimi, Korycki umiał wysnuć wspaniały poemat pracy ludzkiej. Andrzej słuchał zdumiony nietylko niezmierną rzutkością umysłu przyjaciela, lecz i świetnymi widokami powodzenia, jakie Henryk roztoczył przed nim.

— A jeśli w obliczeniach tych spotka cię zawód?

— Nigdy optymistą nie jestem i ludzię się nie mam zwyczaju, przewidziane tu jest wszystko. Zresztą, nie przypuszczasz chyba, że idąc śladem tutejszych przedsiębiorców, będę zapychał składy produkcją fabryki, czekając na nabywców?... O nie!... ja będę ich sam szukał po całym kraju, trafię do każdego dworu, do każdej nawet zagrody włościańskiej, stanę się najdokuczliwszym agentem, który, wyproszony dziesięć razy za drzwi, wciśnie się przez okno, przez dziurkę od klucza, aż dopnie swego. Nie zechcą próbować, zachęcę ich próbami, będę wypożyczał za pieniądze lub za darmo dotąd, póki nie

kupią pojedynczo lub gromadnie. Moje pługi, siewniki, lokomobile, żniwiarki, sieczkarnie będą podróżować po całym kraju, z miejsca na miejsce i trafiać do najbardziej zapadłych kątów... A po kilku latach takich zabiegów będziemy mogli bardzo pięknie ukłonić się zagranicą i zamiast naszych krwawych pieniędzy, pokazać jej figułę!.. A wtedy w taryfach celnych—narzędzia rolnicze staną się „pozycją słomianą.“ Pomyśl tylko, ile to pieniędzy wypracowanych ciężko z roli pozostanie w kraju? Co zaś do moich obliczeń, to nie muszą one być tak znów przesadne, skoro Łodarski, stary przecież praktyk, nie przeczy im wcale, lecz tylko zaciera ręce znacząco; co więcej, nie możemy opędzić się propozycjom kapitalistów: gotowi są oni otworzyć swe kieszenie jak najszerszej. Koperski przyprowadził już kilku, proponując utworzyć towarzystwo akcyjne na szeroką skalę; obojdem się jednak, wystarczymy początkowo sami sobie... Pieniężników wszakże nie zrażam, gdyż co innego wszakże snuje mi się po głowie, lecz na to czas jeszcze, trzeba tymczasowo uporać się z jednym...

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek, sygnalizujący południe.

— Już 12!... Pora na posiłek.

— Jedźmy razem do miasta — zaproponował Andrzej.

— Żartujesz! Mam tylko godzinę czasu, to też stołuję się tu w pobliżu, o kilkanaście kroków; jakaś poczciwa babina, wdowa po podmajstrzym, zgodziła się wziąć mnie na wikt; jeśli chcesz, chodźmy razem: „inenu,“ nie wytworne wprawdzie, ale zdrowe i posilne.

— Chodźmy!

Po upływie kilku minut wchodzili do drewnianego domku, chylącego się od starości.

Poczciwa babina, mieszkająca w jednej, dość obszernej izbie, czekała już z obiadem.

Po obiedzie, który smakował im obu, rozstali się.

— Pamiętaj więc, że we wtorek wielka uroczystość założenia kamienia węgielnego; bez twojej cegły obyc się ona nie może, pamiętaj!

— Bądź spokojny, nie zapomnę!

Andrzej wahał się długo, zanim zdecydował się pójść do Wielhorskiego; gdy jednak uczynił to postanowienie, zaczął sobie wyrzucać ten namysł długi. Był to przecież dawny kolega, z którym łączyły go niegdyś, jeśli nie przyjacielskie, to zażyłe stosunki; wszakże razem przez lat parę mieszkali z sobą w paryskiej mansardzie, razem głód nieraz cierpieli, razem dzielili uciechy młodzieńcze. A dziś, gdy ten leżał ranny, złamany być może na duchu, skoro go wzywał, on wahał się, czy ma pójść do niego. Prawda!... dzieliła ich cała przepaść pojęć, przekonań i zapatrywań na życie; Wielhorski upodobał sobie tylko blichtr jego, nikłą piankę, po której unosił się, pyszny swą nicością i brakiem jakichkolwiek aspiracyj szlachtetnych. Wszystko to prawda, lecz takich, jak on, jest cały legion, są to odpadki i wióry w zwyciężkim pochodzie życia. Nie pozostaje po nich nic, nic... ani śladu, ani wspomnienia. Jedna tylko nicość!...

Taki jednak porządek na świecie; nie w jego mocy go zmienić, a i sądzić nie ma prawa.

Pod wpływem tych myśli, Andrzej pozbył się resztki jakiegoś, dziwnej natury niemiłego uczucia, które zjawiało się w nim zawsze na myśl o Wielhorskim. Uczucie to niepokoiło go, gdyż nie umiał sobie zdać z niego sprawy. Nie było ono ani litością, ani pogardą, ani też nienawiścią.

— Byłażby to zazdrość? — pytał siebie z niepokojem dziwnym.

Jedna była tylko kobieta, która stanęła między nimi. Nie kochał jej wszakże nigdy; zainteresowała

go jedynie niezwykłą urodą i błyskotliwością umysłu. Trwało to wszakże bardzo krótko, przekonał się bowiem, że była to istota pusta i bez serca. Potem dowiedział się, że niebawem zastąpił go Wielhorski. Przyjął to zupełnie obojętnie, a jednak od tego czasu ochłódł znacznie dla Wielhorskiego.

Byłaby to próżność i zdraśnięta miłość własna, że tak prędko zapomniano o nim i że sprawcą tego zapomnienia stał się Wielhorski? Zastanawiał się nad tem Andrzej nieraz i ze wstydem uznać musiał, że tak...

— Jakże natura ludzka jest ułomną!...

Od tego czasu upłynęło lat kilka, a mimo to ta pleśń miłości własnej pozostawiła jeszcze swoje ślady plugawe.

Silą woli Andrzej stał je wszakże w swej pamięci i z czystym sercem, z czuciem przyjaznem niemal, poszedł do Wielhorskiego. Wielhorski, ujrawszy go, uniósł się na łóżku, lecz w tejże chwili upadł, wydając okrzyk bólu. Był zmieniony bardzo; piękna twarz nosiła ślady wielkiego zgnębienia... Na widok wszakże Andrzeja, oczy jego zabłyśły radością. Wyciągnął rękę i głosem wzruszonym powiedział:

— Dzięki! bardzo pragnąłem cię widzieć. Wspominał ci zapewne Korycki?

— Tak. Jakże mało cenisz swe życie?—odparł Andrzej, siadając przy nim.

— Alboż ono co warte?... Jeśli żałuję czego, to tylko chybionego strzału mego przeciwnika; jeszcze parę linii, a byłbym po za granicą głupstw ludzkich.

— Nietylko tą drogą granicę tę przebyć można—zauważył Andrzej z powagą.

— Niestety, innej drogi nie mam... Zresztą bagaż życiowy wyczerpał się, sądziłem, że go starczy na dłużej i omyliłem się, był bardzo szczupłym.

Powiedział to Wielhorski z gorzkim uśmiechem na ustach i z wyrazem wielkiego bólu w oczach; płonęły one ogniem gorączkowym, zdradzającym silne podniecenie nerwowe.

— Albo ma gorączkę, lub też gra komedye! — przemknęło Andrzejowi przez głowę, po chwili wszakże, spojrzawszy uważniej na Wielhorskiego, pożałował swego przypuszczenia.

Ten wszakże musiał je wyczytać na jego twarzy, gdyż odezwał się:

— Wiem, o czem pomyślałeś przed chwilą: zmiana, jaką widzisz we mnie, wydaje ci się niepojętą; przypuszczasz, że z przyzwyczajenia gram, jak zawsze, komedye, dostrajając się do sytuacji obecnej. Tym razem jednak mylisz się, pojedynek był tylko pretekstem do skończenia głupiego rachunku z życiem. Złożyło się na to wiele okoliczności, długi szereg przyczyn, zahaczających się jedna o drugą... Utworzył się z tego fatalny łańcuch! Znasz zresztą moje życie, nie domyślasz się wszakże, jaką sztuką potrafiłem je podtrzymywać tak długo. To jednak rzecz nie ciekawa, dość, gdy ci powiem, że struna się przeciągnęła, ogniwa popękały, ujrzałem się nagle wyrzuconym z siodła i... zgubionym—dodał Wielhorski głosem bezdźwięcznym.

— Uspokój się, jesteś zgorączkowany i przesadzasz niebezpieczeństwo, nie jest ono może tak wielkie, zresztą można wszystko jeszcze powetować.

— Niestety!... zabrnąłem za daleko i dlatego chciałem skończyć od razu, lecz i tu spotkał mnie zawód; jak zacznie się rwać, to rwie się wszystko... Spodlałem jednak ostatecznie!... Jaka to głupia natura ludzka!... tchórzem nie jestem, ze spokojem stanąłem za cel dla lufy jakiegoś dudka, a sam dla siebie nie mam odwagi pociągnąć za cyngiel!

Wielhorski mówił to wszystko tonem gorzkiego szyderstwa, w głosie wszakże dźwięczała nuta bezgranicznej rozpacz. Nie było to już udanie; Andrzej

zrozumiał to i czuł w sercu litość dla tej rozpaczliwej bezradności człowieka, który niedawno jeszcze nosił czoło wysoko i zdawał się urągać całemu światu.

— Trzeba go ratować! — przemknęło mu przez myśl—dodać otuchy—położywszy więc dłoń na jego rękę, jak lód zimnem, przemówił doń tonem przyjaznym: — Uspokój się i bądź dobrej myśli, pamiętaj przedewszystkiem o zdrowiu.

Na te słowa Wielhorski poruszył się niespokojnie.

— Ach, to zdrowiel!... Gdybym mógł wyjść, może uratować sytuację na parę tygodni, a może i na dłużej. Ten pojedynek!... Dlaczego się pojedykowałem?... Przyczyna głupia, jak wszystko; chciałem się przekonać, czy nie odmówią mi już rozprawy honorowej, śpieszyłem się, gdyż za dni kilka mogłoby być za późno!... Wiesz — dodał nagle, z rozpaczliwą determinacją w głosie—roztrwoiłem cudze pieniądze!...

Andrzej spochmurniał.

— Ile?—zapytał tonem surowym.

— 5,000 rubli.

— Należy je oddać natychmiast, trzeba pożyć!...

Wielhorski wykrzywił usta boleśnie i wyszeptał:

— Kredyt wyczerpany!...

Zamilknął i zwiesił głowę w zgnębieniu wielkiem.

Andrzej milczał również, w jego sercu odbywała się walka.

— Jakże mogłeś tak upaść?—zapytał cicho.

— Przerachowałem się!... A to wszystko przez nią, przez tę kobietę, wiesz, o kim mówię, byłem z nią prawie po słowie, całe dwa lata łudziła mnie, aż wreszcie odtrąciła pogardliwie... Tacy, jak ja, u takich, jak ona, mogą najwyżej ubiegać się o tytuł kochanków!... Powiedziała mi to wyraźnie.

Umilknął, jakby mu tchu zabrakło. Nastąpiła znów chwila przykrego milczenia. Wyznanie Wielhorskiego, który zwał całą winę swego położenia na kobietę, obudziło wielki niesmak w Andrzeju; początkowe współczucie dla jego niedoli osłabło w nim. Wielhorski musiał to odczuć, gdyż instynktowo, ruchem gwałtownym pochwycił rękę Andrzeja i ściskając ją nerwowo, zawołał:

— Ratuj!...

— Dobrze—odparł Andrzej po chwili wahania— o pieniądze postaram się.

Powiedział to wszakże tonem oschłym, zdającym się świadczyć, że pomoc, którą przyobiecał, była tylko wymuszona, podobną do jałmużny, jakiej udzielamy dla pozbycia się żebraniń natrętnej.

— Nie, nie!... nie o to tylko chodzi! — zaprotestował Wielhorski — ratuj mnie od samego życia! Wyczerpało ono moje siły doszczętnie!... Nadewszystko zaś nie pogardzaj. Czuję, że twoje przyjazne uczucie mogłoby mnie jeszcze ocalić!...

— Możesz zawsze liczyć na mnie!... Nie upadaj przeto na duchu... we mnie i w Koryckim znajdziesz przyjaciół!..

Wielhorski nic na to nie odpowiedział; leżał nieruchomo z przymkniętymi oczami, a ręka jego spoczywała bezwładnie w dłoni Andrzeja.

Omdlał...

Andrzej nachylił się nad nim i dostrzegł dwie łzy, które, wyciśnięte z pod powiek, błyszczały na policzkach.

— Człowiek uratowany!—wyszeptał i westchnął z uczuciem ulgi wielkiej.

Tegoż jeszcze dnia, o godz. 10-ej wieczorem, Andrzej dobijał się do drzwi Koryckiego. Ten był już w łóżku.

— Co się stało? — zapytał zaniepokojony tak późną wizytą, a bardziej jeszcze gorączkowym podnieceniem, malującym się na twarzy Andrzeja.

W krótkich słowach wyjaśnił mu wszystko.

— Trzeba go ratować! Uczynić to muszę...

Korycki otworzył szeroko oczy, udając zdziwienie.

— Ty, Wielhorskiego?

— To człowiek nieszczęśliwy!—odparł Andrzej z prostotą.

Korycki uśmiechnął się filuternie.

— Nie omyliłem się zatem, będąc pewnym twe-go serca! Jesteś chłop zacny.

— Daj pokój!—przerwał mu Andrzej niecierpliwie—tu trzeba radzić bez zwłoki, biorę wszystko na siebie.

— Za pozwoleniem i ja mam tu głos, Wielhorski w połowie i do mnie należy!

Do późnej nocy trwała narada przyjaciół. Zgromadzenie kilku tysięcy rubli nie było rzeczą łatwą. Henryk rozporządzał tylko nietkniętą dotąd 1,000-frankówką, Andrzej zaś większej gotówki nie posiadał; zdecydowali przeto zaciągnąć pożyczkę, w razie trudności, Andrzej gotów był dać zabezpieczenie hipoteczne.

— Obejdzie się bez tego, Łopaciński wybawi nas z kłopotu, moje papiery poszły u niego znacznie w górę, sam mi się ofiarował z usługami; jutro się z nim zobaczę.

— A więc do jutra! — powiedział Andrzej, żegnając się.

— Do jutra!

Rozstali się. Była już pierwsza po północy.

„Człowiek tonie!”

Na ten okrzyk rozumowanie ustaje, a występują złe lub dobre instynkty; wrażliwość zaś natury rodzi czyn.

Oto geneza akcji ratunkowej, jaką podjął Andrzej względem dawnego kolegi. Zajął się gorliwie Wielhorskim.

Rzecz jednak dziwna, nie doświadczał słodkiego

uczucia i radości ze spełnienia dobrego uczynku. W sercu ich nie było. Natomiast wystąpiły refleksje krytyczne, niepokojące go bardzo. Jednocześnie wszakże do walki z nimi stanął szlachetny upór człowieka, który wyciągniętej z pomocą ręki cofać nie zwykł...

Upór ten odniósł zwycięstwo, a co więcej, przyniósł mu przeświadczenie, że tak postąpić był powinien.

Najlepszym lekarstwem na niechęć do kogoś jest wyświadczenie temu komuś rzetelnej usługi. Antypatya wówczas traci swą ostrość; niechęć ustaje zupełnie, a „minusy“ nienawiści zmieniają się często-kroć w „plusy“ przyjaźni.

Powiadają, że w ten sposób łaskawe bóstwa wynagradzają każdy dobry czyn spełniony.

Doświadczył tego na sobie Andrzej; niechęć bowiem, jaką żywił ku Wielhorskiemu, powoli znikła zupełnie, ustępując miejsca gorącej trosce o uratowanie człowieka.

Starania jego były owocne, to też po dwóch dniach miał już w kieszeni potrzebną sumę. Łopaciński, na którego pomoc liczył, nie zawiódł.

Z pieniędzmi temi pośpieszył do Wielhorskiego...

Ten w ciągu tego czasu, truł się niepokojem, siły jego duchowe wyczerpały się doszczętnie. Ogarnęła go wreszcie zabijająca apatya; to też stan jego zdrowia nie polepszył się wcale, ku wielkiemu zdumieniu ordynującego lekarza, który widział tylko lekką względnie ranę, lecz w chorą duszę zajrzeć nie mógł.

Być może, że przyczyną takiego stanu było opuszczenie zupełne, w jakim przez parę dni pozostawał; z jego licznych znajomych i rzekomych przyjaciół nikt nie zajrzał. Daremnie też wyczekiwał Andrzeja lub Koryckiego.

W tem opuszczeniu zdawało mu się, że leży już na cmentarzu, bezwładny i zapomniany...

— Tak, jestem już trupem, trupem moralnym!— mówił do siebie, rozmyślając z goryczą nad znikomością życia, jakie prowadził.

Nikt o nim nie pamiętał!...

Prawda, hr. N. przysłał lokaja dowiedzieć się o jego zdrowie, uprzejmość ta wszakże chlebodawcy przeraziła go raczej.

— Niepokoi się zapewne o te kilka tysięcy rubli; gdyby mu przyszła myśl teraz zażądać ich zwrotu, wszystkoby przepadło!... mógłby wyrzucić mnie natychmiast na bruk, jako złodzieja...

Na myśl tę zimny pot wystąpił mu na czoło, a ręce wpiły się w koldrę z wściekłością rozpaczy... Byłby w tej chwili z ochotą poszarpał samego siebie.

Parę razy zrywał się z łóżka i szedł do biurka, gdzie w szufladzie schowany był rewolwer. Wyciągał rękę, lecz ręka opadała bezsilnie, on zaś perswadował sobie:

— Jeszcze na to będzie czas, to nie ucieknie!...

Mówiąc tak wszakże, czuł, że kłamie, że nie będzie zdolny do takiego kroku.

Ogarniała go wówczas rozpacz bezmierna.

— Jestem podły, podły i jeszcze raz podły!...

W jednej z takich chwil okropnych przyszedł Andrzej. Niósł on mu pomoc z radością w sercu, to też jego poważna zawsze, o skupionym wyrazie twarz jaśniała pogodą.

Wielhorski wpatrzył się weń wzrokiem, pełnym niepokoju i nadziei, wyciągniętą zaś przyjaźnie ku sobie rękę pochwycił skwapliwie ze wzruszeniem widocznym.

Przejęty był w tej chwili wdzięcznością gorącą jedynie za pamięć o nim... O pomocy, którą mu

przyobiecano, nie myślał. Sama obecność Andrzeja sprawiała mu radość.

— A więc był człowiek, dla którego nie stał się jeszcze trupem, a tym człowiekiem był Andrzej.

W piersi jego zadrgały struny, które dawno już nie wydawały dźwięku; fala rozczulenia napłynęła do serca i mózgu i zaczęły cisnąć się łyzy do oczu...

I rzecz szczególna, ten przebłysk w nim szlachetniejszej strony jego natury, zamkniętej dotąd w egoizmie, był dla niego samego niespodzianką radosną.

— Nie jestem więc jeszcze zły zupełnie!—przemknęło mu przez myśl.

Andrzej tymczasem usprawiedliwiał się ze swej parodniowej nieobecności.

— Nie chciałem przychodzić z próżnemi rękami, na szczęście, udało się nam, oto masz pieniądze—dodał, kładąc przed nim grubą paczkę banknotów, ujętych w opaskę z kartonu.

Wielhorski wpatrywał się w nie czas jakiś, nie wierząc własnym oczom, które powoli zachodziły mgłą jakąś.. Potem pochwycił nagle rękę Andrzeja i ściskając ją mocno, chciał coś przemówić, lecz w piersi zabrakło głosu, wyrwał się z niej tylko jakiś dźwięk chrapliwy.

Siedział tak na łóżku przez kilka sekund, trzymając rękę Andrzeja i wpatrując się weń wzrokiem, z którego przeglądała, zda się, jego dusza.

— Jam nie wart, nie wart!—wyszeptał w końcu głosem zdławionym.

Wzruszenie nie pozwalało mu mówić więcej. Dopiero po jakimś czasie, pod wpływem kojącej, przyjacielskiej perswazyi Andrzeja, przyszedł powoli do równowagi i zaczął mówić spokojniej, roztrząsając z goryczą swe życie, które strawiło w nim wszelkie lepsze instynkty, szlachetniejsze dążenia i zamiary, wolę i energię.

— Wiesz sam — mówił głosem urywanym, w którym drgała nuta gryzącego żalu — nie byłem przecież tak zły... i ze mnie można było coś wykrzesać lepszego... to życie jednak pochwyciło, jak jaki potwór, w swą paszczę, oplątało całą siecią poziomych, niskich pożądlivosti, pragnieniem błyszczenia, chciwością użycia... Nie broniłem się nawet i dałem się wciągnąć w ten odmęt, aby wirować w nim, jak opętany, aż do zawrotu głowy, do utraty pamięci, aż do wyczerpania sił... Pokusy, jak złe duchy, czyhały wszędzie... Na pracę zabrakło wówczas czasu!... Zjawiały się wszakże chwile samowiedzy, były one okropne!... Miotalem się wówczas we własnej bezsilności po to tylko, ażeby się przekonać, że z człowieka nic we mnie nie zostało... Wtedy z rozpaczliwej konieczności tłumilem w sobie wszelkie przebliski lepsze i godziłem się ponownie z rolą trutnia, jaką życie mi narzuciło... Nawykłem wreszcie do niej, a co więcej, bezczelnie podnosiłem głowę, urągając całemu światu. Podobny w tem byłem do kobiet upadłych...

— To już minęło wszakże! — przerwał Andrzej tę gorzką spowiedź duszy chorej.—Przeszedłeś ciężką szkołę życia nie nadaremnie... Nic przeto nie stracone, rozpoczniesz żyć na nowo!

— Czy ja wiem?... Czy znajdę w sobie dość siły?... Ratuj mnie—zawołał nagle—pomóż i radź!... Pójdę za tobą. Uznaję dziś twoją wyższość moralną; niegdyś mnie ona przygnębiała, dziś zaś jest radością i nadzieją ratunku. Oddaję ci się zupełnie, tobie i Koryckiemu, lecz nie zostawiajcie mnie samego, nie dajcie osłabnąć!...

— Bądź spokojny!... Obawiać się tego nie potrzebujesz, chęć szczerą jest początkiem czynu... Ratunek już znalazłeś w sobie samym, w zbudzonej samowiedzy podczas tych kilku dni samotnych rozmyślań... Wszystko zło, jakie się dzieje na świecie, płynie ztąd, że ludzie, pogrążeni w grzęzkim mule

życia, nie mają czasu myśleć; gdyby czas ten znaleźli, gdyby choć jedną godzinę poświęcili odszukaniu w sobie lepszej części duchowej, dla ludzkości zaświtałaby nowa era. „Myśl i pracuj!“ Oto dewiza życiowa, którą należałoby wypisać na sztandarze ludzkości. Gdy zaś ona przestanie myśleć, zapomni zupełnie o swem człowieczeństwie, a wówczas świat podobnym się stanie do pustyni, zamieszkałej przez dzikie zwierzęta!...

Rozpoczęta w ten sposób rozmowa ożywiła się, wkraczając w sferę zagadnień filozoficznych, wobec ogromu których cierpienia i bóle jednostki wydać się musiały rzeczą niezmiernie błahą i nikłą.

To też i Wielhorski zapomniał o swoich troskach i oddał się cały dyspacie, czerpiąc w niej orzeźwienie duchowe...

Andrzej to zauważył, a przeto, gdy przy pożegnaniu Wielhorski prosił go, aby w obecnem jego opuszczeniu nie zapominał o nim—odparł:

— Przyjdę, przyjdę jutro; mamy jeszcze wiele do pomówienia z sobą.

Obietnicy tej dotrzymał. Odtąd codziennie prawie spędzał po parę godzin u Wielhorskiego. Wpadał też i Korycki, ale na krótko, gdyż, podminowany będąc wiecznie swemi interesami i projektami, nie mógł długo usiedzieć w jednym miejscu.

Dzięki tej opiece dawnych kolegów, Wielhorski szybko przychodził do zdrowia; przygnębienie jednak moralne wciąż trwało. Czuł się nadto upokorzony dobrocią tych przyjaciół, w nieszczęściu niespodzianie odnalezionych.

A tej przyjaźni i opieki potrzebował on więcej, niż kiedykolwiek. Stanowisko jego u hr. N. zostało mocno zachwiane. Przekonał się o tem przy pierwszym widzeniu ze swym możliwym protektorem.

Przyjął go on niezmiernie chłodno, dając wyraźnie do zrozumienia, że niezadowolony jest wiel-

ce z dopełnionego kupna placów pod budowę domów.

— Cena jest stanowczo za wysoką!... Warunki kupna były mi przedstawione w niewłaściwym oświetleniu... Gotów jestem zrzec się wszystkiego, nawet ze stratą.

Wielhorski poczerwieniał.

— Wie o wszystkim! — przemknęło mu przez myśl — a jednocześnie zrozumiał, że zaufanie hrabiego utracił bezpowrotnie.

Nie omylił się; przekonał się o tem ostatecznie, otrzymawszy pewnego pięknego poranku suchą odezwę, zredagowaną w stylu oficjalnym. Treść jej była krótka, lecz wymowna, zawierała zaś dymisyę „na własne żądanie.“ Wypędzono go poprostu, a owo „na własne żądanie“, było ironią gryzącą.

Został odrazu na bruku, bez żadnych zasobów, bez grosza w kieszeni. Wprawdzie wspomniana odezwa bonifikowała mu pensyę do Nowego Roku, lecz wybrał ją już uprzednio z góry. Było to więc ostateczne jedynie pokwitowanie z zaległości. Co gorsza — wieść o dymisyi wzbudziła czujność drobniejszych dostawców i wierzycieli. Ruchomości w mieszkaniu zostały przyaresztowane, na wszystkich kosztownych sprzęcikach, obrazach, dywanach, a nawet na wykwintnej garderobie znalazły się pięczęcie komornika. Zagrożono mu nawet więzieniem dla niewypłacalnych dłużników.

Ciosy te spadły na głowę Wielhorskiego tak szybko jeden po drugim, że zrazu oszołomiły go tylko, potem zaś ogarnęła go wściekłość bezsilna na myśl, że w jednej chwili został nędzarzem, na bruk wyrzuconym.

Pozostało mu tylko to prawie, co było na nim. Jednocześnie — tysiące innych upokorzeń znieść musiał od tych, co niedawno jeszcze kłaniali mu się nisko, zabiegali drogę, uprzedzali życzenia.

Pewnego razu przechodząc przez dziedziniec,

usłyszał za sobą wyraźnie następujące urąganie stangreta hrabiego:

— A cóż?... hrabia wypędził go pro prostu, jak złodzieja... Podobno dobrze się obłowił!... A jeszcze niby pan. I takiemu nic za to!...

Powiedziane to było umyślnie na jego intencję, głosem podniesionym i Wielhorski czuł na sobie pogardliwe spojrzenie ludzi stajennych, szwajcara, wygrzewającego się przed gankiem na słońcu i stróża, zamiatającego dziedziniec. Szedł też niby pod pręgierzem, a jednak nie śmiał skarcić tych ludzi, będąc zmuszony udawać, że obelga rzucona stosować się do niego nie może.

Zato jednak, znalazłszy się w mieszkaniu, miał się w besilnej wściekłości i, zaciskając pięście, groził niemi w kierunku podwórza na tych zuchwałych prostaków, którzy w tak brutalny sposób pastwili się nad nim.

Mieszkanie to, z którego mógłby jeszcze korzystać w ciągu paru miesięcy, do końca kwartału, stało mu się tak nienawistnem, że postanowił porzucić je niezwłocznie, choćby mu przyszło noc spędzić pod mostem.

Tak też i uczynił. Nazajutrz, zabrawszy z sobą kilka wartościowych drobiazgów, pominiętych przez komornika i nieco garderoby niezbędnej, którą wysłał uprzednio przez posłańca — opuścił swój wytworny apartament kawalerski na zawsze.

Trapiiony ponuremi myślami Wielhorski udał się do jednego z podrzędnych hoteli w północnej stronie miasta i zająwszy w nim numer, zamknął za sobą drzwi na klucz.

Przeleżał kilka godzin nieruchomo, wpatrzony bezmyślnie w sufit, w zupełnej prostracyi duchowej...

Późnym już wieczorem obudził się z tej apatyj; zapalił świecę i mimowoli spojrzął w lustro. Zobaczył w niem twarz bladą niezmiernie, zmęczoną, błę-

odne spojrzenie i włosy powichrzone desperacko. Rozśmiał się gorzko.

— Wyglądam jakbym się upił! — powiedział do siebie. — A może i dobrzeby było — dodał po chwili i nacisnąwszy kapelusz, wyszedł na ulicę.

W jakiejś podrzędnej restauracyi, gdzie śpiewały niemieckie szansonistki, przesiedział do rana. Posiedziałyby tam i dłużej, gdyby spóźnionych gości nie wyproszono bez ceremonii.

Zataczając się mocno, powrócił do domu.

Na drugi i trzeci dzień powtórzyło się to samo...

Dopiero po upływie kilku dni Andrzej zdołał dowiedzieć się o adresie Wielhorskiego. Pomógł mu w tem Łopaciński, od którego dowiedział się również o upokarzających szczegółach ustąpienia z posady...

Andrzej zapukał do drzwi raz i drugi, nie otrzymawszy wszakże odpowiedzi, nacisnął klamkę i wszedł do pokoju.

Uderzył go przedewszystkiem silny zapach spirytualij, zięjący od Wielhorskiego, który leżał na wznak na łóżku, z szeroko otwartemi oczyma. Wyraz ich był błędny; twarz zaś blada niezmiernie, włosy powichrzone, zmięte i powalane ubranie świadczyły wymownie o całonocnej pijatyce.

Andrzej zatrzymał się na środku pokoju i rozgoryczony do głębi takim upadkiem człowieka, którego uważał za uratowanego, zawołał:

— Człowieku, gubisz się dobrowolnie, giniesz!...

Wielhorski wpatrzył się weń zamglonym, ogłupiałym wzrokiem i wybełkotał:

— Tak, ginę!.. Przyszedłeś po pieniądzel... He, he, he!.. Za późno, przepadło wszystkol...

— Jakżeś mógł?... Jak mogłeś?..

— Aha!.. nie wiesz, wyrzucili mnie, wyrzucili jak psa, mnie, Wielhorskiego!.. Łajdaki! — wykrzy-

knął z pijackim ferworem i ziewnął głośno, potem zaś przyrykując senne oczy, dodał ledwie zrozumiale:—ginę, wszystko głupstwo, spać chcę...

Zaczęła go dusić czkawka...

Andrzej zrozumiał, że mówić z nim w tej chwili nie było sposobu, to też umilkł; nie odszedł wszakże.

Wielhorski tymczasem zasnął snem kamienym człowieka, zatrutego całkowicie alkoholem.

Wówczas Andrzej skreślił kilka słów na swoim bilecie wizytowym i zostawił go na stole, potem zaś, wyszedłszy na korytarz, wezwał służącego i polecił mu dać pilne baczzenie na Wielhorskiego. Zalecenie to poparł datkiem odpowiednim.

— Będę tu przed wieczorem, gdyby się przeto wcześniej obudził...

— O! niema obawy, proszę pana; tak już czwarty dzień: kładzie się rano, a budzi się około 10-ej wieczorem—odparł służący.

Około godziny 8-ej Andrzej zjawił się ponownie, tym razem w towarzystwie Koryckiego.

— Śpi jeszcze — uprzedził służący, uśmiechając się uprzejmie.

— Kanalia!—mruknął Korycki przez zęby.

Weszli do pokoju. Wielhorski wszakże już nie spał.

Powitał ich ponurem wejrzeniem człowieka, który jeszcze nie zdołał wytrzeźwić się zupełnie.

— Dlaczegoś nie przyszedł do mnie lub do Andrzeja, gdy się to wszystko stało? — zapytał Korycki głosem, w którym drżało oburzenie tłumione.

Pytanie to oprzytomniło go nieco, uświadamiając sytuację, w jakiej się znajdował. Niezadowolony z tego, czy też zawstydzony, opuścił głowę i patrząc z podełba, odparł głosem ochrypłym:

— Dlaczego?... Bom nie chciał świecić swoją nędzą!... Dajcie mi zresztą pokój... Zostawcie wła-

snemu losowi, wasza pomoc nie dla mnie, widzicie, że ginę i... dajcie pokój!...

— Waryacie! — wybuchnął Korycki, chwytając go za rękę—czy myślisz, że pozwolimy na to, abyś skończył w rynsztoku lub... jeszcze gorzej?! Nie masz zresztą prawa rozporządzać sobą; zaciągnąłeś dług przyjacielski! Spłać go wprzód, a potem... niech cię dyabli wezmą! Jeśliśmy wyciągnęli rękę pomocy, to dlatego, że wierzyliśmy w resztkę uczciwości człowieka, który w ciągu lat kilku jadł z nami głód nędzy studenckiej! Zresztą niema o czem z tobą gadać dłużej; zabieraj się natychmiast! — dodał tonem rozkazującym.

Energiczne to przemówienie wywarło swój skutek. Wielhorski stał zmieszany, onieśmielony tem odwołaniem się do resztek uczciwości i honoru, nie wygasłych w nim dotąd całkowicie; to też głosem bezdźwięcznym zapytał:

— Dokąd chcesz, ażebym szedł?

— Do mnie! Czy masz jakie rzeczy? — dodał, rozglądając się po pokoju.

Wielhorski wzruszył ramionami.

— Hm! nie trudna zatem przeprowadzka!—mruknął Korycki i nacisnął guzik u dzwonka.

Zjawił się lokaj.

— Rachunek za hotel—natychmiast!

Wielhorski stał oszołomiony zupełnie, nie zdając sobie sprawy ze swego położenia, Mózg jego tonął jeszcze w mgłach alkoholowej narkozy i nie był zdolnym do rzutkości myśli i woli. Stał się też uległym jak dziecko...

XIV.

Upłynęło kilka tygodni... W ciągu tego czasu Andrzej dwukrotnie jeździł na wieś do stryja i powracał do Warszawy. Obecność jego była tu po-

trzebną. Na szczęście, zdrowie starego Rymszy nie stało temu na przeszkodzie. Andrzej przeto nie doświadczał, jak dawniej, gnębiących wyrzutów, że go opuszcza tak często; zresztą, czynił to przecież nie dla siebie: ratował człowieka! I usiłowania jego nie poszły na marne. Wielhorski opamiętał się i—o ile się zdawać mogło — odzyskał równowagę duchową i ozdrowiał moralnie, o czem, jakby chcąc przekonać Andrzeja i Koryckiego, a może zresztą i samego siebie, wziął się do ciężkiej pracy, o którą mu się wystarano za pośrednictwem Łodarskiego; podjął się mianowicie kierownictwa robót przy budowie wielkiej cegielni za miastem.

Było to pustkowie, na którem musiał zamieszkać, odcięty od świata i ludzi. Andrzej parę razy go odwiedził. Nie było to zresztą zbyt daleko od dworku pani Żywińskiej, półtorej godziny drogi, nie więcej.

A w dworku tym—ku wielkiej radości Eli, coraz częściej przebywał. Rozpieszczone, szczęśliwe teraz dziewczę, zajmowało się również losem Wielhorskiego gorąco, wiedziała zaś o nim dlatego, że Andrzej w rozmowie z panią Żywińską, jakby usprawiedliwiając się z dłuższego, niż zwykle, pobytu w Warszawie, wspomniał, że ma obowiązek ratować nieszczęśliwego. Eli dosłyszała nazwisko Wielhorskiego, a wrażliwy jej umysł, a być może i intuicya kobieca dopowiedziała resztę...

— To przez nią, przez tę piękną damę!—przemknęło jej przez myśl i wyniosła, imponująca urodą niezwykłą postać pani Komorskiej stanęła jej żywo przed oczami, wskrzeszając zapomniane obawy i podejrzenia, jakie się zrodziły w czasie pamiętnej przygody przed ich dworkiem.

— Musi być złą i bezlitośną! — myślała, a jednocześnie w jej sercu wzbudziło się współczucie dla tego, który przez nią—była niemal tego pewną—stał się nieszczęśliwym.

Z tych myśli wszakże nie zwierzyła się nikomu, a tem więcej Andrzejowi.. Był on znów dla niej bożyszczem, „jedynym, ukochanym“, jak szeptała nieraz do siebie. Szczęście jej teraz nie miało granic. Te gwałtowne wybuchy szczęścia umiała wszakże stłumić w sobie i przyczać się..

Stała się też cichą, nieśmiałą, uległą, a zarazem poważniejszą. Dawne, dziecinne wybryki wydały się jej śmiesznymi; jakże mógł ją kochać taką, co wala sukienki w brudnym strumieniu i chodzi łowić raki z Jankiem „kowalczukiem!..” Wstyd jej było tych wspomnień!..

— A on dobry, jak zawsze, jedyny, nie pogardził kozą dziką. Lecz teraz dość!.. Tak wielkie szczęście obowiązuje, muszę być inną, godną jego!..

Uczyniwszy to postanowienie, wywiązała się z niego tak dalece, że obudziła zdumienie pani Żywińskiej.

— Dziecko! Zkąd w tobie ta zmiana?.. Stałaś się sensatką!

— Nie jestem już dzieckiem — wyszeptwała Eli.

— Zkądże tak nagle przyszło ci to przeświadczenie?—zapytała z uśmiechem pani Żywińska.

— Z metryki, ciotucho — odparła Eli z fluterą — mam już lat 17, a zaczęłam 18-ty onegdaj — dodała i spojrzała z tryumfem na Andrzeja.

W spojrzeniu tem zdawała się mówić: „przyjrzyj mi się raz przecie, człowieku zaślepiiony!” Patrzyła wyzywająco niemal, a jednocześnie z bezmierną czułością, zdającą się mówić: jam twoja, twoja!.. W spojrzeniu tem Andrzej mógł wyczytać, że to rozkoszne dziewczę oddaje mu się całą duszą, że jedno jego słowo, a należeć będzie do niego całe życie.. Tego słowa wszakże powiedzieć nie śmiał, chociaż po tysiąc razy na dzień rozpięrało mu piersi, rwało się na usta. W tem łamaniu się duszy szlachetnej występowały dawne skrupuły: „Nie mam prawa, to

dziecko prawie, nie zna jeszcze świata, nie wolno mi przez egoizm zagradzać do niego drogi w zarażeniu jej życia.“ I odchodził, zamknięty w sobie, poważny, otoczony sztucznym chłodem urojonego obowiązku.

Ta taktyka ukochanego człowieka wzniesła niekiedy w Eli rozpacz prawdziwą: najgorętsze porwy jej serca gasły i stygły, mrożone chłodem Andrzeja, budzącym coraz częściej w niej zwątpienie w prawdziwość własnych snów rajskich. W tej rozterce uczuć serce jej przedwcześnie zatruwało się goryczą niewiary i zdradnej podejrzliwości. Wrażliwość jej doszła wreszcie do takiego napięcia, że najmniejszy pretekst, drobna napozór okoliczność, budziły w niej szalone wybuchy zazdrości.

Spotęgowały się one szczególnie od tego czasu, gdy na drodze, wiodącej do ich dworku, dostrzegła zdaleka jadącą wolno amazonkę, z towarzyszącym jej groom'em.

Poznała ją odrazu, jakkolwiek odległość była wielką.

— Tu jedzie, tu jedzie! — szepnęła przerażona i uciekła do pokoju tak pośpiesznie, jakby uciekała przed nieszczęściem.

Amazonką tą była istotnie pani Komorska, dla której ulubionem miejscem do konnej przejażdżki, stała się od niedawna ta droga zamiejska. Coś ją ciągnęło w stronę tego dworku, nadzieja, być może, że spotka na niej Andrzeja. Wiedziała, że przyjeżdżał on kilkakrotnie do Warszawy, dostrzegła go nawet raz na ulicy w towarzystwie jakichś dwóch panów. Kazała wówczas zatrzymać powóz, chcąc go poprosić do siebie, lecz ruch na ulicy był tak wielki, tylu wreszcie znajomych jechało w powozach przed nią i za nią, że rozmyśliła się, bojąc się dodawać nowego materiału do plotek, które czepiały się jej osoby jak pajęczyna.

— Trzebaż jeszcze, ażeby ten Wielhorski!... głupiec—zerwało się z jej ust dystygowanych.

Postanowiła jednak dopiąć swego, innym razem i w takim miejscu, gdzie byłaby nieco swobodniejszą. Odtąd codziennie wyjeżdżała na spacer za miasto. Eli, wiedziona jakimś niedobrem przecuciem, za każdym prawie razem znajdowała się wówczas w ogrodzie i śledziła ją z za drzew, z sercem zamierającym i z jakąś dziwną obawą przed tą piękną panią, od której, zdawało się jej, wieje nieszczęściem! Kiedy ono przyjdzie, jak się to wreszcie stanie? nie wiedziała sama, drżała jednak na myśl, że Andrzej kiedykolwiek spotka się z tą kobietą.

Możliwość takiego spotkania przerażała ją, budząc gniew i nienawiść do tej, która śmiała sięgnąć po skarby jej uczuć. To też hydra zazdrości wpijała się powoli w jej serce dziewczęce, szarpiąc je cierpieniem niewysłowionem. Nareszcie stało się to, czego się tak obawiała... Andrzej podązał piechotą boczną ścieżką, wijącą się zvgzakiem przy drodze, gdy w pełnym galopie dopędziła go pani Komorska. Groom pozostał daleko i zdawał się nie mieć zamiaru podążyć za swą panią, gdyż konia powstrzymał umyślnie.

Serce Eli zamarło. Dałaby pół życia, gdyby mogła usłyszeć słowa powitania, z jakimi piękna pani zwróciła się do Andrzeja, gdyby mogła chociaż dojrzeć wyraz jej twarzy. Była jednak daleko. Wyteęzała wzrok tak mocno, że oczy łzami jej zasły i uczuła się nagle otoczona mrokiem dziwnym, mgłą gryzącego smutku i cierpienia, szarpiącego jej piersi, a jednocześnie zdawało się, że wali się na nią jakiś okropny ciężar, cisnący ją do ziemi. Chwyciła się oburącz drzewa, przy którym stała, i wsłuchiwała się w przyśpieszone bicie serca, kołaczącego w jej piersi.

Nagle, jakby olśniona jakimś odkryciem nadzwyczajnem, odrzuciła w tył głowę i odsuwając

z czoła zwieszające się w nieładzie sploty włosów, zawołała:

— Jakżem dziecinna!... Przecież nic nadzwyczajnego się nie stało; on nie winien, że spotkał ją na drodze: wszakże się znają oddawna...

Uspokoiwszy się w tym względzie, postanowiła czekać cierpliwie na przybycie Andrzeja i jakby chcąc dowodnie okazać swój spokój, osunęła się na ziemię i usiadła pod drzewem, nie chcąc więcej patrzeć na drogę.

Czekała jednak nadaremnie!...

Gdy wreszcie, zmęczona oczekiwaniem, zerwała się z miejsca i wybiegła na drogę, dostrzegła już bardzo daleko panią Komorską, idącą piechotą, a obok niej Andrzeja, który prowadził za cugle jej konia.

— Wrócił się!... — wyszeptala i pobladła nagle.

Ręce jej splotły się rozpaczliwie nad głową, a dwie łzy zawisły na rzęsach.

Andrzej dnia tego nie przyszedł wcale...

Spotkanie z panią Komorską, którego unikał dotąd, podrażniło go wielce. Ta wielkoświatowa, rozpróżniana dama, po pustych drogach szukająca wrażeń ostrych w roli wielbicielki jego talentu, nie mogła w nim obudzić nic więcej nad lekceważenie, osłonięte wszakże przymusową formą uprzejmości światowej.

Lekceważenie to wszakże zmieniło się w gniewne uczucie, gdy piękna pani, podrażniona obojętnością i chłodem Andrzeja, zaczęła czynić przezroczyście aluzje do jego częstych wizyt w dworku pobliskim, odzywając się drwiąco o „zamorusaną boginę z czerwonymi jak u praczki rękami“. Zdawało się wówczas, że krew tryśnie ze spalonych słońcem policzków Andrzeja. Już samo przypuszczenie, że ktoś obcy, a tem więcej ta kobieta, mogła się wedrzeć w najskrytsze tajniki jego uczuć, było mu nieznośnym, a cóż dopiero, gdy słodkie imię Eli użyte było

lekceważąco do szermierczych w rozmowie pociśków...

To też błyskawice gniewu strzeliły z oczu Andrzeja; Komorska spostrzegła to i zrozumiała zarazem, że przebrała miarę swej ironii. Było już jednak zapóźno... Nastąpiło ostre przemówienie, w którym Andrzej wspomniał mimowoli o Wielhorskim.

— Ha, ha, ha!... jesteś i pan, jak widzę, jego obrońcą, wiesz!... Gotowam, doprawdy, ponieść kosztą odszkodowania za zawiedzione nadzieje na mój majątek. Nie miałabym mu nawet za złe, gdyby z taką pretensją wystąpił! — dodała, tracąc do reszty panowanie nad sobą.

Rozstali się u samych już rogatek więcej niż chłodno. Andrzej po tem spotkaniu zmienił pierwotny swój zamiar i zamiast do dworku pani Żywińskiej, zdecydował się pojechać do Wielhorskiego. Szczęśliwym trafem znalazła się jakaś bryczka. Wsiadł przeto do niej i po upływie przeszło godziny był już na miejscu. Wielhorski zmieniony był do niepoznania: patrząc na niego, trudno by uwierzyć, że ten człowiek przed paru miesiącami jeszcze służył jako pierwszorzędny wykwintniś i cieszył się reputacją niebezpiecznego lowelasa. Teraz bowiem, z niegoloną oddawna brodą, z twarzą wychudzoną i zczerniałą, w ubraniu pomiętym i zakurzonem, z głową zwieszoną na piersi, ze wzrokiem znużonym, o pochylonej postawie, wyglądał desperacko, wydając się starszym o lat kilkanaście. Andrzej uderzony był tą zmianą i zrazu wziął ją za objaw dodatni, prędko się wszakże przekonał, że Wielhorski znajdował się w krytycznej fazie zupełnego upadku ducha.

I tak było istotnie!.. Wielhorski, oddany sam sobie i rozmyślaniom gorzkim, pożerany był nudą zabójczą. Praca, i to dość ciężka od świtu do wieczora, wśród pustkowia, gdzie oprócz nieokrzesanych robotników nie widział wcale „twarzy ludzkiej,“

wystarczyć mu nie mogła. Były chwile, że chciał rzucić wszystko.

To też zgnębienie opanowało go zupełnie. Andrzej dostrzegł to odrazu, lecz nie mogąc zajrzeć w głąb jego duszy, przypisywał je zbyt nagłemu i dotkliwemu przełomowi w życiu, jaki był udziałem tego człowieka o słabej woli i bez męskiego hartu. Nieuniknionem tego następstwem musiał być upadek ducha. Żał mu go się zrobiło i postanowił dołożyć starań, aby umocnić go i nie dać upaść powtórnie. Pochlebiał sobie, że wywiera pewien wpływ dodatni na naturę chwiejną, ułomną, lecz nie pozbawioną szlachetniejszych instynktów. Tak mu się to przynajmniej mogło zdawać z serdecznego powitania i wdzięczności, jaką Wielhorski wyraził na wstępie, dziękując gorąco za pamięć o nim. I wdzięczność ta była najzupełniej szczerą; od paru tygodni nie miał sposobności nawet porozmawiać z kimkolwiek, to też na widok Andrzeja ożywił się, a radość zabłysła mu w oczach.

— Trzeba unikać ostateczności, nie zrywać zupełnie z ludźmi!— ozwał się Andrzej, gdy się dowiedział, że Wielhorski nie wydalął się wcale po za obręb cegielni i ani razu nie był w mieście. — Mógłbyś pojechać w święto odpocząć, rozerwać się — perswadował dalej.

Wielhorski wykonał rozpaczny gest zniechęcenia.

— Nie, nie!... Do Warszawy? Pocóż tam pojedę, żeby świecić oczami, lub kryć się przed ludźmi!... To ostatnie mam tu. Tak lepiej!... przynajmniej przekonam się, czy jestem zdolny do życia.

Powiedział to z jakąś rezygnacją rozpaczłą człowieka, który utracił już dawno wiarę w siebie i wartość.

Daremnie Andrzej starał się dodać mu otuchy, umocnić, ażeby się otrząsł z głoźnej apatyi... To też

odwiedziny te pozostawiły smutne wrażenie na Andrzeju...

— Miałaby jego pomoc i pragnienie uratowania człowieka pójść na marne — myślał, powracając do miasta. — A szkoda! gdyby tlała w nim mała choć iskierka godności człowieka, gdyby odrobinę charakteru, mógłby, przy swych zdolnościach, stać się pożytecznym na świecie, mogliby iść razem, ręka w rękę: Korycki, Wielhorski i on, każdy na innem polu, ecz wszyscy do jednego celu... Tak myślał Andrzej i ciężki smutek zawiedzionej nadziei przygniółł mu piersi. Niema już co robić w Warszawie i dłuższy w niej pobyt byłby tylko ustępstwem dla własnej słabości.

— Jutro wyjeżdżam! — wyszeptał, czyniąc postanowienie niezłomne.

Nazajutrz koło południa był już za miastem. Znalazłszy się na drodze, wiodącej do dworku, zwolnił mimowoli kroku, oddalając od siebie bezwiednie ciężką chwilę pożegnania na czas dłuższy, a zarazem zbrojąc się w niezbędną powagę, aby nie osłabnąć przed tem słodkiem dziewczęciem, które otwierało przed nim swą czystą, kryształową duszę dziecka, nieświadomego fałszów życia.

Czuł, że gdyby odgadnąć mogła, jaką walkę stacza codziennie sam z sobą, jak się obawia dać folgę najmniejszą porywom serca, rozśmiałyby mu się w oczy rozkosznie, tryumfująco i wyraz „dziecko,” który stosował do niej tak często, odrzuciłaby mu, z wybuchem śmiechu, jak pocisk...

Myśląc o takiej chwili, drżał przed nią, a jednocześnie pożądał jej całą siłą duszy, spragnionej ożywczej kropli szczęścia!...

Eli przechodziła również ciężką walkę z sobą i z gwałtownością uczucia, które rwało się z jej serca, jak młode orle z gniazda, gdy poczuje skrzydła i siłę do lotu... Dzień wczorajszy uświadomił całą potęgę i nieprzepartą siłę tej miłości, gdy zawisło

nad nią niebezpieczeństwo. Całą noc biła się z myślami, tłumiąc łzy i łkania, rozsadzające jej piersi.

„Wrócił się!”

W tym jednym okrzyku mieścił się cały ocean rozpacznej zazdrości. Wrócił się do tamtej!... Gdyby ją kochał, odczułby bóle i rozpacz, szarpiące jej duszę, i przyszedł później!... Noc ta bezsenna pozostała widoczne ślady na jej twarzyczce. Wstała bardzo wcześnie, blada niezmiernie, z podsiniałemi oczami i snuła się samotnie po ścieżkach ogrodu, otoczona mgłą smutku. I tak ją zastał Andrzej. Nie wybiegła na jego spotkanie, nie przywitała radosnym okrzykiem, nie zawisała, jak zwykle to czyniła, na jego ramieniu, prowadząc do pokoju, lecz podała mu tylko rękę w milczeniu. Andrzej, stropiony takim powitaniem, spojrział na nią uważniej, a dostrzegłszy niezwykłą jej bladość, zapytał z trwogą w głosie:

— Eli musi być niezdrowa?...

Na ten głos, zdradzający szczerą troskę o nią, drgnęło jej serce, przemogła się wszakże i odparła spokojnie tonem obojętnym:

— Nic mi nie jest, głowa mnie tylko trochę bolała, teraz już dobrze, zupełnie dobrze...

Powiedziawszy to, weszła na ganek, jakby chcąc uniknąć dłuższej z nim rozmowy sam na sam.

— A więc tak!—szepnęła głosem złamanym—nie powiedział ani jednego słówka więcej!... Już dla niego nic nie znaczę, nic, nic, nic!

Zbiegła ze schodów do ogrodu, i zaczęła snuć się po zaniedbanych oddawna, zarosłych trawą jego ścieżkach, kiedy niekiedy zatrzymując się po za gęstwiną drzew i nad słuchując, czy nie usłyszy wołania z ganku. Była pewną, że Andrzej, jak zwykle, zabawi u nich dłużej i dlatego umyślnie ociągała się z powrotem, w nadziei, że będzie wezwana, że Andrzej sam przyjdzie po nią. Bo wówczas musi przecież coś przemówić, zapytać, wyjaśnić, uspokoić ją.

Nie sposób, żeby tego nie uczynił, żeby nie domyślał się, jak cierpi, jak się męczy!...

Andrzej istotnie nadszedł i to prędzej, niż się spodziewała. Posłyszawszy jego kroki, zastygła na miejscu i oczekiwała go zmieszana, onieśmielona, z sercem łopoczącym w piersi, jak ptak leśny, świeżo uwięziony w klatce.

— O, gdyby wiedział, gdyby wiedział!—uleciało z jej piersi westchnienie.

Trwożliwe, ukradkowe spojrzenie zawisło na chwilę na twarzy Andrzeja i zdało się, że z twarzy tej, poważnej, surowej, bije smutek niewysłowiony...

I nagle zdjęła ją tak wielka żalność i trwoga, jakby przeczuwała, z czem do niej przyszedł.

On tymczasem, zbliżywszy się do niej, zaczął mówić. Z początku nie rozumiała nic, wsłuchując się tylko chciwie w dźwięk jego głosu, który był jakiś inny, odmienny. Dopiero gdy z ust jego padły słowa: „pożegnanie.“ „konieczność nagłego odjazdu,“ pojęła wszystko! On tymczasem mówił dalej, zdając się nie widzieć, że dziewczę drży całe, że mocuje się z sobą, czyniąc nadludzkie wysiłki, aby nie wybuchnąć płaczem; siły ją zawiodły wszakże; chciała coś powiedzieć, o coś zapytać, lecz zamiast słów z piersi jej wyrwało się łkanie.

W Andrzeju drgnęła dusza cała.

— Eli, dziecko!... Co tobie? — zapytał cicho, szeptem prawie, jakby się bojąc, ażeby głos jego nie zdradził wzruszenia, a ująwszy w dłonie jej drobną rękę, usiłował zajrzeć w głąb duszy po za łzy z oczu płynące.

— Nic, nic!... Wiem już dlaczego!... Piękna pani, widziałam sama, wczoraj, razem, a ja cóż przy niej!... Lepiej umrzeć!—szepotało dziewczę bez związku, zanosząc się od płaczu.

Andrzejowi wydało się w tej chwili, że nagle sto słońc zajaśniało na niebie i że wszystka jasność, bijąca od nich, spłynęła na to anielskie dziewczę,

otaczając ją świetlaną aureolą wielkiej, niebiańskiej miłości.

I chciał paść przed nią, ukorzyć się przed tym majestatem uczucia, jak kryształ czystym, i całować kraj jej szaty, a potem pochwycić w objęcia i zawrzeć w nich skarb drogi na zawsze.

Pragnienie było tak wielkie, tak nieprzeparte, że przed niem rozwiały się, jak mgła, wszystkie dotychczasowe skrupuły i przeszkody urojone. Pochwycił więc łkające dziewczę w ramiona i przytulił do swej piersi, wezbranej wzruszeniem niezmiernem. I wiele, wiele potrzeba było jeszcze czasu, aby serdeczne rozżalenie dziewczęcia ukoić i łzy osuszyć, tym razem słodkie łzy szczęścia... Promieniowało ono teraz tryumfująco z całej postaci Eli, tryskało z załzawionych jeszcze oczu tak wyraźnie, że pani Żywińska od jednego spojrzenia odgadła wszystko i błogie westchnienie ulgi uleciało z jej piersi, a usta zaczęły szeptać słowa błogosławieństwa, czy też modlitwy...

XV.

Pierwsze podmuchy jesieni zaczęły już budzić szmery twożliwe wśród drzew, pełnych jeszcze krasy i życia.

Nietylko wszakże w przyrodzie te chmurne zwiastuny dzwoniły swoje *memento* ponure. Przenikły one i do cichego ustronia dwóch starców, żyjących jeszcze na świecie, lecz już nie mających z nim prawie nic wspólnego.

— Słyszę podzwonne w duszy!... — szeptał Wrzeszcz do siebie coraz częściej i z wyrazem bezmiernego smutku patrzył na ukochanego pułkownika, który, jak złamany kolos, leżał bezwładnie na łożu.

Był teraz cichy i spokojny, jak dziecko; napa-

dy szalu nie ponawiały się już więcej, umysł tylko gorączkował niekiedy i majaczył o przeszłości. O niej śnił i w snach tych żył jeszcze.

Zjawiały się wszakże i chwile zupełnej przytomności, wtedy przywoływał Wrzeszcza i jakby nawiązując przerwana niedawno rozmowę, pytał głosem surowym:

— Pamiętasz ostatni ordynans?

— Pamiętam, pułkowniku.

— Już pora iść tam!... Placówkę trzeba zająć; rozumiesz, stary towarzyszu?

— Rozumiem, pułkowniku.

— Na skraju lasu, aby widok był rozległy, aby daleko, daleko sięgnąć można było okiem i nie dać się zaskoczyć znienacka.

— Wedle rozkazu.

— Sam to zrobisz?

— Sam, pułkowniku.

— Własnymi rękami?

— Własnymi! — odparł Wrzeszcz i głos mu się urwał, a powieki drżeć zaczęły.

— Jak będzie gotowe — powiesz! Andrzejowi o tem ani słowa, rozumiesz?

— Rozumiem, pułkowniku.

Od czasu tej rozmowy Wrzeszcz co dnia prawie zniknął z domu na parę godzin i zjawiał się potem zmęczony, wybladły, pochylony ku ziemi, jakby powracał z dalekiej, uciążliwej wędrówki.

Pewnego razu spotkał go Andrzej w polu i zagadnął:

— Gdzieżeś to chodził, staruchu?

— At!... w pole, zobaczyć, czy w szkodę co nie weszło.

— Wszakże Jędrek patrzy za tem gorliwie — zauważył Andrzej.

Wrzeszcz machnął ręką lekceważąco.

— Albo to ten urwis dojrzy, jak należy! — od-

parł i poszedł dalej, jakby chcąc dać do zrozumienia, że nie warto o tem mówić wcale.

Tajemnicze wycieczki Wrzeszcza powtarzały się w dalszym ciągu, aż wreszcie zwróciły uwagę Andrzeja, który nie odstępował już stryja, wpatrując się godzinami w drogie rysy starca, który gasł powoli. Z jego olbrzymiej piersi, wyrzucającej niegdyś hasła piorunowe, dobywał się tylko szept słaby, często niezrozumiały zupełnie. Pewnego wszakże razu, zwróciwszy mętny wzrok ku oknu, przez które z po za firanek wpadał do pokoju snop czerwonych promieni zachodzącego słońca, powiedział wyraźnie:

— Powietrza! Wynieście mnie!
Życzenie to spełniono natychmiast.

— Dobrze tu!— wyszeptał, a potem, skinąwszy na Andrzeja, aby się doń zbliżył, patrzył na niego czas jakoś badawczo, uporczywie, aż wreszcie, jakby skupiwszy uciekające siły duszy, zawołał głosem mocnym:

— Pamiętaj... Naprzód! Całą siłą!...

Były to ostatnie jego słowa; z niemi uleciało i ostatnie tchnienie starca.

Andrzej do dnia pogrzebu chodził jak błędny, z sercem pokrytem kirem żałoby i tak zagłębiony w swoim smutku, że był obojętny na wszystko... Dziwił się tylko, zkąd tylu ludzi, przybyłych ze stron różnych, znalazło się nagle w cichem dotąd ustroniu wiejskiem?

Stało się to zaś zwykłym rzeczy porządkiem. O zapomnianym — śmierć przypomniła, budząc pamięć jego czynów.

Wśród tego tłumu obojętnych dla siebie osób spotkał twarze nieraz widziane, dostrzegł też i Koryckiego; coś z nim mówił, lecz nie pamiętał o czem. Zresztą tłum ten, spoglądający na niego wzrokiem ciekawym, usiłującym, zda się, wedrzeć się do jego duszy smutkiem złamanej, odstręczał go od siebie.

Uciekał więc przed nim na skraj lasu, do czterech dębów rozłożystych, ocieniających grób rozwarty.

Przyjął on wreszcie drogie szczątki starca!... Tłum obcy rozproszył się, pozostał tylko Korycki, Wrzeszcz, Jędrak i kilkoro czeladzi. I zapanowała znów cisza w tem miejscu umarłych. Andrzej patrzył długo na świeżo usypaną mogilę i dopiero teraz dostrzegł grób nowonapoczęty.

— Dla kogo?—zapytał Wrzeszcza.

— Dla mnie!—odparł ten z prostotą — przecież pułkownika samego tu nie zostawię.

— Ustąp mi pierwszeństwa, stary przyjacielu! Nie mam tu już żyć dla kogo...

— Błóżniesz! Nie masz prawa tak mówić! — ozwał się Korycki głosem ostrym.—Nie należysz do siebie i do swego smutku, lecz do pracy, którąś rozpoczął... Cóż znaczą twoje osobiste cierpienia wobec cierpień milionów?! Nie wolno ci zresztą cofać się! Pamiętaj na komendę ostatnią: „Naprzód! Całą siłą!“ Człowiek, który w tchnieniu ostatniem rzucił takie słowa, miał zaiste wielką duszę! A więc naprzód! do pracy dla innych!... I zobaczysz, przyjdzie czas, że ani jedno z tych ziarn, które dziś odskakują od twardej roli, które wiatr chłodny zwiewa, nie przepadnie. Przetrwają one nietknięte i ukryte wśród chwastów lub skał załamów i odżyją nagle przy pierwszym tchnieniu cieplejszem. A powiew ten bliz-zi! Przeczuwam go!...

Andrzej wyciągnął obydwie dłonie do Koryckiego i uściśnawszy go mocno, powiedział:

— Dzięki ci! Smutek mnie osłabił, tyś przypomniał o obowiązku. Spełnię go i pójdę naprzód!...

— Całą siłą!

— Całą siłą!—powtórzył Andrzej z mocą.

Rok upłynął. W cichem ustroniu wiejskiem było gwarno. Gwar to jednak był wesela. Czeladź

dworska i praktykanci-uczniowie z Jędrkiem na czele wyciągnęli się szpalerem długim na drodze, aby dać znać prędzej o przybyciu ukochanego dziedzica, pana Jędrzeja z młodą żoną. Stary Wrzeszcz chodził jakiś nieswój koło ganku i targał gniewnie swój wąs olbrzymi, mrużąc do siebie:

— I mnie to przyszło na to, żeby się jeszcze weselić! At, taka to i wesołość, gdy łyzy ciurkiem lecą! Tfu, zbabiałem do reszty, a jeszcze żyję!— dodał, ocierając twarz mokrą.

— Jedzie, jedzie! — dało się słyszeć naraz kilka głosów.

Wśród ludzi zrobiło się ogólne poruszenie, a potem jeden wielki okrzyk rozdarł powietrze:

— „Witajcie!”

Z powozu wyskoczył Andrzej i uniósłszy w powietrzu zarumienioną od szczęścia i wzruszenia swoją Eli, postawił ją na ziemi.

Za nimi wysiadł Korycki.

W jednej chwili otoczono ich zwartem kołem, jedni cisnęli się ucałować ręce młodzianki pani, inni patrzyli na nią, nie śmiejąc podejść, tak byli olśnieni krasą dziedziczki.

W tej liczbie i Wrzeszcz.

— Jutrzenka promienista, słoneczko jasne! — szeptał starzec do siebie i płakał zcicha. Rozpłakał się zaś na głos, gdy ta „jutrzenka“ zbliżyła się do niego i odsalutowawszy mu wprzód po wojskowemu, ucałowała potem jego głowę białą.

Wówczas starzec, drżąc cały, wyciągnął swe suche ręce ponad jej głowę i szlochając, wybełkotał:

— Niech Bóg!... wszystko... na ziemi... w niebiosach!...

Tego słodkiego wzruszenia nie darował mu później Jędrzek.

— A widzicie! i sto lat nie straszne, gdy się patrzy naprzód! Rycerska to rzecz wszakże!...

Tymczasem Andrzej, na wyraźne życzenie Eli, poprowadził ją do czterech dębów rozłożystych. Między nimi stała teraz kolumna złamana, a na niej napis:

Kochał nad siły i cierpiał nad siły!

Tu przy tej kolumnie Andrzej uczynił raz jeszcze ślub: iść naprzód „całą siłą!“

— Pojdziemy razem, będziesz mi mistrzem!...

— A ty moim aniołem pocieszycielem w trudach życia!...

K O N I E C.



12.000

112/92

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
225551

Biblioteka WSP Kielce



0082085